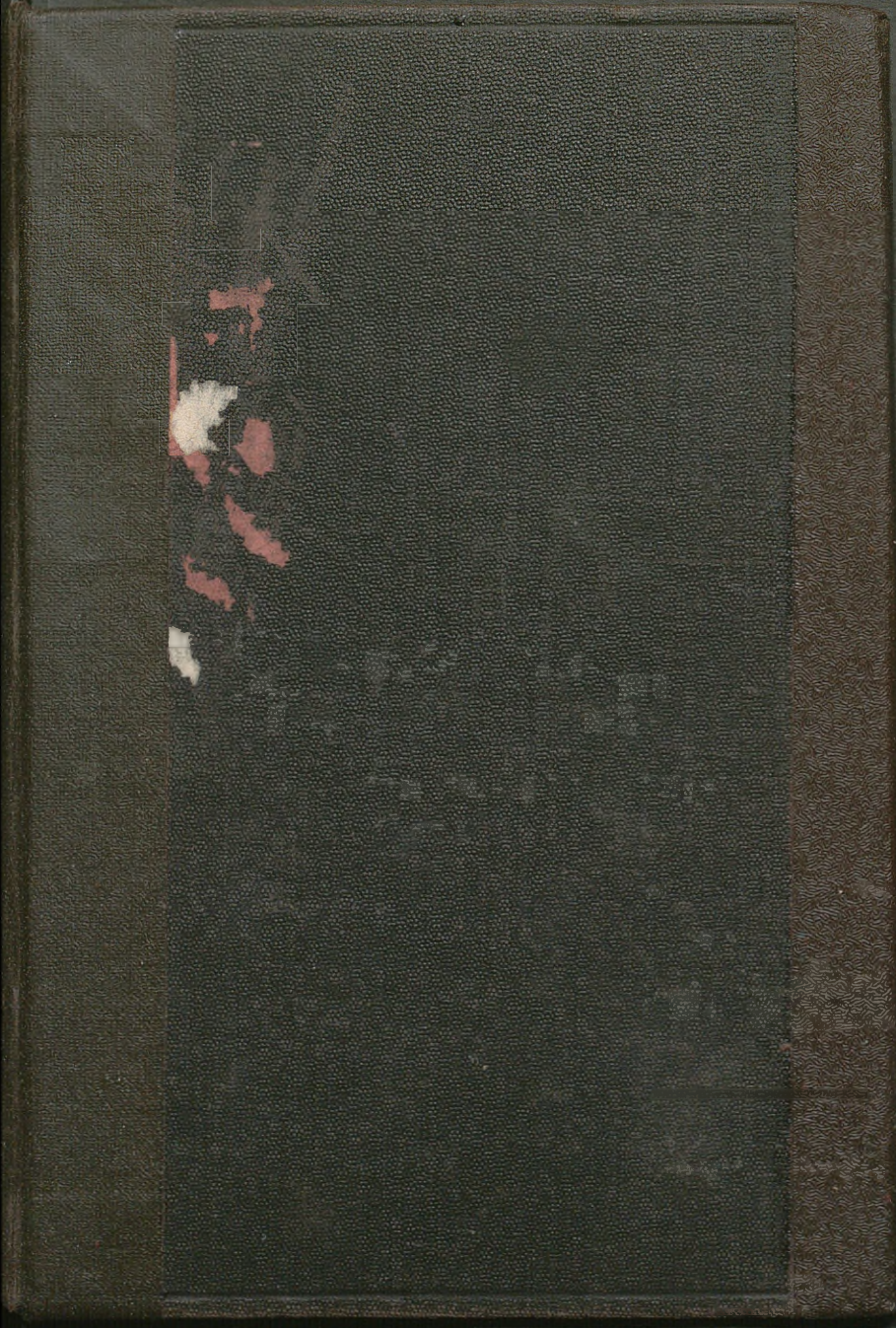


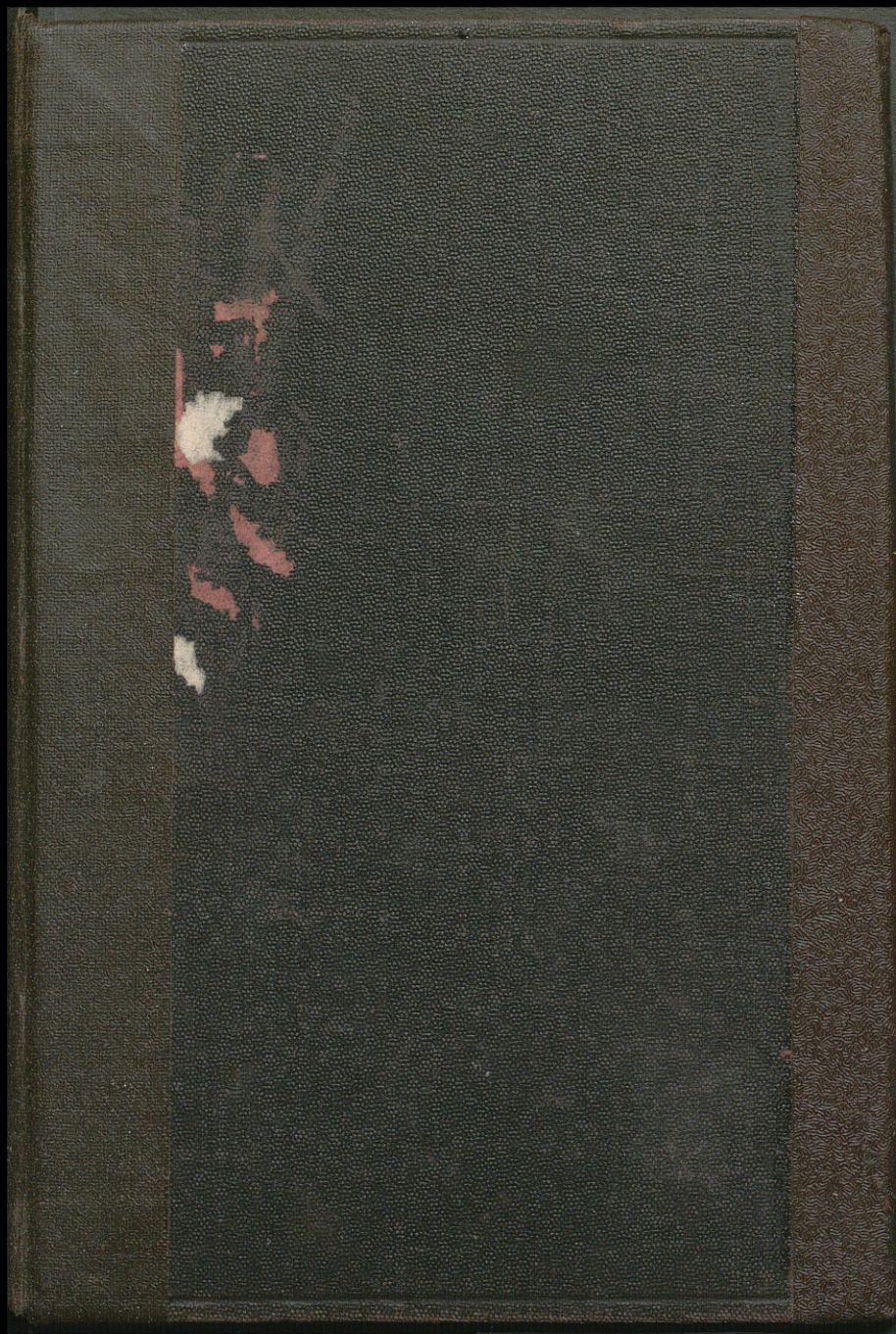


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





*Przybylski*

**DZIEJE**  
POCZĄTKÓW  
CYWILIZACYI Powszechnej.

BIBLIOTECZKA POŻYTECZNA.

378

DZIEJE 376

POCZĄTKÓW

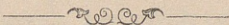
CYWILIZACYI POWSZECHNEJ

przez

**FRYDERYKA STREISLERA**

przełożył z niemieckiego

Zbigniew Kamiński.



WARSZAWA.

Nakładem Michała Arcta.

1894.

008: 93/900/7

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Февраля 1894 года.

9098 | 1



Друк J. Filipowicza, ulica Złota Nr. 3.



## WSTĘP.

---

### Dzieje początków cywilizacyi.

**D**zieje cywilizacyi dają obraz rozwoju i uszlachetnienia ludzkości zarówno materialnego jak i duchowego; są tedy ważnem uzupełnieniem dziejów powszechnych, będących tylko bezstronnem przedstawieniem wydarzeń. Jasno pojąć wydarzenia możemy dopiero wtenczas, kiedy poznamy stan duchowy człowieka w rozmaitych epokach, obyczaje, zwyczaje, poglądy, stosunki społeczeństw, oraz to wszystko, w czem się sposób życia wyraził, mianowicie: rodzaj pożywienia, odzież, mieszkanie. Znajomości tej nabywamy z dziejów cywilizacyi.

Hellwald, jeden z najznakomitszych współczesnych badaczy historii cywilizacji, mówi, że nie prowadziłoby do celu, gdybyśmy istotę cywilizacji chcieli ująć w jakąś określoną formułę. Raczej mówić wypada o różnych cywilizacjach, niż o jakiejś jednej niemożliwej do zdefiniowania cywilizacji, przez którą każdy rozumiałby wyłącznie własne uobyczajenie. Stąd atoli wynika, że istotę cywilizacji pojmować można rozmaicie, odpowiednio do stanowiska, na którym stoi ten, co ją rozważa.

Zarówno subiektywnemu pojmowaniu jednej tylko cywilizacji (np. cywilizacji danego narodu) jak i obiektywnemu rozpatrywaniu się w cywilizacji całej ludzkości odpowiada określenie, podane przez d-ra Chrystyana Muff'a \*):

„Dzieje cywilizacji są historycznym rozważaniem pochodzenia rozwojowego ludów pojedynczych, pewnych epok, albo ludzkości wogóle — jako dowodu powolnego postępu świadomości i uobyczajenia, jako badanie krytyczne stałego działania sił twórczych w ludzkości oraz ich wpływu na całe życie zewnętrzne. Historia cywilizacji musi oczywiście uwzględniać wielkie wydarzenia w życiu ludzkości najbardziej wpadające w oczy i zajmujące zazwyczaj miejsce najwydatniejsze w dziejach powszechnych: po-

---

\*) Was ist Kultur? Odczyt. Halla, 1880.

wstawanie, istnienie i znikanie państw, ich wzajemne stosunki, wojnę i pokój, układy, przymierza, wypadki następstwami brzemienne, znamienne rysy i biografie ludzi wybitnych; ale przedstawienie tych momentów nie jest naczelnem zadaniem dziejów cywilizacji; idzie w nich przede wszystkim o wytknięcie dróg, po których szły pojęcia ludzkości w rozmaitych położeniach i formach życia, w państwie, społeczeństwie, rodzinie, w prawie i ustawach, w poglądach religijnych, obyczajowych, filozoficznych, w sztuce i umiejętności, w języku i literaturze, w nawyknieniach i praktykach, w postępowaniu z krajowcami i cudzoziemcami, w handlu, przemyśle, technice i życiu powszedniem.“

Stosunkowo, dopiero bardzo późno uznano objawy cywilizacji za godne odzwierciedlenia na piśmie. Od czasu wynalezienia pisma, tysiące lat mijały, a używano go tylko do upamiętnienia wielkich zjawisk w przyrodzie (wylewów, głodów i t. p.), czynów, jakich dokonali bogowie i bohaterowie lub wypraw wojennych. Z takich pomników odtworzyć obraz cywilizacji jest niesłychanie trudno, i dlatego między badaczami panują duże różnice w zapatrywaniach na życie ludzkości.

W niniejszej pracy zamierzamy nakreślić główne rysy historii rozwoju człowieka od pierwszego ukazania się na widowni świata aż do czasów, w których, dzięki zabytkom piśmien-

nym, nikną wszelkie wątpliwości co do stanu cywilizacyi. Możliwie obiektywne przedstawienie faktów powinnyby czytelnikowi dać możność wytworzenia sądu własnego o tych punktach, co do których niema zgody między badaczami dziejów cywilizacyi.





## Pierwotny stan ludzkości.

**D**októr W. Wachsmuth \*) wyznacza człowiekowi nader wysokie stanowisko w życiu ziemskim. Człowiek nie jest tworem ziemi, nie jest pod władzą ziemi, ale jest z nią równorzędny, można powiedzieć nawet, że ziemia jest mu podwładną, jak oblubienica swemu oblubińcowi. Wachsmuth zowie ziemię narzeczoną człowieka, wnoszącą mu posag niezmiernie bogaty. Podobnie jak biblia określa stosunek między mężem a żoną, mówiąc do kobiety: „a on nad tobą panować będzie“ —

\*) Allgemeine Kulturgeschichte, Lipsk 1850.

tak człowiek ma jak mąż ziemię pod władzę swoją objąć, być jej „panem, a przeznaczenie obojga spełni się, gdy ziemia, o ile w zależność od człowieka wejdzie, zharmonizuje się z nim zupełnie jako z jestestwem rozumnym i pod jego rozkazami znamię służebności nosić będzie.“

Tu już spotykamy się z pierwszymi pytaniami spornymi: kiedy człowiek był stworzony? Czy odrazu stworzony był jako człowiek? A dalej: czy człowiek, z jednego punktu wyszedłszy, rozszerzał się, zagarniając ziemię coraz większemi kręgami, czy też rozmaite punkty globu, niezależnie jeden od drugiego, mogą być uważane za kolebki cywilizacji?

Znane jest biblijne rozstrzygnięcie tych pytań.

Według hipotezy szkoły Darwina żadna istota żyjąca nie była stworzona taką, jaką dziś widzimy. Wyższe ustroje rozwijały się z niższych bardzo powoli. Człowiek zaś jest ostatniem ogniwem w łańcuchu jestestw organicznych, stoi na najwyższym osiągniętym dotąd szczeblu rozwoju.

Bardzo trudno byłoby oznaczyć charakterystyczny moment przejścia od zwierzęcia do człowieka, przypuszczać wreszcie niepodobna, aby się rozrodził z pojedynczego osobnika szczęśliwie uposażonego, podobnie jak żaden Göthe lub Humboldt nie mogliby stać się protoplastami szcze-gólnego gatunku ludzi doskonalszych. Każda istota żyjąca urabia się nietylko zgodnie ze swo-

jemi wewnętrznymi uzdolnieniami, ale nadto jest wytworem powszechnych przeważnych warunków zewnętrznych. Zwierzęta np. leśne na jakiejś wyspie muszą zginąć, gdy las nagle będzie zniszczony. Nie ochroni ich od zagłady ta okoliczność, że między nimi znajdzie się jakaś jednostka lub jakaś jedna para wyjątkowo szczęśliwie uposażona, nadzwyczajność w swoim gatunku, zdolna łowić ryby i żywić się nimi, a skutkiem tego żyć nawet i po za obrębem lasu. Zdolność ta zgąśnie ze śmiercią szczególnej pary i nie przechowa się jako cecha gatunku.

Inaczej atoli rzeczy się ułożą, jeśli las niknąć będzie stopniowo, może w ciągu wielu tysięcy lat, i tak pomału, że zmiana będzie niedostrzegalna dla pojedynczej generacji. Nastąpi wtedy powolne przystosowanie się do nowych warunków zewnętrznych. Zwierzęta, które początkowo mieszkały tylko na drzewach, zaczęły kiedyś schodzić na ziemię, poszukując żywności. Znajdować będą łup zwierzęcy albo roślinny, mający taką samą wartość odżywczą, jak i pokarm na drzewach zdobywany. Nowe jadło będzie w początkach tylko urozmaiceniem. Ale w miarę, jak z upływem czasu ilość drzew coraz bardziej maleje, żywność na ziemi znajdująca coraz większego nabiera znaczenia i wreszcie pozostaje jedynym zasobem, przypuszczając, że jest dość obfita. Zmiana pożywienia musi spowodować i zmianę budowy organów zwierzęcia.

Długie, potężne nogi czy ręce uzbrojone silnymi palcami i szponami do wdrapywania się na drzewa, obejmowania gałęzi i chwytania zwinnych mieszkańców drzew wątłej, w miarę jak częściej zdarza się pełzać po ziemi, niż wdzierać się na drzewa. Długi, chwytny ogon, który przedtem owijał się dokoła gałęzi i służył ciału za podporę, staje się krótszym. Zęby wzmacniają się lub słabną, stosownie do tego, czy nowy pokarm jest do pożucia trudniejszy czy łatwiejszy, niż poprzedni. Powonienie zaostrza się, gdyż musi pomagać do szukania pokarmu na ziemi. Oko musi się zmienić z przyczyny widoków szerszych, niezacieśnionych listowiem. Tak więc po upływie tysięcy lat ukazuje się zwierzę odmienne od dawniejszego, chociaż nie nowo stworzone, ale wynikiem skutkiem przekształcenia gatunku.

Zmianę spowodował nacisk okoliczności zewnętrznych, nie zaś genialność jednego osobnika. Z jednakowych przyczyn wynikać muszą jednakowe skutki. Za tożsamością oddziaływań iść musi tożsamość wypadkowych. Na wszystkich miejscach powierzchni ziemi, gdzie zwierzę stojące jednym szczeblem niżej niż człowiek, znalazło się pod wpływem podobnych stosunków klimatycznych i topograficznych, uległo ono takiej samej transformacji. Czasy przeobrażeń i trwanie ich mogły być bardzo różne w rozmaitych okolicach, i tem się da objaśnić różny stopień cywilizacji u rozmaitych ludów. Niesłusznie byłoby wyz-

szość cywilizacji przypisywać wyższości duchowych uzdolnień jakiegoś ludu; raczej rzecz się ma odwrotnie: cywilizacja jest dziełem natury otaczającej, a uzdolnienia duchowe są wytworzone przez cywilizację. Cywilizacja tem więcej się wznosi, im więcej czasu upłynęło od „uczłowieczenia się“ (jeżeli wolno użyć tego wyrazu). A upływ czasu mógł być różny w rozmaitych częściach ziemi. Potrzeba czasu na to, aby ciało przystosować się mogło; jeśli tego czasu zabraknie, ciało ginie. I to jest przyczyną wygasania tyłu plemion (np. Indyan), niezdolnych znieść sztucznej, to jest gotowej, przyniesionej im cywilizacji i dlatego wymierających. Niepodobna im przeskoczyć tysięcy lat życia. To tak, jak gdyby nowonarodzone dziecię karmiono befsztykiem i pojono winem reńskim \*).

Archeolog duński, Thomsen, w r. 1836-tym pierwszy ustalił kolejne następstwo okresów: ka-

---

\*) Niestety, wiadomo, jakim to befsztykiem europejscy awanturnicy lub ich potomkowie karmili i karmią Indyan w Ameryce lub Negrytosów w Nowej Holandyi. Od podobnego befsztyku ginęły i ludy oświecone, handlowe, jak Fenycyanie i Kartagińczycy, i ludy rolnicze, jak Prusacy, Łużyczanie; i koczujące, jak Wandalowie, Awarowie i tyle, tyle innych. Niektóre z tych ludów rozplynęły się zamalgamowane z plemionami otaczającymi, inne wytępiono poprostu. Jednakże za teorią krótkotrwałości ras cywilizacyjnie niższych, w zętknięciu z wyższymi, przemawia wzgląd ważny: teoria ta rozgrzesza! *Przyp. tłum.*

miennego, brązowego i żelaznego w rozwoju ludzkości. Schematyczny ten podział na okresy zyskał sobie popularność, a jednak nie jest on ściśle zgodny z prawdą. Jak już nadmieniliśmy, stopnie cywilizacyi na różnych punktach powierzchni ziemi nie są jednakowe i nigdy jednakowymi nie były. Są do dziś dnia ludy używające broni kamiennej, gdy Europa od tysięcy lat przechodzi okres żelazny. Niektóre ludy przeskoczyły jakoby okres brązowy, gdyż, dzięki częstym stosunkom z ludami posuniętymi cywilizacyjnie wyżej, weszły odrazu w okres żelazny.

W przekazanych nam przez starożytność obrazach pierwszych dziejów ludzkości widzimy pstroką mozaikę tworów poetycznej wyobraźni i pojęć prawdziwych. Najdokładniejszy i najbardziej znany opis zaczątków cywilizacyi podał Lucretius, żyjący w ostatniem stuleciu rzeczypospolitej rzymskiej. Możemy tu przytoczyć tylko szczegóły najgłówniejsze. Podanie o olbrzymach, którzy pieszo morza przechodzili, a rękoma sięgali niebieskiego stropu, zowie on bajeczkami. Niemniej przecież budowa szkieletu i siła mięśni ludzi pierwotnych wcale inna była niż dzisiejszych.

„Ognia jeszcze nie znali, więc go używać

[nie mogli;

Nie sporządzali ze skóry zwierząt zabitych

[odzieży.

Lasy, zarośla, jaskinie w górach były ich chaty;

W krzakach ciała swe brudne kryli przed

[wichrem i słońcem.“

Uzbrojeni kamieniami i maczugami polowali na słabsze zwierzęta leśne; przed silniejszymi uciekać musieli, a nieraz i ustępować im swoich legowisk w jaskiniach. Niejednego rozszarpały zęby drapieżnych bestyj. Nieosobliwie im się wiodło, ale, dodaje poeta, który już wówczas, podobnie jak dzisiejsi bracia jego w Apollinie, chętnie mówił o mniemanych ciemnych stronach cywilizacji:

„Ale nie ślano tysięcy ludzi na boje śmiertelne;  
Fale i skały podwodne nie druzgotały okrętów.“

Jak gdyby patrzył na masowe katastrofy dni dzisiejszych!

„Kiedy już chaty klecili, ogień i skóry poznali,“ natenczas dopiero, według mniemania poety, zjawiła się zdolność mowy, związki małżeńskie, wychowanie dzieci, stosunki sąsiedzkie i t. d. Dzień każdy nowe przynosił wynalazki. Wkrótce powstały miasta i grody, władza królewska i prawa. Panował rodzaj ustawy lennej. Książęta obdzielali rolę i bydłem każdego:

„Jak zalecała go postać i siła ciała i ducha;  
Byłyż bo wówczas cenione krzepkość i męzka  
[postawa.“

Wśród takich stosunków przyszedł niebawem dobrobyt—„i złoto wreszcie poznano“—a z niem pychę i inne namiętności. Wynikiem takiego postępu były krwawe przewroty. Dopiero teraz wspomina poeta o początku nauki o bogach

i wszelkiej wogóle nauki. Jako filozof ze szkoły Epikura, niezbyt wysokie ma o bogach mniemanie.

„Bogom na stałą siedzibę i na mieszkanie oddano  
Niebo, gdyż po niem swe kręgi toczą i słońce  
[i księżyc,  
Na niem w nocy migocą gwiazdki i lotne pło-  
[myki;  
Grzmoty huczące i błyski, burz towarzysze straszliwych.  
O, nieszczęśliwa ludzkości, wszystko to bogom  
[przyznałaś;  
Co jeszcze gorsza: to wszystko znaki być mają  
ich gniewu!  
Ileż westchnień żalonych piersią twą odtąd  
[wstrząsnęło,  
Ileż ran swoim wnukom, ileż im łez zgótowałaś!“

Mylne o bóstwie pojęcie, mówi Lucretius, pozbawia nas spokojnej rozwagi. Wtrąca nas ono w wątpliwości, które sprawiają, że najważniejszych pytań o początku i końcu świata nie możemy rozpatrywać niezmaconem okiem. Czy zręby budowy wszechświata zdołają po wszystkie czasy dźwigać brzemień ruchu choćby tak wymiarowanego? Czy też bóg jakiś obdarował je trwaniem wiecznym? Poeta waży się, jak widzimy, na najwyższe zagadki wiedzy i skarży się na przeszkodę, z którą myśliciele przez wiele jeszcze stuleci walczyć będą.

Według Lucretiusa wszystkie dotychczasowe postępy dokonane zostały przed poznaniem metali: „Ręce, paznogie, zęby“—powiada—

„Były orężem najstarszym, równie jak kij albo  
[kamień.

Potem, kiedy poznano ognia i żaru skuteczność,  
Wtenczas potęgę odkryto spiżu i siłę żelaza,  
W rękach człowieka atoli spiż wyprzedził żelazo,  
I obfitszy jest bowiem, i podatnością celuje.

Spiż łono ziemi rozdziera, spiż pruje wodne  
[głębiny.

Później, później dopiero miecze ukuto z żelaza.  
Celowo także haniebnym służą brzeszczoty że-  
[lazne.“

(Versaque in opprobrium species est falcis ahenae—aluzya do tych praktyk, do których przedtem używano kamiennych noży.)

„Wreszcie żelazem zaczęto krajać ziemi skorupę,  
I niepewne rozstrzygać losy krwawych zapasów.“

Obecnie czynione są gorliwe poszukiwania, zmierzające do oznaczenia obszaru, na którym najpierw rozwinął się brązowy okres cywilizacji, miejsca, gdzie najpierw znaleziono szacowne pokłady kruszcu, i z kąd przemysł brązowy rozszerzył się do innych okolic. Lucretius inaczej o tem sądził. Zdaniem jego, podczas jakiegoś olbrzymiego pożaru lasu, siła ognia dosięgła różnych żył kruszczowych i spowodowała ich stopienie. Kiedy strugi rozmaitych kruszców (złota, srebra, miedzi i ołowiu) zbiegły się na do-

stępnej przestrzeni, połysk i gładkość zakrzepłej masy zdumiały i znęciły człowieka. Wydobył spiż, a zarazem odkrył sztukę przygotowywania odlewów, spostrzegając, jak metal wypełnił wszystkie wydrążenia na swojej drodze.

Później przekonał się, że szacowny ten materiał można wyciągać przez kucie, zaostriać go jak grot, nadawać ostre kanty, drzewa nim wyrąbywać i gładzić, obrabiać belki, wiercić otwory. Zrobił więc z bronzu pierwsze swoje metalowe narzędzia: siekiery, młoty, gwoździe, dłuta.

Lucretius nie znał oczywiście tak dokładnie jak my bronzu przedhistorycznego, można mu więc wybaczyć błąd, w którym zresztą i ziarnko prawdy się znajdzie. Takie zdarzenie, jakie odmalował, w samej rzeczy mogło być nieraz, póki po wielu próbach i przypadkach nie trafiono na właściwą receptę przygotowywania bronzu, której się odtąd z zadziwiającym uporem trzymano.

Pierwsze stopnie rozwoju materialnego i uprawy duchowej człowieka przedstawił Lucretius z wielką bystrością, obrazowo i poetycznie, w słowach pełnych ciepła i płynących z przekonania. Wszystkie pozostałe świadectwa, jakie nam przekazała starożytność, ustępy z Hezydoda, Eschylesa, Herodota, Platona, Pliniusza i Strabona zaledwo warte są uwagi bez względu na to, czy brzmiały podobnie czy inaczej. Diodor Sycylijski (współczesny J. Cezara i Augusta) wspomina, że za jego

czasów rozmaicie zapatrywano się na kwestyą pochodzenia człowieka. Jedni, poczytując świat za wieczny i niezniszczalny, twierdzili, że i człowiek istnieje od wieków, i że daremną byłoby pracą chcieć doszukać się jego kolebki. Inni, poddający wszystko, co ziemskie, pod prawo powstawania i znikania, stosują toż samo prawo i do człowieka. I on, podobnie jak reszta istot żyjących, byt swój zawdzięcza fermentowi ziemi, która, posiadając jeszcze urodzajność młodocianą, wydała go, draśnięta pierwszymi zapładniającymi promieniami ciepła słonecznego.

Początkowo ludzie żyli samopas, bez mieszkania, ognia, narzędzi, rolnictwa i t. d. Zimą kryli się w jaskiniach. Pliniusz zna imiona tych, którzy pierwsi zaczęli w Atenach cegłę z gliny wyrabiać i domy stawiać zamiast jaskiń. Podanie przypisuje wielką liczbę wynalazków Prometeuszowi, tytanowi, usposobionemu przyjaźnie dla ludzi. U Eschyleśa chełpi się Prometeusz, że do jego czasów ludzie nie znali węgielnych kamieni i budynków drewnianych, tylko jak mrówki w ziemi mieszkali. „Mnie zawdzięczają pług, konia pociągowego, okręt.“

Ale opuśćmy fikcje poetyczne, i zwróćmy się do badań. Jasne jest, że zdolności duchowe w człowieku ocknęły się dopiero pod wpływem zewnętrznej pobudki. W owym szczęśliwym (właściwie nieszczęśliwym) klimacie, gdzie dość jest rękę wyciągnąć, aby obfite pożywienie znaleźć,



gdzie niebo wiecznie lazurowe i łagodny wietrzyk nigdy nie karcily człowieka za nagość, brakło bodźca do rozwijania szczególnych zdolności celem zaspokajania potrzeb codziennych. Dopiero zatroskawszy się o „chleb powszedni“, człowiek, wsparty zdolnościami duchowymi, rozpoczął walkę z naturą celem zaprzężenia sił jej do swego jarzma.

Troskę więc o „chleb powszedni“ uważać musimy za pierwszy krok do ludzkości.

Na granicach owych błogosławionych krain, w których bez kłopotu żyć było można, ludzie już podejmować musieli twardszą walkę o byt. A tymczasem przyrost ludności zmuszał do rozsiedlania się na coraz rozleglejszych obszarach, gdzie do zaspokojenia potrzeb należało starań dołożyć. Tu więc człowiek pierwotny musiał zastosowywać się do otaczających warunków, musiał się uczyć sztuką zdobywać to, czego mu przyroda sama nie dawała.

Nietylko przyrost ludności, ale i powolne przesuwanie się stref klimatycznych zagnało człowieka do godzenia swych warunków życiowych ze światem otaczającym. Wątpliwości nie ulega, że takie przesuwania pasów klimatycznych zdarzały się, i że ród ludzki bywał ich świadkiem. Zdolności przystosowywania się do różnych stosunków klimatycznych (aklimatyzowania się) żadne zwierzę nie posiada w tak wysokim stopniu jak człowiek. Niema zwierzęcia, które jak czło-

wiek zdołałby mieszkać i mnożyć się pod równikiem i na Szpicbergu.

Człowieka na najniższym szczeblu cywilizacji możemy dziś jeszcze studyować w afrykańskich Buszmenach. Są to szczęty pierwiastkowego zaludnienia czarnej części świata, zaludnienia wypieranego z wolna przez rasę murzynów czarnobrunatnych. Etyopowie rozsiedli się na północy aż do Egiptu. Egipcyanie byli rasą czerwono-brunatną. Na północo-zachód od nich mieszkają Libijczycy z ciemnobiałem zabarwieniem skóry.

Widzimy tedy najniższy stopień cywilizacji u rasy czarnej, wypieranej z wolna przez rasy jaśniejsze. I w Azji w czasach prahistorycznych istniała rasa czarna (tak zwana „urkuszycka“), która następnie całkowicie tam wymarła. Podobny los oczekuje także czarnych afrykanów. Tak więc rasy, zaludniające owe błogostawione regiony, uległy rasom mieszkającym w okolicach, gdzie dary przyrody muszą być zdobywane ciężką i obmyślaną pracą ludzką.

Lecz uzdolnienie ras zależy od klimatu. Mieszkańcy każdego klimatu są tak uposażeni od przyrody, iż w swojej okolicy mogą mieszkać. Przyroda sama tedy obdarzyła ciemną rasę osłoną przeciw klimatowi miejscowemu. Tak np. Anglicy niezdolni są przenieść klimatu wschodnio-indyjskiego, podczas gdy on służy rodowitym mieszkańcom, dzięki długiemu odziedziczonemu przystosowywaniu się. Okolice zwrotni-

kowe z najbujniejszą roślinnością są siedliskiem gorączek śmiertelnych dla rasy białej; tymczasem rasy ciemne rozwijają się tam pomyślnie. Ciemne ziarenka pigmentu, rozsiane w skórze, dają tym rasom ochronę przeciw chorobom, właściwym gorącemu klimatowi, gdy rasy białe, w swoich siedzibach, ochrony takiej nie potrzebują. Od ilości ziarenek pigmentu czyli od ciemnego zabarwienia skóry, zależy zdolność aklimatyzowania się człowieka w strefach gorących. Zabarwienie skóry nie jest więc rzeczą przypadku ani kaprysem przyrody; owszem, pomaga ono człowiekowi, broni czarnej rasy od wymierania, stawia zaporę napływowi ras jasnych. Ta ochrona, kryjąca się w ciemnej barwie skóry, pozostanie skuteczną, dopokąd temperatura ziemi nie spadnie. Gdyby ziemia kiedyś ochłodziła, albo gdyby w strefie gorącej temperatura zniżyła się o kilka stopni, ciemna rasa ludzka byłaby na wyginięcie skazana.



## Narzędzia i oręż.

---



edług powszechnego ale nieuzasadnionego mniemania, używanie sztucznych narzędzi i broni właściwe jest wyłącznie człowiekowi. Jednakże wielu podróżnych stwierdza, że małpy częstokroć chwytają za gałęzie i posługują się nimi jak orężem: biją lub rzucają na wroga. Edward Mohr świadczy nawet\*), że małpy baboon wiążą łodygi kukurydzy lyczkiem tej rośliny w pęczki, które na ramionach unoszą. Używanie sztucznych narzędzi i broni nie może tedy być poczytywane za cechę odróżniającą człowieka od zwierząt.

---

\*) Nach den Victoriafällen des Zambesi. Lipsk, 1875. Tom I str. 141.

W historii cywilizacji musimy narzędzie i oręż przyjąć za jedno i toż samo. Gałąź, która tylko co była narzędziem do obijania owoców, może natychmiast być użyta za broń przeciw zwierzęciu. Kij zrobiony z gałęzi jest przedłużeniem ludzkiego ramienia. Przedłużenie takie stało się człowiekowi konieczne, odkąd poznał, że naturalna długość ramienia jest niedostateczna do zdobycia pokarmu i do obrony.

Wraz z kijem posłużył kamień za pierwsze narzędzie i oręż. Ziarna spożywać można surowo. Jednakże człowiek musiał poznać, że zyskują na smaku i pożywności, kiedy je przez rozbijanie oswobodzić z łupiny. Spostrzeżenie to musiało wystąpić jasno zwłaszcza wtedy, kiedy owoce już mniej świeże, przytwarde były do gryzienia. Człowiek miażdżył je wtedy kamieniem. Tak opowiada Biblia, że Rut żywiła się na polu, wytłukując ziarna z zebranych kłosów, a nasyciwszy się sama, zaniosiła resztę świekrze do domu.

Nazwę *celt* (z łacińskiego *celtis*—rylec) dano wielu narzędziom i broniom zrobionym z kamienia, podobnym z postaci do zwykłego dłuta. Łatwo było wpaść na połączenie kamienia i kija dla zrobienia młota, gdy już kij na końcu zgrybiały, był znacznie potężniejszym narzędziem niżeli równy. Największą ilość *celtów* zapewne sporządzono dla osadzenia na rękojeści, choć możliwe jest, że były odrazu używane jako dłuta. Niektóre może po dodaniu okładek, były uży-

wane do wyrzynania (rzeźbienia). Dla braku wszakże jakiegokolwiek oprawy trudno rozpoznać, czy służyły za dłuta, czy za topory, czy za ośniki. Ale gdy brzeg jest wcięty, to już nie mogły służyć za topory, chociaż używać się dały jako dłuta lub ośniki. Za typowy pierwotny celt uważać można krzemień, wyglądony przez wodę bieżącą, a sztucznie wyrównany i wyostrzony przez szlifowanie. Południowo-amerykańskie plemiona wybierają krzemki odpowiednie, ścierają ich brzegi i używają ich bądź wprost, bądź przytwierdziwszy do nich rękojeść drewnianą; w Australii robią z nich siekiery na siekierzyskach wierzbowych.

W niektórych okolicach, np. w Skandynawii spotykają się duże zbiory celtów mających kunsztowne formy, ale otłuczone tylko; uważać je należy w ogóle za niedokończony wyrób. Celty natomiast wyostrzone tylko na skraju, a zresztą wcale nie obrobione, są zabytkiem niższej kultury. Takie znajdować można w Europie północnej i nawet w Danii. Zazwyczaj atoli, celty z najtwardszego kamienia były polerowane starannie; sporządzenie dużego celta wymagało tygodni a może i miesięcy pracy, którą podejmowano nietylko dla korzyści technicznej, ile raczej dla ozdoby i artystycznego wykończenia.

Krzemień owalny do trzymania w ręku, służył, a nawet i dziś gdzieś służy za młot. Bezpośrednio wyżej stoi krzemień z rynienką

czyli karbem, w który wkładano wygiętą wierzbinę. Najwyższe miejsce zajmuje młot kamienny z otworem na toporzysko; takich młotków nie znaleziono poza obrębem starego świata, może nawet poza obrębem Europy. Nawet Meksykanie, którzy w wielu względach dorównywali kamieniarzom europejskim, a nawet ich przewyższyli, doszli tylko, jak się zdaje, do karbowania swych młotów. Właściwa siekiera kamienna, różniąca się od zwykłego celta kunsztowniejszą postacią i otworem lub innym urządzeniem na rękojeść, najgłówniej bywa spotykana w dawnej epoce kamiennej w Europie i w okresie przejścia do epoki brązu\*).

Zanim człowiek przewiercił kamień, aby przytwierdzić rękojeść, uciekał się do rozmaitych sposobów wiązania kamienia i kija. Najprostsze urządzenie spotykamy na wyspach Nowej Brytanii. Brzeszczot kamienny jest przymocowany do jakiegokolwiek gałęzi, za pomocą plecionki z rozdartego rotangu. Na brzeszczoty bywają wyszukiwane zazwyczaj kamienie, odpowiednio przez naturę ukształtowane, diabas lub kwarcyt zielony, które zaostwiają się przez szlifowanie. W całej Polinezyi, Mikronezyi i Melanezyi zamiast kamieni są używane muszle, jako znacznie łatwiej dające się oprawić. Urządzenie przytem jest

---

\*) Tylor E. B. Badania nad początkowymi dziejami ludzkości.

zupełnie odmienne. Muszlę zaciskają w rodzaj siekiery drewnianej, przewiązując ją łyckiem z rotangu, a następnie tę drewnianą siekiere przy-mocowują takim samym łyckiem do toporzyska drewnianego. Taka budowa pozwala zmieniać kierunek siekiery w ten sposób, że ostrze może być równoległe lub prostopadłe do trzonka; dość na to prostego przekręcenia; zmiana ta bywa dogodną przy wykonywaniu niektórych robót.

W angielskiej Nowej Gwinniei znajdowano siekiery kamienne szczególnie odznaczające się łatwością obracania brzeszczotu. Siekiera ka-mienna, przywiązana rotangiem przy pomocy wstawionego kawałeczka drzewa, może przy-jmować rozmaite kierunki, co mianowicie przy budowaniu czółen jest nader pożyteczne. Jeszcze w r. 1882 podróżnicy widzieli krajowców używa-jących do ciesiołki siekier kamiennych, pomimo że dobre amerykańskie żelazne siekiery były pod ręką.

Na wyspach Pomotu siekiery kamienne są tak ciężkie, że oburącz tylko rąbać niemi mo-żna. Ostrze jest osadzone w kierunku poprzecz-nym, jak u cieśli okrętowych. Do przymocowa-nia służy rotang.

Już Grecy i Rzymianie znali celty i siekiery kamienne, które znajdowali najczęściej przy upra-wie roli. Nazywali je strzałkami piorunowemi, którą to nazwę rzeczono narzędzia po dziś dzień przechowały w wielu krajach. Pliniusz, encyklo-

pedysta rzymski, przytacza w tym względzie z dawniejszego pisarza: „Sotacus zna dwa rodzaje strzałek kamiennych: czarne i czerwone; oba rodzaje podobne są do siekier. Czarne służą do zdobywania miast i okrętów; jeżeli mają formę zaokrągloną, to zowią je „baetylami.“ podłużne noszą miano „strzałek piorunowych.“ Znany też jest i trzeci rodzaj, bardzo rzadki, gorliwie poszukiwany przez czarnoksiężników partyjskich, a znajduwany tylko w miejscach przez piorun nawiedzonych.“ Tem się tłumaczy, że wódz Galba kazał w Kantabryi przeszukać całe jezioro, gdy się dowiedział, że w nie piorun uderzył. Na dnie znaleziono dwanaście siekier kamiennych. Dla nas jest to dowodem, że znajdowały się tam niegdyś budowle na palach z epoki neolitycznej\*). Dla rzymskiego wodza atoli było to znakiem, że Opatrzność przeznacza dlań tron cesarski, co się też istotnie później sprawdziło. Poeta Claudian wiedział, że w jaskiniach Pireneów często bywają znajdowane siekiery kamienne i w dytyrambie każe nimfom rzeczonym zbierać te talizmany na podarunek dla cesarzowej.

Przesądowi temu pierwszy cios zadało wydrukowane w r. 1717 dzieło zmarłego w r. 1593

---

\*) Epoka kamienna neolityczna. Jak już nadmieniliśmy wyżej, epoka kamienna, bronzowa i żelazna nie może być przyjmowana równocześnie dla całej ziemi, ale tylko dla pewnego ludu w chwili danej. Pamiętać o tem należy, ilekroć jest mowa o której z tych epok.

mineraloga *Michele Mercati*. Zrozumiał on prawdziwe przeznaczenie celtów i siekier kamiennych, co więcej, zajmował się krzemiennymi nożami i ostrzami strzał, oraz podobnymi wyrobami z rogu i kości, i objaśnił, że są to bronie i narzędzia z odległych czasów, w których używanie metali nie było jeszcze znane.

Groty (ostrza) do strzał były dawniej także przedmiotem zabobonnych uprzedzeń. Znamy ozdoby starożytne z tych neolitycznych wyrobów, używane jako amulety (np. zawieszane na złotych naszyjnikach etruskich). Oprawne w srebro lub miedź bywają dotąd cenione jako amulety przez Włochów i Irlandczyków. W grobie mnicha burgundzkiego z 17 wieku znaleziono podobny prastary kawałek broni zawieszony na różańcu.

Kamień służyć musiał do wyrobu tych wszystkich narzędzi, które dziś sporządzamy z żelaza. W użyciu także były zamiast kamieni muszle i kości. Posiadamy wiele historycznych dowodów używania kamieni. Liczne podania religijne przekonywają również o tem, że w czasach, w których wzięły początek, znano tylko sprzęty kamienne.

Stara pieśń chińska opowiada, że w dawnych czasach posługiwali się chińczycy orężem kamiennym. Panujący dawniej w Europie przesąd o „piorunowych strzałkach“ odnajdujemy także u Chińczyków. W encyklopedyi chińskiej

cesarza Kang-hi, którego panowanie zaczęło się w r. 1662, czytamy, co następuje:

„Kamienie piorunowe. Postać i istota kamieni piorunowych różna bywa w rozmaitych miejscach. Koczujący Mongołowie i zamieszkali w okolicach Szamo używają ich zamiast miedzi i stali. Niektóre z tych kamieni używane były jako topory, inne jako noże, jeszcze inne jako kafary. Te kamienie piorunowe bywają rozmaitego zabarwienia: niektóre czarniawe, inne zielonkawe. W romansie z czasów Tang'a jest opowieść, że w Yu-men-si był wielki miao poświęcony grzmotowi, i że ludność miejscowa składała rozmaite ofiary, aby pozyskiwać takie kamienie. Bajeczka ta jest śmieszna. Kamienie piorunowe są to metale, kamienie, żwiry przez piorunowy ogień zdruzgotane i w jedną masę razem złączone. W niektórych takich kamieniach można wyraźnie rozpoznać pewien rodzaj zeszklenia.“

Tacyt wspomina o Finnach, że „całą swą ufność pokładają w strzałach sporządzonych z ostrych kości w braku żelaza.“

Nieżmierną ilość zabytków z epoki kamiennej w Japonii objaśniają mieszkańcy deszczem kamiennym; także mówią, że corocznie wojska duchów lecą w powietrzu ze dżdżem i wichrem, a kiedy się niebo wyjaśni, to ludzie znajdują w piasku strzały kamienne, upuszczone

przez duchy. I w Japonii celty kamienne są nazywane „strzałkami piorunowymi“ \*).

Na wyspie Jawie i na półwyspie Malajskim znajdowane celty kamienne są również tam po-czytywane za strzałki piorunowe.

Język dostarcza wielu dowodów używania kamieni do wyrobu narzędzi i broni. Należy tu zauważyć, że częstokroć wyraz pozostaje niezmienny, mimo że się rzecz sama pod względem swego materiału zmieniła. Dlatego to nazwa kamienia utrzymała się w wielu razach, jakkolwiek w następstwie zamiast kamienia używać zaczęto metalu. Tak w Ameryce północnej Algonkwiniowie nazywają miedź *miskwaubik* tj. czerwonym kamieniem, a mosiądz *ozawaubik* tj. żółtym kamieniem. Jedno z plemion indyjskich oznacza wyrazem *e-reck* (kamień) wszystkie metale bez różnicy. W mowie Delawarów *opik* znaczy „biały“, a *assuum* — „kamień.“ Stąd powstała nazwa srebra *opussuum* „biały kamień“, i w zakończeniu wyrazu *uisauaasun* znaczącego „złoto“ odróżniamy nazwę kamienia. W języku Mandanów wyrazy *mahi* „nóż“ i *mahit-schuke* „krzemień“ są w oczywistym związku. Nawet w niemieckim doszukać się można takich pokrewieństw. *Hammer* „młot“, po staronorycku *hamarr* oznaczał zarówno młot i skałę. Łaciński wyraz *saxum*

---

\*) Rai fu seki czyli Tengu no masakari — „siekiera kamienna Tengu.“ Tengu jest strażnikiem nieba.

„skała“ pochodzi może z czasów, kiedy umiano krajać *secare* \*) tylko za pomocą kamieni; ten sam pierwiastek tkwi w staroniemieckim *seahs* i w anglosaskim *seax*—„nóż“.

Że rasa semicka niegdyś posługiwała się także nożami kamiennymi, dowodzą tego przede wszystkim dwa miejsca Pięcioksięgu: Exodus 4, 25 „Tedy wzięwszy Zephora krzemień“ i Jozue 5, 2 „Tego czasu rzekł Pan do Jozuego: Uczyni sobie noże kamienne“. W obu tych miejscach mowa jest o obrzezaniu, do którego miał służyć nóż kamienny. Tylor czyni przytem uwagę, że jakkolwiek żydzi nowocześni używają na ten cel noża stalowego, to jednak bywa robiony wyjątek; a mianowicie jeśli dziecię płci męskiej umiera nie dożywszy ósmego dnia, natenczas przed pogrzebem bywa obrzezane, ale nie narzędziem zwykłym, tylko krzemieniem lub szkłem. W przypisku nadmienia Tylor: „powagą, na której się opieram co do powyższego szczegółu, jest Mr. Filip Abraham, sekretarz Synagogi reformowanej przy Margareth-Street, Cavendish Square“. Tylor przytacza jeszcze ustęp z Miszny, który brzmi: „Jeżeli kto zarznął (zwierzę) sierpem ręcznym, kamieniem (ostrym) albo trzciną, to jest *koszerne*“, co znaczy, czyste i zdatne do jedzenia. Tu nietylko ze związku zdań, ale także i z ke-

---

\*) Polskie — *siekać*; stąd *siekiera*. *Przyp. tłum.*

nieczności wytoczenia krwi wynika, że mowa o kamieniu jako o narzędziu ostrem, tnącym.

Dowód zastosowania noża kamiennego w wypadku, w którym żelazny nóż byłby dogodniejszy, znajdujemy w Herodocie, który podaje, że w Egipcie przy balsamowaniu rozcinano bok trupa ostrym etyopskim kamieniem. Dyodor Sycylijski opisuje dokładniej: „A najpierw, na lewym boku trupa leżącego na ziemi oznacza tak zwany pisarz, jak długie ma być nacięcie. Tak zwany rozpruwacz (paraschistes), uzbrojony kamieniem etyopskim, rozcina mięso na przestrzeni prawem dozwolonej, i natychmiast ucieka, otaczający zaś ścigają go, obrzucają kamieniami, przeklinają i, że się tak wyrażę, zgrozę takiego czynu nań wrzucają, gdyż kto obywatela skaleczy, jest uważany za zohydzonego.“ W wykopaliskach egipskich znajdujemy dwa rodzaje nożów z krzemienia łupanego wyrobionych nader ozdobnie: jedne podobne są do małych toporków, inne przypominają bardziej lancety i zdają się być stosowniejszymi do balsamowania.

Wszelako nietylko w Egipcie ale i w całej Afryce są ślady używania kamieni na oręż i na rozliczne sprzęty. Obok kamieni, jak wspomnieliśmy wyżej, posługiwano się także rogiem i kośćmi. Według Herodota Etyopejczycy afrykańscy w wojsku Xerxesa nietylko mieli strzały z grodami kamiennymi, ale także oszczepy z zaostrozonymi rogami antylop. Strabo wspomina o ple-

mieniu, które zaostrzało w ogniu strzały trzcino-  
we, i o innym, używajacem za oręż rogów an-  
tylop.

Mnóstwo narzędzi kamiennych znaleziono  
w Europie. Znacznych plonów dostarczyła Szwa-  
carya, Francya i Europa północna. Nie podlega  
już wątpliwości, że wszystkie ludy na pewnym  
stopniu cywilizacyi sporządzały broń i narzędzia  
z kamienia.

Pierwsze narzędzia i bronie, oprócz tego że  
ułatwiły lub wręcz umożliwiły człowiekowi wy-  
szukiwanie pożywienia, stały się jeszcze powodem  
innego postępu cywilizacyjnego: *posiadania* czyli  
*własności prywatnej*.

Dary przyrody, każdemu dostępne, kto pó-  
nie ręką sięgnie, mogły dopiero stosunkowo pó-  
źniej stać się własnością prywatną. Narzędzia na-  
tomiał, których wyrób odbywał się kosztem dłu-  
giej, często i mozolnej pracy ludzkiej, musiały  
obudzić w człowieku życzenie zatrzymania ich na  
posiadanie wyłączne. Broń i narzędzia tedy sta-  
ły się pierwszą własnością człowieka, one posłu-  
żyły za podstawę, na której urosło tak dziś wy-  
soko znaczące w cywilizowanym życiu pojęcie  
własności.

Lippert \*) robi uwagę, że nawet w zakresie  
przedmiotów posiadanych narzędzia pierwotne

---

\*) Die Kulturgeschichte. Von Jul. Lippert. Tom II  
str. 93. Lipsk 1886.

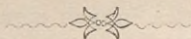
z sobą noszone zachowały pewne znaczenie szczególne; do naszych niemal czasów uchodziły one za coś niezbędnego do całości człowieka. Stoją tu w jednym rzędzie od prastarych wieków: kij, oszczep, miecz, młot, topór, nóż. Nietyle już zrosi się ludzie z łukiem i strzałami. Szczaćkiem dawnej epoki jest zwyczaj noszenia sztućca (widelca i noża) w osobnej kieszeni u spodni, zachowany dotąd u włościan w okolicy Chebu (Eger).

Tu może na swoim miejscu byłaby także uwaga, że prawie we wszystkich państwach, posiadających ustaloną procedurę cywilną, narzędzia zarobkowania nie mogą być przedmiotem zastawu. Prawda, że zakaz ten jest motywowany ich niezbędnnością do utrzymania życia dłużnika, jednakże względ ten nie stoi na przeszkodzie zastawianiu mnóstwa innych niemniej koniecznych przedmiotów. Nie pomylimy się więc może, upatrując w rzeczonym zakazie pamiątkę pierwotnych czasów cywilizacji ludzkiej.

Będziemy jeszcze mieli w następujących rozdziałach sposobność pomówienia o rozmaitych sprzętach. Narzędzia i oręż z kamienia znamionują u wszystkich ludów najdawniejszy stan cywilizacji, nie nikną wszakże natychmiast z chwilą ukazania się wyrobów z metalu.

Poznawszy metalowe przedmioty, zachowywano jeszcze kamienne, dopokąd używać się dały, a więc przez czas dosyć długi z uwagi na

ich trwałość. Stąd u żadnego ludu nie można oznaczyć granicy ścisłej między epoką kamienną i metalową, gdyż kamień i metal długo są używane równocześnie. Tak np. wyspiarze na południowych morzach w czasie przybycia pierwszych Europejczyków żyli w okresie kamiennym; podobnież niektóre plemiona indyjskie w Ameryce Północnej. Od owego czasu okresy kamienny i żelazny istniały tam jednocześnie, i kiedyś może znajdzie się w jakim wykopalisku strzelba z siekierą kamienną. Zwykle więc rozróżnienie okresów cywilizacyjnych ma bardzo ograniczoną, lokalną wartość.



## Ogień i jego zastosowanie.

---



Niewdzięcznym jest zadaniem dociekać, czy były ludy nieznające użycia ognia. Pewnym jest, że obecnie sztuka niecenia ognia stanowi nieprzekroczoną granicę między człowiekiem a zwierzęciem, i że nie ma ludu, któremu by ta sztuka była obcą. Ale niemniej pewnym jest i to, że niecenie ognia musiało pierwotnie być wynalezione, jakkolwiek dzieje nie wspominają o takim ludzie, któryby ognia nie znał. W błędzie też jest Lippert, gdy opierając się na relacji T. R. Tale'go w *American Naturalist* z r. 1889 str. 229, przyjmuje, że mieszkańcy wyspy Bowditch nie znali ognia. To samo dzieło, w którym powyższe twierdzenie jest

zamieszczone \*), zawiera także dane przekonywające, że się rzecz ma inaczej; przytacza też nazwę ognia w języku miejscowym, a mianowicie *a fi*. Jakoż późniejsze poszukiwania dowiodły, że mieszkańcy tej wyspy istotnie ogień znali i że nazywali go *a fi*.

Najsłuszniejszym zdawałoby się przypuszczenie, że pierwszy ogień otrzymał człowiek z drzewa zapalonego przez piorun. Peschel jednak zwraca się przeciw tej hipotezie z zarzutem niebezpiecznym zapewne, iż taka sposobność dawała poznać tylko niszczącą potęgę ognia, zdolną raczej zniechęcić człowieka do korzystania z tej siły przyrody.

Dopiero działanie dobroczynne ognia mogło nakłonić człowieka do przyswojenia sobie sztuki niecenia i spożytkowania ognia.

Najdawniejszy znany sposób wydobywania ognia polega na wierceniu. Możliwą jest atoli znajomość ognia przed wynalezieniem tego sposobu. Za prawdopodobieństwem takiej znajomości przemawiają niezliczone podania, pieśni, a nawet spostrzeżenia dokonane w czasach historycznych. Mamy wiadomości o wielu szczepach, że znały ogień i używały go, ale wydobywanie ognia było dla nich wielce trudne, bodaj prawie niemożliwe. Trudność ta musiała być szczególnie

---

\*) Wilkes, Narrative of U. S. Exploring Exp. 1838—42; London 1845 vol. V p. 18.

dotkliwą dla koczowników, którzy oddzielnym stróżom powierzali pieczę nad tem, aby ogień nigdy nie wygasał. Spotykany częstokroć u rozmaitych ludów kult „wiecznego ognia“, „świętego ognia“ sięga prawdopodobnie czasów, w których niecenie ognia było wielce uciążliwe.

Jeżeli więc ogień był w użyciu przed wynalezieniem sposobów rozniecania, to sama przyroda musiała zaznajomić z nim ludzi. Naturalne źródła płomieni — wulkany — rozpościerają się we wszystkich strefach. Choćby, według przypuszczenia Lipperta, człowiek zapalił pierwszą trzcinę od ognia piorunowego, to jednak zjawiska wulkaniczne nastęrczają inne ułatwienia, które musiały się w oczy rzucać.

Przed stu laty wypełniła lawa dolinę rzeki Skapta w Islandyi, a strumienie, które się po kraju rozplynęły, miały do pięciu mil (angielskich) szerokości. Podobne strumienie lawy również w historycznych czasach spłynęły na wyspie Hawai do morza. Groza wybuchu dawno już minęła, zanim te rozżarzone masy ochłody. Niekiedy pod skrzeplą i zimną skorupą wierzchnią pozostaje w ruchu płynne, ogniste jądro. Gdzie pęknie skorupa, tam dość jest wetknąć trzcinę w miejsce, skąd się dym i para dobywają, a koniec trzciny żywym ogniem zapłonie. Tryskają też gazy łatwo zapalne, jak znane „źródła ognia“ nad morzem Kaspijskiem. I tu kij długi mógł wydobyć nieśmiertelną iskrę.

Wszystko to przecie są tylko przypuszczenia, choć na dużem prawdopodobieństwie oparte. Ciekawem jest spostrzeżenie, iż we wszystkich okolicach globu ziemskiego pierwsze narzędzia do niecenia ognia były co do swej istoty jednakie. Widzimy stąd, że przyrodzona konieczność doprowadzała wszędzie do jednakowych wyników.

Kapitan Cook widział stosowanie tych narzędzi u krajowców australijskich, a opis przezeń podany może być przyjęty jako typowy, gdyż odmiany spotykane gdzieindziej nie mają istotnego znaczenia. Cook pisze o Australijczykach: „Zdumiewające jest, jak łatwo niecą i rozszerzają ogień. Biorą w tym celu dwa kawałki suchego, miękkiego drzewa; jeden kawałek — to kij mający ośm do dziewięciu cali długości; drugi kawałek jest płaski. Trzymając kij oburącz i przyciskając tępy jego koniec do płaskiego kawałka, nadają mu ruch obrotowy podobny do ruchu mątewki, przyczem ręce często do góry wznoszą i znowu prą ku dołowi, aby ciśnienie powiększyć. W niespełna dwie minuty wydobywa się ogień, a najmniejszą iskierkę umieją bardzo zręcznie i szybko rozżarzyć“.

Większa część ludów układa płaskie drewno na ziemi. Nie jest też obojętną rzeczą, jakie gatunki drzewa są użyte; od tego zależy pośpiech w wydobywaniu ognia.

Dotąd używają powyższego sposobu w Afryce.

Dziki Australijczyk znalazł jeszcze dwa inne sposoby niecenienia ognia. W szczelinę obalonego i zmurszałego drzewa wkładał trawę suchą, i pocierał, aż trawa od rozgrzanego drzewa zajęła się płomieniem. Drugi sposób na tem polegał, że polano przyciskane piersią do ziemi pocierali drugim polanem jak skrobaczką. Polinezyjczycy tarli końcem kija po wyźłobieniu zrobionem w drugim kawałku drzewa.

Niektóre ludy wprowadziły rozmaite ulepszenia celem ułatwienia tej manipulacji. W Afryce np. zastosowano do kija oprawę trzciniową, aby dać ręce silniejszy punkt oparcia. Indianie północni owijali dokoła kija rzemień i ciągnęli naprzemian to za jeden to za drugi koniec rzemienia, ułatwiając sobie tym sposobem obracanie. Wszelako przy takiej robocie potrzeba było dwóch ludzi: jeden ciągnął rzemień, a drugi naciskał kij. Aleutowie oszczędzili pracę jednego człowieka, przyciskając kij zębami, gdy ręce pozostały wolne do pociągania rzemienia.

Dalsze ulepszenie polegało na zastosowaniu łuku z obwisłą cięciwą zamiast rzemienia. Cięciwę można raz owinąć na kiju, a wtenczas jedna ręka wystarczy do nadawania ruchu obrotowego; druga służy do przyciskania.

Magelhaens zwiadał w r. 1520 Patagonią, gdzie wówczas niecono ogień, pocierając dwa kawałki drzewa. Wyższą metodę zaprowadzili od wieków mieszkańcy Ziemi Ognistej: krzeszą ogień krzemieniem o kawałek piryty żelaza. I inne

ludy używały pirytu żelaza do krzesania ognia zamiast stali. Wspomina o tem Sarmiento de Gamboa już w latach 1579—80.

Zdaje się, że na krzesanie ognia krzemieniem wpadły niektóre ludy samoistnie. Indyjanie Niewolniczy i Indyjanie Dog-Rib jako też Eskimosi uderzali krzemieniem o kamień żelazny (gatunek rudy żelaznej). Tegoż samego sposobu zapewne używali Indyjanie Algonkwinowie, o których o. Le Jeune opowiada, że krzesali ogień dwoma kawałkami minerałów. Kamienia żelaznego i krzemienia używali również Grecy i Rzymianie do krzesania ognia.

Zuccheli opowiada w swej podróży po kraju Congo o sposobie krzesania ognia, używanym przez Negrów będących w drodze. „Jeżeli na ścieżce znaleźli krzemień, to klękali, brali w rękę kawałek drzewa, posypywali go piaskiem i tarli krzemieniem, dopokąd się drzewo nie zaczęło palić; wtedy wszyscy zapalali fajki i raźnie w dalszą drogę ruszali.“

Że Grecy za Arystofanesa znali szkła palące, dowiadujemy się z rozmowy Sokratesa ze Strepsyadesem pomieszczonej w komedyi „Chmury“.

*Sokrates.* Bardzo dobrze. Teraz ci zadam inne drażliwe pytanie. Gdyby ktoś podał na ciebie skargę, żeby od ciebie wyciągnąć pięć talentów, jakim sposobem udaremniłbyś proces?

*Strepsyades.* Wynalazłem bardzo podstępny środek na to, jak sam przyznasz.

*Sokrates.* Jakiż to środek?

*Strepsyades.* Wszak widziałeś w sklepie z ziołami ów kamień piękny, przezroczysty, którym się nieci ogień?

*Sokrates.* Mówisz o kryształach?

*Strepsyades.* A właśnie.

*Sokrates.* Cóż tedy?

*Strepsyades.* Wystaw sobie, że biorę ten kamień, i w czasie wnoszenia skargi przed sędziego stoję pod słońce w pewnej odległości i wypalam litery.

*Sokrates.* Wybornie, klęę się na Gracye.

W późniejszych czasach wspomina Pliniusz o kulach szklanych napełnionych wodą, które tak się zagrzewają, gdy są trzymane naprzeciwko słońca, że w ubraniu pożar wzniecają. Kule takie uważa za wyśmienite dla chirurgów. Pliniusz przestrzega także, iż zwierciadła wklęsłe, naprzeciw słońca trzymane, mogą spowodować pożar. Chińczycy używali do niecenia ognia soczewek szklanych, a także kamienia i stali.

Z Plutarcha dowiadujemy się, jak rozniecały święty ogień westalki, jeżeli im wygasł. Zauważyć należy, iż tylko ze słońca wolno było czerpać płomień czyste, nieskalane. „I nieciły go szczególnymi naczyniami wklęsłymi, mającemi postać trójkątów prostokątnych równoramiennych, z wierzchołkami przygiętymi ku wspólnemu środkowi. Jeżeli taki przyrząd umieścić naprzeciw słońca, iżby wszystkie promienie nań pada-

jące zewsząd się odbijały i łączyły w środku, natenczas rozrzedzone powietrze rozstępuje się, a materiały najlżejsze i najsuchsze, wystawione na działanie tych promieni, zaczynają goreć, gdyż odbite promienie ucieleśniają się, zyskując ognistą potęgę“.

Szczególniej ciekawe jest, że podobny sposób, jak wzmiankuje Garcilaso de la Vega, był używany w Peru \*). Opowiada on, jak obchodzono święto Ragmi czyli Słońca w starożytnym Peru, przypadające w dniu przesilenia letniego. „Ogień na tę ofiarę musiał być nowy, dany, jak mówili, ręką samego słońca. Do tego celu służył duży naramiennik, który nazywają Chipana (podobny do noszonego zwykle na lewem ramieniu przez Inkasów); przechowywał się on u wielkiego kapłana; większy był niż zwyczajne, a za medalion służyła mu czaśza jak pól pomarańczy, świetnie wypolerowana; trzymali to wprost słońca, a w pewnym punkcie, w którym się promienie zbiegały, umieszczali nieco bawełny delikatnie zgrempowanej, gdyż nie umieli przyrządzać innego żarzewia łatwo zapalnego; bawełna ta oczywiście wkrótce się zapalała. W tym ogniu ręką słońca danym palili ofiarę i przy tym ogniu wszystko mięso dnia tego było pieczone. A nie-

---

\*) *Comentarios reales, que tratan del origen de los Incas reyes que fueron del Peru* (Dzieje Inkasów peruwiańskich). Tom I, Lizbona 1609. Tom II Cordova 1617.

co ognia nieśli do świątyni słońca i do domu dziewic, które doglądały tego ognia przez rok cały, i było złą wróżbą, jeśli mu dozwoliły ugasnąć.“ Podobieństwo dziewic westalek w Rzymie i dziewic słońca w Peru (w mieście Kuzko) tak jest zupełne, że nawet wątpiono o wiarogodności opisu Garcilasa, czyniąc mu zarzut, iż nie według prawdy ale według Plutarcha pisał.

Zdobywanie *nowego* ognia przechowało się jako obrządek w całej Europie aż do najnowszych czasów. Mówimy tu o tak zwanym *ogniu czyszczącym*, zabytku zwyczajów pogańskich, potępianym przez kościół. Wiadomości o ogniach czyszczących w Hanowerze sięgają roku 1828, a w Anglii roku 1826. O tym ogniu i jego celu w wieku siedmnastym w Niemczech opowiada Reiske, co następuje:

„Kiedy na bydło duże i drobne padła zaraza, od której trzody wiele ucierpiały, natenczas wieśniacy urządzali ogień czyszczący. W dniu oznaczonym nie ma być ognia w żadnej chacie i na żadnym ognisku. Każda chata dostarczyć musiała słomy, wody i łuczywa. Zabijano w ziemię mocny kół dębowy, wiercono w nim dziurę i w tę dziurę wtykano drewniany kołowrot, należycie smołą wysmarowany, który obracano dopóty, aż skutkiem mocnego rozgrzania płomień wybuchnął. Chwymano ten płomień odpowiednimi materyałami, podsycono go smołą,

wrzosem i łuczywem, aż mocno zapłonął ogień czyszczący. Ogień takowy należało rozpostrzec wzdłuż między ścianami a płotami, dostatecznie szeroko; przepędzano przezeń bydło i konie kijami dwukrotnie lub trzykrotnie.“ Rozmaite powagi wskazują inne sposoby urządzania przyborów do niecenia ognia, i niezawsze opisy są zrozumiałe. Niewątpliwie wszakże w wielu miejscowościach stosowano stary zwyczaj indyjski, polegający na obracaniu kołka za pomocą postronka, dopokąd skutkiem tarcia ogień nie wybuchł.

Zadaleko zaszlibyśmy, chcąc wyliczać wszystkie obrzędy i zwyczaje rozmaitych ludów już posuniętych w cywilizacyi, związane ze sposobem niecenia ognia używanym w dawnych czasach. Zauważymy tylko, że ognie radosne wielkanocne i świętojańskie oraz niektóre inne świąteczne są tylko odmianami starożytnego obrzędowego ognia. Kościół katolicki utrzymał najwyraziściej starożytny ten obrząd, gdy w wielką sobotę świece kościelne są gaszone i następnie zapalane od nowego święconego ognia.

Opuśćmy wszakże nowe czasy i zwróćmy się do naszych praojców, aby poznać, jaki użytek odnosili z ognia. Błędem byłoby mniemać, że gdy ogień nauczone się niecić, to jednocześnie poznano wszelkie jego zastosowania. Pojęciu człowieka pierwotnego dostępna była przede wszystkim korzyść, wynikająca z ognia w cza-

sie chłodów: grzał się przy nim. Następnie spostrzeżono zapewne, że wilgoć wszelka wysycha przy ogniu. Że mięso wysuszone dłużej przechowywać się daje, to mógł zauważyć człowiek pierwotny już wtenczas, kiedy mu skwarne słońce wysuszyło zdobycz myśliwską. Łatwo teraz wpadł na myśl, że robotę, dokonywaną przez słońce tylko w pewnej porze, teraz był w stanie skutecznić w każdym czasie za pomocą ognia. Zbyt silne wysuszenie mięsa położonego zablizko ognia naprowadziło na wynalazek pieczenia.

Długo poprzestawała ludzkość na pieczonem mięsie, i dotąd są jeszcze okolice, których mieszkańcy o gotowaniu nie wiedzą. Od pieczenia do gotowania duży jest przeskok, bo do gotowania trzeba naczyń niepalnych i nieprzemakalnych. Tak więc pieczenie doszło do wysokiej doskonałości, i różne ludy wynalazły wiele rozmaitych sposobów przyrządzania potraw, zanim doszły do umiejętności używania wody wrzącej celem przysposobienia jadła.

Lippert przytacza taki szereg sposobów produkowania suchych pokarmów. Pasterze we wschodnim Sudanie układają na stosie paliwa kamienie, a kiedy płomień wygaśnie, pieką na kamieniach mięso pokrajane w cienkie płaty. I sam popiół gorący oddaje, acz mniej wykwintnie, taką samą przysługę. Dobrze też jest łączyć jedno z drugim. Patagończycy, wedle spostrzeżeń Muster'a, przyrządzają żołądek strusi tym

sposobem, że najpierw wkładają weń kamień gorący, a potem osypują go popiołem pełnym żaru. Sam rodzaj pieczystego mógł nasunąć taki pomysł. Ale w następstwie postąpili Patagończycy krok dalej i całego strusia zaczęli piec podobnie. Przednią połowę z jamą piersiową łatwo było kamieniami napełnić; druga połowa jest mięsista, i na nią wszakże znalazła się rada. Myśliwiec wyjmuje kość pancerzową i w mięsie robi nacięcia poprzeczne dla pomieszczenia kamieni. Wtedy dopiero wiąże całość w skórę z nóg jak w worek, zamocowuje kosteczką, i wkłada w popiół gorący.

Dalszy postęp zrobili wyspiarze mórza południowych i do wysokiej doprowadzili doskonałości, ale też zatrzymali się na nim. Urządzenie, przez nich używane, otrzymało nazwę „pieca polinezyjskiego“ albo „australijskiego“. Polega ono głównie na tem, że wykopawszy w ziemi jamę, rozgrzewają jej dno i ściany, i zakopują w niej jedzenie. Ta praktyka była z małymi zmianami rozpowszechniona na całym obszarze. Zazwyczaj wykładano jamę kamieniami, niecono silny ogień, a gdy się stos wypalił, odgarniano popioły ku ścianom i wkładano przedmiot, mający być upieczonym: psa, prosię, nawet całą świnię, także ryby, owoce drzewa chlebowego lub korzenie, wszystko czysto owinięte liśćmi bananów. W niektórych okolicach, jak np. na wyspach Tonga, stosują także metodę

Patagończyków i mięso zwierzęcia wypełniają wprzód rozpalonymi kamieniami. Z wierzchu nakładają się również kamienie i popiół, następnie zasypuje się to ziemią. W godzinę lub w kilka godzin wyborne pieczyście jest gotowe. Jeżeli chodzi o dużą ilość drobnych przedmiotów, to się je podobnie układa warstwami. Tak postępują w Australii, w Nowej Zelandyi i dalej ku południowi. Australijski Negryto nad Murray'em, używający za pożywienie trzciny pewnego gatunku, postąpił nieco od pieczenia do gotowania, gdyż od czasu do czasu polewa wodą zawartość swego pieca. Wywiązująca się para rozmiękcza twardą strawę.

Taką samą kuchnię opisuje Livingstone nad rzeką Zambezi w Afryce południowej, tylko zdaje się, że tu używano jej wyłącznie do większych przedmiotów, jak np. do pieczenia nóg słoniowych; z drugiej strony i na przestworach mórz południowych nie jest obcem pieczenie na kijach poprzecznie ustawionych. Znalezione też taki sposób pieczenia u Purysów w Brazylii. Zdaje się więc, że można go uważać za szeroko rozpowszechniony w dawnych czasach. I u ludzi północy zachował się ten zwyczaj, że dół przed otwartem ogniskiem napelniano popiołem, i w nim gotowano. Urządzenie takie nosiło u Duńczyków nazwę „grue“. Nasz piec piekarski, w którym do niedawna nietylko ciasto ale i pieczyście się piekło, jest także podobnym do

łem—murowanym. Wyższość jego na tem głównie polega, że dostęp jest z boku, a górne przykrycie pozostaje trwałe, podczas gdy wyspiarze południowi musieli za każdym razem piec swój rozgrzebywać z góry.

Człowiek doszedł również, że łupiny owoców ziarnistych dają się gorącym rozsadzić. Od wynalazku smarzenia i pieczenia mięsiwa już niedaleko do pieczenia ciasta. Kto przywykł, spożywając owoce ziarniste, popijać wodę, musiał zauważyć niebawem, że mąka z wodą tworzy papkę. Aby taką papkę zachować, suszono ją na gorących kamieniach, jak mięso, tj. pieczono — i tak został chleb wynaleziony.

Irokez i Delawar zarabiał zimną wodą mąkę kukurydzową, ugniatał z niej placuszki wielkości dłoni, a grube na dwa palce, owijał liśćmi, kładł na gorącym popiele i przykrywał rozżarzonymi węglami. W ten sposób piekł sobie chleb. Podobne pieczywo spotyka się i w naszych chłopskich chatach, tylko tu nie jest za chleb poczytywane i nie nakrywa się gorącymi węglami, ale się odwraca, żeby obie strony były wypieczone. „Edda“ zawiera taki ustęp: „Wtedy Edda wyjęła z popiołu bochenek ciężki, lepiaący się i pełen otrąb.“ Dziureczki w chlebie są małeńkie i tuż jedna obok drugiej. Ta okoliczność i ciężkość przekonywają, że jeszcze nie wiadano o wyrastaniu ciasta.

Nachtigall w Afryce północnej jadł „chleb jęczmienny w popiele pieczony“. Beduini i żydzi znali tylko chleb praśny, który suszyli „na gorących kamieniach“ (I. Król. 19, 6.) \*) Zakwaszanie chleba poznali później dopiero, kiedy się osiedlili.

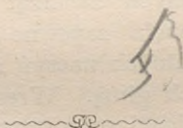
Do gotowania konieczne były, jak już wspomnieliśmy, naczynia niepalne i nieprzemakające. Prawda, że radzono sobie innymi sposobami. Indyjscy Assimboinowie wykładali jamę w ziemi skórami zwierząt, napelniali je wodą, i wrzucali gorące kamienie. Pomysł dowcipny, gdy chodzi o zagotowanie wody bez naczyń kuchennych. Znane z owych czasów naczynia często-kroć były brane wprost z natury. Buszman uważał jaje strusie wypróżnione za naczynie praktyczne, nad morzem znajdowano łupiny orzechów kokosowych, bardzo rozpowszechnione także są łupiny dyni. Do przenoszenia wody mogły służyć skóry drobnych zwierząt czworonożnych. Łatwo się nasunęła zapewne próba uczynienia takich naturalnych naczyń niepalnymi przez wysmarowanie ich gliną. Wreszcie przekonano się, że sama glina jest dostateczna do wyrobu naczyń, a ta uwaga mogła doprowadzić do wynalezienia garncarstwa. Że dokonanie wynalazku garncarstwa na tej drodze nie jest wymy-

---

\*) W tekście Biblii wydania X. Kozłowskiego (Warszawa 1886), wspomniany jest „podpłomny chleb“.

słem fantazyi, zdaje się przekonywać o tem opis podróży odbytej w r. 1503. Niejaki kapitan Gonville z Honfleur znalazł w Indjach południowych lud żyjący z polowania, rybołówstwa, po trochu i z rolnictwa, o którym pisze: „Ich naczynia domowe są z drzewa, nawet garnki, które wszakże na dobry palec grubości są wylepione pewnym rodzajem gliny, nie pozwalającej ogniowi spalić drzewa.“

Dr. D. S. Price mniema, że na formy do lepienia najdawniejszych naczyń glinianych służyły łupiny owoców (np. dyni). Mogło się także zdarzyć, że istotnie oblepiano łupiny dyni, aby je niepalnemi uczynić. Ostatecznie wyjęto łupinę z formy glinianej, gdy się przekonano, że ta forma sama za naczynie kuchenne służyć może. W Afryce południowej znaleziono takie naczynia gliniane powleczone żywicą dla nieprzemakalności \*).



\*) Używano także za naczynia koszów wylepionych gliną. Gdy wypadkiem kosz zgorzał, a glina wypaliła się w ogniu, otrzymano gotowe naczynie gliniane, które służyło za wzór dla dalszych podobnych wyrobów, dopokąd nie wynaleziono stolika garncarskiego.

## Królestwo zwierzęce i roślinne w usługach cywilizacji.

---



Szeroko rozpowszechnione podanie, jakoby najdawniejsi przodkowie nasi mlekiem tylko żyli, uważać musimy za utwór fantazyi. Przeciwnie, lud, który już doszedł do gospodarstwa mlecznego, znajduje się na dość wysokim szczeblu cywilizacji. Do stałego używania mleka zwierzęcego na pokarm potrzeba racjonalnej hodowli bydła, oraz utrwalonego poniekąd wyobrażenia o własności prywatnej, a nadto biegłości w tylu rozmaitych kierunkach, że w owym „złotym wieku”, w ogóle do dziedziny bajecznej należącym, człowiek z pewnością nie zdołał jej jeszcze osiąść.

Jakiego kunsztu wymaga gospodarstwo mleczne, widzimy najlepiej u Zulusów, którzy z po-  
Dzieje cywilizacji.

śró*đ* murzynów najlepszymi s*ą* hodowcami bydła, wszelako do dojenja jeszcze nie doszli. Ażeby mieć mleko, wysysają je ustami i wpuszczają w naczynie. Na dobitkę przechowują to mleko w worach skórzanych. Oczywiście długo słodkiem pozostać nie może. Słodkiego mleka nie lubią też dzicy bynajmniej, a u ludów Afryki południowej obyczaj surowo zabrania dorosłym pić mleko słodkie. Tylko u Hottentotów niema takowego ograniczenia. Że i w dawniejszych czasach mleko nie grało wybitnej roli w rzędzie pokarmów, o tem wnosić możemy z przes*ą*du rozpowszechnionego w całej „czarnej części świata“, jakoby gospodarstwo mleczne wychodziło bydłu na szkodę.

Jakkolwiek tedy oswojenie zwierząt domowych znacznie poprzedza historyczną epokę, to jednak hodowla bydła miała początkowo na celu wyłącznie zapewnienie zapasów mięsa. I do tychczas niektóre ludy hodują bydło tylko dla mięsa, nie znając ani gospodarstwa mlecznego, ani bydła roboczego.

Dokładną wiadomość o rozszerzeniu zwierząt domowych daje nam Volz \*). Początek wszystkich prawie zwierząt domowych jest osłonięty pomroką, szczególnie*Ź* zaś stosuje się to do psa, konia, wołu i owcy. Niektóre domniemania wyrażono wprawdzie, dotąd jednakże nie uchy-

---

\*) Beiträge zur Kulturgeschichte, Lipsk 1852.

lono tajemniczej zasłony. Wiele czasu musiało upłynąć, zanim człowiek zrozumiał wartość i właściwy pożytek otaczających go zwierząt. Zaczął od zwierząt drobniejszych, a korzyści, jakie z nich miał przy swej pracy, zachęciły go do oswojenia i większych czworonogów. Jakoż w pismach hebrajskich powiedziano, że po owcy, wołe i kozie oswoił człowiek osła, potem wielbłąda, a w końcu dopiero konia.

Już w najdawniejszych czasach występuje owca jako zwierzę domowe, rozszerza się po ziemi wraz z człowiekiem, pod jego pieczęcią i obroną. Rozradza się na mnóstwo gatunków, kraj każdy niemal swoją ma odmianę, ale wszystkie te odmiany mało się różnią, zachowując znamienne rysy swoich protoplastów.

Niektórzy badacze uważają korsykańskiego muflona za praojca gatunków europejskich, syberyjskiego argali zaś za przodka ras wschodnich. Według innych owca domowa była od początku poddana człowiekowi.

Żadne zwierzę domowe z wyjątkiem konia nie jest zdolne tak się uszlachetnić jak owca. Dzisiejsza owca wysokiego gatunku, perła inwentarza żywego, jest wytworem tysiącletniej kultury. Przy troskliwym i rozumnym doborze rozplodników dawała częstokroć najpiękniejsze rezultaty co do ilości i jakości wełny; przy hodowli bezmyślnej i nieumiejętnej równie często się

wyradzała. Nigdy wszakże nie zdziczała napowrót, jak się to zdarzało z jej krewniaczką kozą.

Czy odmiany kozy domowej, oswojonej od najdawniejszych czasów, pochodzą od wspólnej rasy i co to była za rasa, dotąd nie rozstrzygnięto; prawdopodobnie pochodzi ona od tej rasy dzikiej, której trzody żyją dotąd na Kaukazie. Koza ulubioną była koczownikom, i dziś jest przyjaciółką i towarzyszką ubogich. W krajach ucywilizowanych mniej jest upowszechniona z powodu swego gustu do obgryzania gałązek i szkodliwości dla rolnictwa.

I wół pospolity, jak sięgnie pamięć dziejowa, jest swojskim zwierzęciem. Zarówno wspomina go Biblia i pisarze świeccy. Trudno o jego przodkach rozstrzygnąć, gdy i najslawniejsi badacze w zdaniach się różnią. Pallas upatruje pierwotną rasę w turach, Cuvier—we wschodnio-indyjskim zebu. W Europie rasa pierwotna, o ile się zdaje, wyginęła.

Oswojenie wielbłąda zarówno dwugarbowego jak i jednogarbowego (dromedara) sięga również czasów przedhistorycznych i nieznana jest jego pierwotna ojczyzna. Według Rittera dwa powyższe gatunki nie są specyficznie różne, tylko zostały wytworzone przez hodowlę. Ritter i Oken utrzymują, że na pograniczu Chin i Syberyi znaleźć można dzikie wielbłądy; wszelako trzeba zauważyć, że nie mogą one być poczytywane za rasę pierwotnie dziką, gdyż niektóre obrzędy

me

religijne Kalmuków nakazują puścić wielbłąda swobodnie na pustynię, poczem łatwo następuje zdziczenie.

Obok konia jest wielbłąd najpożyteczniejszem stworzeniem Arabów i niektórych innych plemion koczowniczych; bywa też hodowany tylko w krajach przez te ludy zamieszkanym. Jego wstrzemięźliwość w jadłe i napoju i bieg szybki umożliwia tym ludom, oddzielonym pustyniami porozumiewanie się z sobą. Bez niego Egipt byłby odcięty od Abisynii, Berberya od krajów leżących po tamtej stronie Sahary, Syrya od Persyi, Arabia od całego świata. Słusznie nazywają Arabowie to zwierzę okrętem pustyni, a także *hadzi-baboe*—ojcem pielgrzymów.

Ale wielbłąd nietylko potrzebny jest do noszenia ciężarów przez pustynię i jako międzynarodowy środek lokomocyi. W pięknej rozprawie o przestrzeni, zamieszkaney przez to zwierzę, Ritter udowodnił, że jest ono głównym warunkiem życia koczowniczego i patryarchalnego w krajach gorących, ubogich w deszcze albo i zgoła bezdzdżystych. Żadne zwierzę nie jest tak ściśle zespolone z istnieniem człowieka w pewnych pierwotnych warunkach uspołecznienia, jak wielbłąd z egzystencyą Beduinów.

Koń pochodzi z wyżyn azjatyckich, z pustyni Gobi; jak się zdaje, był współczesnym mamuta. Europa południowa sprowadziła konie z Afryki, dokąd już pierwej musiały się przedo-

stać; do pozostałej Europy przybyły z Azji. Żadne zwierzę nie zyskało tyle przez hodowlę i tak nie wyszlachetniało i nie zmieniło się jak koń. Jego rasy i psa największą przedstawiają różnaitość. Jakaż różnica pomiędzy koniem angielskim, fryzyjskim, meklemburskim, smukłym arabszym i małym konikiem szwedzkim, szkockim, irlandzkim i korsykańskim! Herodot mieści dzikie konie siwe nad Dniestrem, Strabo w Indyach, na Kaukazie, w Alpach, Iberyi i Celtyberyi, Varro podobnie w Hiszpanii, Pliniusz na północy, Leo Afrykański w bardzo późnym czasie na północy Afryki.

Pierwej niż konia przyswojono osła, którego rodowód łatwiej oznaczyć, niż innych zwierząt domowych. Przodkiem jego jest osieł dziki, *onager* starożytnych, dotąd żyjący dziko na stepach Tartaryi.

Świnia pochodzi od dzika żyjącego dotąd w Europie; obecnie znajduje się na całej ziemi, ale tylko w starym świecie jako dzika, a w nowym, dokąd ją zawieziono, jako dziczka. Zmienia ona postać, jak wszystkie zwierzęta domowe. W Azji zachodniej i w Australii przeważa rasa chińska wprowadzona także gdzieś do Niemiec i Anglii.

Psa, najwierniejsze i najrozumiejsze ze zwierząt domowych, wyprowadzają już to od wilka, już od szakala, już od mieszańców obu tych ras. Najpodobniejszymi do rasy pierwotnej są szpice

i psy owczarskie. Ale jak się ten pies owczarski przetrzymał w pudła, charta lub wyżła? Pomysłowe choć śmiałe objaśnienie daje Reichenbach w swym „Naturfreund“: „Klimat, sposób życia i zajęcie — powiada — zrobiły z psa to, czym jest dzisiaj. Oddany człowiekowi zupełnie, samodzielniejszy zarazem niż inne zwierzęta, pojmuję głębiej duchowo to wszystko, czym jest otoczony, co go każdego dnia, każdej godziny zajmuje, i sam upodobił swe ciało, o ile pozwoliła na to jego organizacja. Buldog, którego przodkowie, znani już Strabonowi, w Tybecie pilnowali bawołów, okazuje swoją ociężałością i szerokim pyskiem bydłęcym zajęcie, które wypełniało jego wyobraźnię we śnie i na jawie. Wśród polowania na szybko konogie zwierzęta sformowały się smukłe charty z fizyonomią przypominającą jelenia lub antylozę. Szerokie, obwisłe uszy wyżłów znamionują może dawniejszy zawód przebyty w Indyach przy strzeżeniu owiec tamecznych, obdarzonych również obwisłymi uszami i gładkim niewelnistym włosiem jak u wyżłów. Chiński pies, używany do polowania na wydry, jest takiej samej maści jak wydry, palce ma opatrzone błonami, pływa wybornie w wodzie jak w swoim żywiole, i steruje ogonem płasko wyciągniętym, jak wydra rzeczywista. Prawdziwy pies używany na bobry ma nawet, jak bóbr, szpon podwójny na wielkim palcu łap tylnych“.

Inny badacz, Hamilton, dowodzi, że obwisłe uszy są następstwem i znamieniem poddańczości, przez wiele pokoleń praktykowanej i zupełnej służbistości. Im więcej dana psia rasa zachowała pierwiastkowego zmysłu niepodległości, tem bardziej sterczące i śpiczaste ma uszy: dowodem psy pomorskie i owczarskie; im zupełnie człowiek nad psem zapanował, jak np. nad pudlem, tem uszy psa wiszą bezwładniej. Grecy przez długie wieki nie wiedzieli o psach ze zwisłemi uszami. Zresztą główne odmiany psów myśliwskich i domowych są już odwzorowane na starożytnych pomnikach egipskich. Tam np. widzieć można sukę jamnika.

Nasz kot domowy pochodzi prawdopodobnie od kilku dzikich południowych gatunków, a nie od dzikiego kota europejskiego. Człowiek późno go przyswoił, i znaleźć go można tylko u ludów osiadłych. Przyniesienie jego w Europie nie sięga, jak się zdaje, odległej bardzo starożytności, Grekom był mało znany i sam Arystoteles zbywa go niewielu słowami. W Helladzie i Italii zamiast kotów trzymano łasice po domach. Jednakże kota znali Rzymianie, jak się później dowiadujemy. Egipcyanie—pisze Herodot—ubóstwiali kota, mianowicie gatunek *felis bubastis maniculata*. Do Europy środkowej i północnej zaszedł kot później dopiero, w czasie wędrówki narodów. W Wallis prawo z r. 948 mówi o oznaczeniu wartości kotów i określa kary

za złe obchodzenie się z nimi, za okaleczenie i zabicie. ~~X~~ Każdy, kto na gruntach książeńcych ukradł lub zabił kota, musiał dać owcę z jagnięciem, albo tyle nasypać pszenicy, żeby przykryła kota wiszącego za ogon i dotykającego ziemi nosem. W Niemczech znajdujemy wizerunki kota z 14 stulecia; dowód to, że był już natenczas ulubionem zwierzęciem domowem. Koty europejskie należą przeważnie do gatunku cypryjskiego i hiszpańskiego. Zresztą nasz kot jest tylko zwierzęciem domowem, nie zaś poddanym lub towarzyszem człowieka, jak wierny pies; koty przywiązane są do domu, nie do mieszkańców. Z Europejczykami powędrowały te zwierzęta do krajów nowoodkrytych i miejscami zdziczały, jak np. na wyspie św. Maurycego lub na wyspie Tristan d'Acunha.

Czem między zwierzętami przeżuwające, tem między ptakami są kurowate: z usposobienia towarzyskie, z wewnętrznej budowy a mianowicie z przewodu pokarmowego odpowiadają przeżuwającym i dla człowieka są najpożyteczniejsze. Wpływ człowieka na zwierzęta ssące jest potężniejszy nierównie, aniżeli na obdarzone niższą o wiele inteligencyą ptactwo; dlatego też ptactwo dzikie i swojskie mało się różni, podczas gdy np. u zwierząt przeżuwających widzimy tyle gatunków i odmian. Hodowla drobiu świadczy o wyższym daleko stopniu cywilizacyi, niż hodowla zwierząt domowych. Drób mniej jest niezbędny;

przyczynił się do upiększenia dobrobytu, ale dobrobytu nie sprowadził. Kury, gołębie, pawie, gęsi, kaczki hodowane były pierwiej; później przybyły perlice i indyki. Gołębie już za Noego były oswojone. Kury hodowano w Egipcie od najdawniejszych czasów, już bowiem Herodot mówi o sztucznych wylęgarniach. U Hezyoda, Homera i w Starym Testamencie nie znajdujemy wzmianek o kurach; ale spotykamy je w czasach greckich. Tylko człowiek mógł po całej ziemi rozszerzyć kury: ptaki nieprzelotne; człowiek jedynie mógł przywabić te ptaki z ustronnych lasów, będących dotąd mieszkaniem pokrewnych, dzikich gatunków.

Pierwotny gatunek, kurę bankiowską, odkryto w nowszych dopiero czasach na Jawie, Sumatrze i w Kochinchinie. Grecy już mniemali, że kury pochodzą z Persyi t. j. z Indyj. Pawie oswojono w Indjach wschodnich oddawna. Za Salomona przybyły do Jerozolimy, za Aleksandra do Grecyi.

Z owadów, prócz jedwabnika i koszenilli, pszczoły są gorliwie pielęgnowane w społeczeństwach ucywilizowanych. Przed wynalezieniem i rozpowszechnieniem cukru pszczelarstwo jeszcze ważniejszą rolę grało. Ale chociaż użycie miodu jest dziś mniejsze, powiększyła się konsumpcya wosku; wdzięcznego wspomnienia wart jest nieznanym dobroczyńca, który pszczoły przyswoił. Już w najdawniejszych czasach pielęgnowano je

troskliwie, jak świadczą rzymscy ekonomiści: Cato, Varro, Columella, Virgilius i Palladius.

Znaczną część pożywienia czerpie człowiek ze świata roślinnego. Uprawa zbóż jest jedną z najważniejszych podstaw cywilizacji. Dopokąd człowiek poprzestawał na owocach dziko rosnących, o cywilizacji nie mogło być mowy. Wtenczas dopiero zyskano fundament, na którym powstał dzisiejszy rozwój, kiedy zaczęto nasienie powierzać ziemi i oczekiwać jego dojrzenia.

Uprawa roli zagniła człowieka do porzucenia stanu koczowniczego i pobudowania stałych mieszkań, w którychby można było czekać na żniwo. Łatwo zrozumieć, że pierwsi rolnicy bynajmniej nie byli wegetaryanami; w ogóle błędem byłoby mniemać, że pierwotni ludzie poprzestawali na pokarmie wyłącznie roślinnym. Kobieta uprawiała pole, mężczyzna szedł na polowanie. Myśliwstwa i hodowli bydła nie zaniedbano, zarówno z przyczyny konieczności pokarmu mięsnego, jakoteż i dlatego, że początkowo plony rolne musiały dawać niedostateczne zapasy.

Przypadkowe odkrycie, że garść uronionych nasion wydała rośliny podobne, stało się pobudką do próbowania obsiewu. Wszelako „niwa“ nie mogła być rozległą, gdyż nie mężczyzna się o nią troszczył, a siły kobiety, może wspieranej przez dźwiatwę, nie podołałyby obszernym polom. Zajmowaniu pod uprawę znacznych przestrzeni

stało także na zawadzie niedość rozwinięte poczucie własności. Odleglejsze pola stawałyby się łupem nieprzyjacielskiego napadu. Uprawa zaczęła się od roślin żyjących najkrócej; później, zwolna zagarnęła i trwalsze. Pożywienie roślinne utorowało sobie wstęp najpierw tam, gdzie mięsa było skąpo. Indianie nie są dotychczas rolnikami, gdyż polowanie zapewnia im obfitą zdobycz.

Pięknie maluje Lippert wpływ moralny pożywienia roślinnego i mięsnego na człowieka:

„Starania o pokarm roślinny daleko rychlej prowadzą do oszczędności, regularnej pracy i przewidującej zapobiegliwości. Szukanie strawy mięsnej zaostrza wprawdzie w wyższym stopniu wynalazczość i stanowczość; ale w tej samej mierze umniejsza wytrwałość i natężenie w pracy i uczy liczyć na szczęście bez troski o przyszłość. Sama przyroda uczy siać ziarno; przypadku zaś było potrzeba, iżby człowiek poznał korzyści robienia zapasów mięsiva. Osiąganie pokarmu mięsnego niepedagogicznie nawet działało na człowieka. Obawa dzikich, aby najlepsze kąski nie zmarniały, uderza wszystkich podróźnych. A jeszcze bardziej dręczącą jest myśl, że temi resztkami pożywią się najzawziętsi nieprzyjaciele, bądź to zwierzęta, bądź duchy.“

Mieszkaniec południowej Afryki nie ruszy się z miejsca, jeżeli go nie znagli konieczność; ma wstręt do fizycznego wysiłku; ale podróżnik

myśliwiec Mohr widział, jak Buszmani i Kafrowie uginali się pod ciężarem świeżych kawałów mięsa; najbardziej nawet nasyceni woleliby raczej upaść pod brzemieniem, niżeli znieść tę myśl okropną, że hyeny, ich nieprzyjaciołki, nakarmią się tak wybornem jadłem. Na tym stopniu oświaty myśliwiec, często łaknący, miewa chwile nadmiaru, nie chroniące go od łaknienia w przyszłości; więc hasłem jego jest chwilowe użycie. Tą drogą wzmagają się tedy wrodzona lekkomyślność człowieka; jednocześnie wszakże i z tych samych przyczyn staje on się towarzyskim, gościnnym i hojnym, słowem nabywa zalet, których odwrotną stroną jest znowu niegospodarność. Jeżeli człowiek na pewnym stopniu swego rozwoju nabędzie jakichś właściwości, to nie może ich się tak łatwo wyzbyć jak sukni. Z drugiej strony dziedziczny przyrost przymiotów jest najpotężniejszą dźwignią postępu.

Tak Kafrowie dzisiejsi są już niepoślednimi hodowcami bydła; zaś pociąg do kradzieży bydła, znamionujący zarówno Kafrów jak i inne ludy na tymże szczeblu stojące, jest szczątkowym objawem dawniejszego, łowieckiego sposobu życia. I dziś wszakże cała gmina kafreryjska poczytywałaby nietylko za prostaka, ale za złodzieja, za pozbawionego czci i wiary człowieka, któryby własne swoje bydło zarznął, i nie poprosił wszystkich współmieszkańców na ucztę celem natychmiastowego spożycia wszystkiego mięsa.

Do takiegoż obowiązku poczuwa się Namakwa, który każdą zdobyczą obdziela swych współplemienników. Wygląda to bardzo chwalebnie, ale rozwija żarłocstwo, nie dopuszcza gromadzenia zapasów, i ludność całą trzyma w ciągłej nędzy. Na podobne objawy żali się misjonarz Loskiel u Delawarów i Irokezów, którzy jednakże wyprzedzili w rolnictwie i gospodarstwie inne ludy swej rasy. Z przyczyny gościnności nie mogą przyjść do żadnych zasobów. W całej Ameryce i Afryce grasuje szkodliwy przesąd, mający obrzędową niemal wagę, że z uczyty nic nie powinno pozostać. A co pokolenia przekazują pokoleniom następnym, to wszędzie zyskuje religijną sankcję. Co człowiekowi jest ukryte, to jawne jest bóstwu; pobudki postępowania, niezrozumiałe człowiekowi, są wiadome bóstwu; jeżeli człowiek tradycyjnie trzyma się takiej a nie innej drogi, tedy słucha woli bóstwa. Z tej więc zasady — niesprzeciwiania się bóstwu — Indyanin uważa za słuszne, aby żadna resztką po uczcie nie została. Idąc we wnioskowaniu nieco dalej, odkrył Indyanin tę prawdę, że „Wielki Duch“ nie pozwala rozszerzać gospodarstwa rolnego i karę zsyła za zbiory, przewyższające potrzebę. Nigdy nie brakło pozorów uzasadniających to twierdzenie, zresztą nie tak bardzo sprzeczne z logiką. Każde gradobicie niszczące lodygi kukurydzy z mozołem wyhodowane przez irokezkie niewiasty, każda szkoda zrządzona

przez dzikie zwierzęta, wymownych dostarczały dowodów.

Volz w przytoczonym wyżej dziele daje wyczerpującą dosyć wiadomość o roślinach uprawnych. Najważniejsze dla człowieka rodzaje zbóż udają się na każdym gruncie, w każdym klimacie: znoszą powietrze górskie i bagniste, dojrzewają nieopodal Irkucka i nad Nigrem, żywią ludzi białych, żółtych, czerwonych, brunatnych i czarnych.

Gdzie się kończą trawy mączyste naszej części świata, zaczynają wyrastać inne, pożywniejsze gatunki: różne odmiany kukurydzy, prosa i ryżu.

Ojczyzna pierwotna tych roślin, które karmiły ludzkość w jej zaraniu, jest nieznana, podobnie jak ojczyzna zwierząt domowych. Nie wiemy, skąd się rozszerzyły pszenica, jęczmień, owies i żyto. Nie wiemy także, kto pierwszy zbadał pożywność niepozornego kłosa i kto plugiem pierwszą brzdę wyorał.

O ile sądzić można, Rzymianie nie uprawiali najpożyteczniejszego ziarna, żyta, poprzestającego na byle jakim gruncie. Greckie podania wskazują wprawdzie początek pszenicy na niwach Enny w Sycylii; podróżnicy twierdzą, że odkryli dziko rosnący jęczmień w Azji północnej, oraz nad brzegiem Samary, wpadającej do Wołgi, orkisz w Persyi koło Hamadanu, a żyto na Krecie; wiadomości te wszakże wymagają do-

kładniejszego sprawdzenia. Łatwo wziąć za miejscowe rośliny, które niegdyś człowiek wprowadził, a które później zaniechane zdziczały w lasach.

Bardziej znaną jest ojczyzna tych drzew nader ważnych w życiu ludzkim, które znamieny dają wygląd krajowi macierzystemu. Takie mi są charakterystyczne ziemiopłody Azji zachodniej, które w czasie wędrówek narodów przeszły do Europy południowej, zarówno dla pożytku jak i dla symbolicznego znaczenia cenione: jawór nęcący swą czystą pięknnością; wiecznie zielona oliwka, darząca łagodnym tłuszczem, na wszelakie święte i świeckie cele poszukiwanym; figa, pierwotne drzewo życia narodów, podobnie jak drzewo chlebowe na południu; palma daktylowa, godło pełni sił, istny róg obfitości do nadmiaru dochodzącej; granat o wdzięcznym kwiecie i bogatym w miąższ owocu, któremu wszystkie ludy przypisywały symboliczne znaczenie; pistacya z owocem niepozornym ale delikatnym; bezpłodny cyprys wysoki, piramidalny, równie stosowny jako emblemat promieni słonecznych i jako drzewo czci zmarłych poświęcone, dostarczający materiału niepożytego i podobnie jak cedr najpożądańszego czy to do ozdoby pałacu, czy na budowę najdawniejszych okrętów, przerynających fale Śródziemnego morza.

Ceres pozyskała boską sławę, wprowadzając uprawę zboża; niemniej czczony był Dionizos, który, jak mnogie opiewają podania, pierwszy

wycisnął sok winny, nauczył, jak go przecho-  
wywać, jak pielęgnować winnice i tym sposo-  
bem koczowników do życia osiadłego nakłonił.  
Poszukiwaniem pierwotnej ojczyzny wina zajmo-  
wało się już wielu pisarzy. Nie mógł go Ba-  
chus z Indyj sprowadzić, bo tam nie bywa upra-  
wiane. Nawet w okolicach Nysy, ojczyzny Ba-  
chusa, grona nie dojrzewają. Prawdopodobnie  
krzew winny pochodzi jeżeli nie z Azyi Mniej-  
szej, tedy przynajmniej z krajów pomiędzy mor-  
zami Czarnem a Kaspijskiem, co też i z histo-  
ryi Noego zdaje się wynikać. W lasach Min-  
grelii i Imerecyi wino króluje; średnica krzewu  
dochodzi trzech do sześciu stóp, a wysokość  
przenosi najroślejsze drzewa, dokoła których wi-  
no się okręca i wiąże je z sobą. Z tej kolebki  
rasy kaukaskiej wino, przez Azyę mniejszą, tę  
drogę narodów, przeszło na zachód i rozsiedliło  
się w całej Europie, na krawędzi strefy umiar-  
kowanej.

Wzmianki o winie w pieśniach indyjskich  
dotyczą wina palmowego. Nawet wino przez  
Kambyzesa posłane królowi Etyopów (Herodot  
III, 20) było palmowe. Natomiast obecnie wy-  
daje Persya najprzedniejsze wina, jak np. w oko-  
licach Szyrazu.



## Wytworzenie rodziny.

---



Wiktoryusz Cathrein, głośny jezuita, mówiący na początku „Przeglądu zapatrywań obyczajowych u najważniejszych ludów w stanie natury i cywilizowanych: „Moralnemu sceptycyzmowi przeciwstawimy zaczerpnięte z dziejów i etnografii dowody, że pewne moralne poglądy i zasady są wspólne całemu człowieczeństwu; wszędzie je bowiem napotykamy”. A przy końcu swego *Przeglądu* mówi: „Tak obeszliliśmy wszystkie ludy na łonie przyrody żyjące i ucywilizowane. Zbadaliśmy wszystkie świadectwa, poczynając od najwcześniejszego brzasku. Zwiedziliśmy ziemię aż do krańców, aby posłuchać mowy dzieci przy-

rody najbardziej zaniedbanych, którym pewna szkoła tak chętnie radaby odmówić godności człowieczej. I cóż znajdowaliśmy zawsze i wszędzie? Niema ludu, któryby nie odróżniał dobrego od złego, cnoty od występku, ludzi dobrych od złych i nie sądził jednych być godnymi pochwały i nagrody, drugich — nagany i kary. U wszystkich ludów najwyższym probierzem wartości człowieka jest nie bogactwo, potęga, talent, ale nadewszystko cnota i sprawiedliwość... Ogólne zasady sprawiedliwości i miłości bliźniego, zawarte w dziesięciorgu przykazaniach, są w istocie wspólnem dobrem całej ludzkości" \*).

Słowa powyższe wyrażają mniej więcej to, co się ze stanowiska historii cywilizacyi da powiedzieć o ludzkiej moralności i obyczajach, ale ta nauka moralna wymaga pewnego nader ważnego uzupełnienia. Prawda, że „niema ludu, któryby nie odróżniał dobrego od złego, cnoty od występku, ludzi dobrych od złych”, ale każdy lud inaczej pojmuje dobre i złe, cnotę i występki, ludzi dobrych i złych. Że zaś każdy lud ma w tym względzie szczególne zapatrywania i zmienia je z upływem czasu, przeto można powiedzieć, że wszystkie ludy bez wyjątku są moralne, ale zarazem podzielać przekonanie wyra-

---

\*) Wiktor Cathrein, S. J. Moralphilosophie (Freiburg w B. 1890, str. 449 i nast. oraz 521).

żone na posiedzeniu izby pruskiej w d. 29 stycznia 1892 r. przez ministra wyznań hr. Zedlitz'a, że „niema ogólnoludzkiej moralności.” Hr. Zedlitz ma słuszność; niema moralności jednej, przez całą ludzkość uznawanej. O. Cathrein wszelako także ma słuszność: każdy lud jest moralny, ale po swojemu.

Należy o tem pamiętać przy dalszych rozważaniach. Ludy przodujące w cywilizacji patrzą zazwyczaj z pogardą wielką na moralność czasów i ludów zajmujących niższe szczeble cywilizacyjne. Gdy chodzi o stosunki płciowe, bardzo łatwo mówić ze zgrozą i obrzydzeniem o moralnym upadku owych wieków i plemion, ani myśląc, że uregulowanie stosunku płciowego i wynikające stąd ukształtowanie rodziny szło zawsze i wszędzie zgodnie ze stałymi prawami przyrody. Przyroda zaś jest moralna zawsze—o ile to określenie wolno do niej zastosować. Kto wie, czy za lat tysiące, może nawet za setki, potomkowie nasi nie będą z oburzeniem mówili o stosunkach dzisiejszych; a przecież my wierzymy, żeśmy wzięli moralność w arendę.

Zbyteczne byłoby dowodzić, że rozkwit społeczny zależy od rodzinnych stosunków. Te zaś są następstwem stosunków płciowych. Błędem wszelako było mniemać, że związek płciowy między mężczyzną a kobietą był najniższym stopniem rodziny. Gdy się obie płci zeszyły celem

zaspokojenia popędu, nie wynikała stąd bynajmniej konieczność trwalszego związku, tem bardziej dozgonnego. Nic nie stawało na zawadzie rozłącze po zaspokojeniu przyrodzonego popędu; mężczyzna i kobieta rozchodzili się, jak odchodzimy od drzewa po zerwaniu zeń owoców. Rodzinie dawała początek wyłącznie kobieta. Pomiedzy kobietą a jej dziećmi trwa wieloletni nieprzerwany związek. Dzieci znają matkę swoją, która je żywiła, nie znają natomiast ojca; jak również i on nie znał swoich dzieci przy bezładnych stosunkach płciowych. Ojciec mógł natomiast dopiero wejść do rodziny, kiedy już z niejakiem prawdopodobieństwem a raczej z pewnością można było oznaczyć ojcowstwo.

Ludzie pierwotni nie mogli prowadzić życia odosobnionego. Łączenie się w hordy lub gromadki było potrzebą psychologiczną. „Błąkający się samopas nie jest w możności stawić oporu skutecznego licznym wpływom nieprzyjaznym jego istnieniu. Łączyli się więc po kilku dla wspólnego celu utrzymania życia, czyli raczej dla wspólnej walki o byt. Podobnież wiele zwierząt żyje łącznie większymi grupami”.\*)

Te hordy ludzkie, ze względów użyteczności powstałe, nie były wszelako rodzinami według

---

\*) Hellerbeck, F. Der Staat und seine Formen (Wissenschaftliche Volksbibliothek Nr. 3. Nakład Siegberta Schnurpfeila w Lipsku.

naszego pojmowania, utworzonymi na podstawie stosunków płciowych. Że pośród nich związki mężczyzny z kobietą nie podlegały żadnym regułom, o tem przekonywa stan dziś jeszcze napatykany u niektórych ludów z bardzo niską cywilizacją. Według Hellwalda \*) w niektórych okręgach Nowej Zelandyi, Ameryki południowej, na wyspach Andamańskich i Nikobarskich istnieje zupełna wspólność kobiet. Zupełną wspólność mężów i żon spotykamy w Afryce, a także u całego szeregu ludów starożytnych. Zdaje się, że niektóre plemiona indyjskie nad Columbia-River żyją w tym samym stanie. Możliwe jest, że dalsze badania zdołają oczyścić te plemiona od obciążającego je podejrzenia; dopóki to wszakże nie nastąpi, niepodobna obalić od ręki przypuszczeń co do bezmałżeńskiego życia ludzkości pierwotnej. Nie wynika stąd oczywiście, żeby komunizm społeczny miał być koniecznym dla wszystkich ras punktem wyjścia; jednakże przypuszczalnie hołdowała mu znaczna liczba i prawdopodobnie znamieniem pierwotnych gromad ludzkich oraz skojarzeń płciowych była wspólność kobiet, dzieci i mienia, oraz obcowanie swobodne, niekiedy nawet publiczne, bez względu na trwałość związków i na pokrewieństwo.

---

\*) Kulturgeschichte in ihrer natürlichen Entwicklung bis zur Gegenwart. 2 wyd. Augsburg 1876. Tom I str. 89.

Zasługa odtworzenia dziejów rodziny w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości należy się Morganowi \*), którego dzieło rozświetliło tyle ciemnych punktów historii człowieka. Praktyczne studia odbywał on u Irokezów, mieszkających dotychczas w stanie Nowo-Yorskim (u Seneków), między którymi większą część życia spędził i którzy go adoptowali. Znalazł tu system pokrewieństw nie odpowiadający nazwom właściwym. Każde małżeństwo składa się z jednego mężczyzny i jednej kobiety, ale obie strony łątwo mogą ze związku wystąpić. Nazwał to Morgan „rodziną parzystą”. Potomkowie takiego małżeństwa byli jawni i uznani; żadna wątpliwość nie zachodziła, do kogo stosują się nazwy ojca, matki, syna, córki, brata, siostry. Ale użycie tych wyrazów jest niezupełnie zgodne ze znaczeniem, jakie my do nich przywiązujemy. Nie tylko swoje dzieci nazywa Irokez synami i córkami, ale także dzieci swego brata, które też nawzajem wołają nań: ojcze. Natomiast dzieci swej siostry zowie siostrzeńcami i siostrzenicami, a one go nazywają wujem. Irokezka znowu nazywa swojemi dziećmi nie tylko własnych synów i córki, ale także synów i córki swej siostry, te zaś wołają na nią: matko. Przeciwnie bratańca-

---

\*) Ancient Society, or Researches in the Lines of Human Progress etc. By Lewis H. Morgan. Londyn 1877.

mi i bratanicami nazywa dzieci swego brata, dla których też jest ciotką. Dzieci Irokezki i dzieci jej brata są dla siebie kuzynami i kuzynkami. A nie są to wszystko czcze nazwy; odpowiadają one ściśle pojęciom miejscowym o bliższym i dalszym stopniu pokrewieństwa i służą za podstawę zupełnie opracowanego systemu pokrewieństw, zdolnego nazwać kilkaset rozmaitych stosunków spokrewnienia, w jakich znajdować się może jedna i ta sama jednostka. System ten nietylko jest przyjęty w zupełności przez Indyan amerykańskich, ale prawie całkiem podobny obowiązuje u pierwotnych mieszkańców Indyj, u plemion drawidyjskich w Dekanie i u plemion Gaura w Indostanie. Nazwy pokrewieństw u południowo-indyjskich Tamilów i u Irokezów Seneków dziś jeszcze określają zgodnie przeszło dwieście rozmaitych stopni pokrewieństwa. Podobnie jak u Indyan amerykańskich, tak również u plemion wschodnio-indyjskich nazwy odpowiadające różnym węzłom rodzinnym nie są w zgodzie z pokrewieństwem istotnem.

Trudno było znaleźć wyjaśnienie takiego stanu rzeczy, zwłaszcza że ten system oznaczania pokrewieństw jest uznawany nietylko w całej Ameryce, ale także z większemi lub mniejszemi odmianami we wszystkich innych (prócz Europy) częściach świata. Na wyspach Sandwich (Hawajii) w pierwszej jeszcze połowie bieżącego stulecia istniała forma rodziny z takimiż ojcami

i matkami, braćmi i siostrami, wujami i ciotkami, siostrzeńcami i siostrzenicami, bratańcami i bratanicami, jakich widzimy w systemie amerykańskim, z tą różnicą, że tam dzieci każdego brata i każdej siostry były dziećmi całego rodzeństwa. Każdy człowiek był ojcem nie tylko swoich dzieci, ale ojcem dzieci swoich wszystkich braci i sióstr; podobnież kobieta jest matką dzieci całego swego rodzeństwa; dziatwa całego rodzeństwa uważa się za rodzonych braci i siostry. Jeżeli nawet nie będziemy poczytywali systemu hawajskiego za formę dawniejszą, z której zrodziła się amerykańska rodzina, to system hawajski prowadzi do wniosku, że musiał być system jeszcze pierwotniejszy, bez którego hawajski nie byłby powstał.

Opisane powyżej systemy różnią się od naszego tem, że każde dziecko ma wielu ojców i wiele matek. W amerykańskim brat i siostra nie mogą być ojcem i matką tegoż samego dziecka; w hawajskim jest to owszem regułą. Spotykamy tu więc wspomnianą na początku niniejszego rozdziału wspólność wszystkich mężczyzn i kobiet. Engels\*), za którego wywodami głównie idziemy, w takim porządku przedstawia kolejne zmiany, jakim ulegała rodzina, poczynając od nieograniczonej wspólności mężczyzn i kobiet,

---

\*) Der Ursprung der Familie, des Privateigentums und des Staates von Friedrich Engels. Stuttgart 1889.

przyczem uwzględnia formy zbadane przez Morgana.

1. *Rodzina Spokrewniona*. Jest to pierwsza uorganizowana postać społeczeństwa i pierwszy stopień rodziny. Grupy małżeńskie dzielą się na generacje: wszyscy dziadkowie i babki do rodziny należący są współmałżonkami; ich dzieci, czyli ojcowie i matki stanowią drugą grupę współmałżonków; trzecią grupę stanowią wnuki pierwszej grupy a dzieci drugiej; czwartą grupę składają prawnuki pierwszej grupy. W tej organizacyi rodziny, są więc rozgraniczeni tylko przodkowie i potomkowie. Natomiast wszyscy bracia i siostry, kuzynowie i kuzynki są sobie braćmi i siostrami, a zarazem mężami i żonami.

Rodzina Spokrewniona wymarła. Najnieokrzeszańsze nawet ludy, o jakich wspomina historia, nie dostarczają przykładu takiego ustroju. Musimy atoli zgodzić się na to, że niegdyś istniała, gdyż wynika to z hawajskiego systemu pokrewieństw, dziś jeszcze w całej Polinezyi obowiązującego, w którym nazwy spokrewnienia utworzyły się na łonie tej zaginionej formy. Do uznania jej skłania nas także cały dalszy rozwój rodziny.

2. *Rodzina Punalua*. Pierwszy postęp polegał na odłączeniu w stosunkach płciowych rodziców od dzieci, drugi na rozgraniczeniu sióstr i braci. Z powodu większej równości wieku po-

między rozdzielonymi był to postęp nieskończenie ważniejszy, ale i trudniejszy zarazem niż pierwszy. Dokonał się zwolna, zaczynając od wyłączenia rodzonych braci i sióstr (t. j. pochodzących od jednej matki)—najpierwej w pojedynczych wypadkach, zanim z czasem uznany został jako reguła (na Hawai bywały jeszcze w tem stuleciu dopuszczane wyjątki); następnie przybywały zakazy dotyczące krewnych pobocznych, t. j. według naszego oznaczenia, braci i sióstr ciotecznych i stryjecznych, oraz wnuków i prawnuków po braciach i siostrach.

Bezwątpienia plemiona, pośród których rozwązłość skutkiem rzezonego postępu została skrupowana, rozwijały się rażniej i pełniej, niżeli te, u których małżeństwo braci z siostrami pozostało prawidłem i przykazaniem. Szybki rozwój spowodował znowu konieczność rozpadania się każdej rodziny pierwotnej najdalej po dwóch, trzech generacjach. Pierwotny, komunistyczny tryb życia nie dopuszczał mnożenia się rodziny w danej miejscowości ponad pewną maksymalną liczbę członków. Gdy uznano niestosowność łączenia się płciowego między dziećmi jednej matki, musiał okazać się skutecznym wyrój nowych rodzin. Jedną rodzinę zawiazywał szereg sióstr, albo kilka szeregów sióstr, zawiazkiem drugiej rodziny stawali się ich bracia. Tak lub podobnie, z rodziny spokrewnionej rozwinęła się for-

ma, którą Morgan nazwał Punalua\*). Według obyczaju hawajskiego siostry rodzone i dalsze (t. j. kuzynki drugiego, trzeciego i odleglejszych stopni) były wspólnymi żonami wspólnych mężów, z wyłączeniem swych braci; mężowie ci nie nazywali się już między sobą braćmi, niekoniecznie też byli braćmi, ale nazywali się *Punalua* t. j. zażyli towarzysze, jakoby wspólnicy. Podobnie bracia rodzeni i dalsi pojmowali za wspólne żony pewną liczbę kobiet, nie sióstr swoich, i te znowu nazywały się między sobą *Punalua*.

W tej formie rodzinnej odnajdujemy amerykański system najdokładniej. Dzieci siostry mojej matki, są dziećmi mojej matki; dzieci brata mojego ojca są dziećmi mojego ojca, i wszystkie te dzieci są mojem rodzeństwem. Ale dzieci brata mojej matki są jej bratanekami i brataniczkami, dzieci siostry mojego ojca są jego siostrzanami i siostrzenicami, a łącznie są to moi stryjeczni i cioteczni kuzynowie i kuzynki. System pokrewieństwa amerykański, z punktu widzenia jednożeństwa wydający się niedorzecznym, jest w rodzinie Punalua konsekwentny i uzasadniony aż do drobiazgów.

✕ We wszystkich formach rodziny zbiorowej matka tylko jest pewna, ojciec zawsze wątpliwy.

---

\*) W przekładzie polskim dzieła Morgana, wydanym nakładem redakcji „Prawdy“ (Warszawa 1887), nazwano ją „rodziną swoistą“.

Jakkolwiek matka nazywa wszystkie dzieci zbiorowej rodziny swojemi dziećmi i spełnia względem nich obowiązki macierzyńskie, zna jednakże swoje rodzone dzieci. Pochodzenie jest więc możliwe do wykazania tylko w linii macierzystej, zatem linia *żeńska* tylko jest uznawana. To wyłączone uznawanie pochodzenia macierzyńskiego i wynikające z niego w następstwie stosunki spadkowe noszą nazwę prawa macierzyńskiego.

W rodzinie Punalua zdarzało się niekiedy, że jeden mężczyzna pozostawał krócej lub dłużej w stosunkach z jedną kobietą, która tem samem była główną jego żoną z pośród innych kobiet. Nawyknienie do wyosobniania się par jakoteż coraz nowe zakazy małżeństw między krewnymi dały wreszcie początek:

3. *Rodzinie Parzystej*. Na tym stopniu jeden mężczyzna żyje z jedną kobietą, jednakże poemowanie wielu żon i niewierność przy sposobności należy do praw mężczyzny, jakkolwiek pierwsze z tych praw rzadko bywa wykonywane ze względów ekonomicznych. Od kobiety jest wymagana wierność małżeńska przez czas trwania związku, a cudzołóstwo przez nią popełnione okrutną zwykle ściąga karę. Jednakże obie strony mogą łatwo ze związku wystąpić, a dzieci, podobnie jak i przedtem, należą do matki.

Rozwój familii w historii pierwotnej polega tedy na nieustannem ograniczaniu praw do zawierania związków małżeńskich, praw przysługu-

jących niegdyś wszystkim bez różnicy członkom plemienia. Skutkiem ciągłego wyłączenia najpierw najbliższych krewnych, później coraz dalszych, wreszcie wszystkich już zaślubionych, niemożliwą nadal staje się rodzina zbiorowa, i pozostają ostatecznie pary pojedyncze, tymczasem luźno jeszcze sprzężone; małżeństwo ustaje, gdy się para rozejdzie. Z powyższego przedstawienia wynika, że jednożeństwo nastąpiło nie skutkiem miłości płciowej indywidualnej, ale skutkiem nieuchronnej konieczności rozwoju cywilizacyjnego. Z ukazaniem się Rodziny Parzystej występuje dotkliwy brak kobiet, nieznan w Rodzinie Zbiorowej, a z nim porywanie i kupno kobiet.

Rodzina Parzysty nie ma dość siły na prowadzenie gospodarstwa oddzielnego i potrzeby jego nie czuje. Stąd gospodarstwo komunistyczne trwa dalej. W gospodarstwie takim króluje kobieta, doznająca także wysokiej czci jako rodzona matka dzieci przy niepewności ojcowstwa. Wielce błędne jest mniemanie, że od początku łącznego pożycia z mężczyzną kobieta była uważana za niewolnicę. Raczej uproszadzony był mężczyzna. Artur Wright, mieszkający wiele lat jako misjonarz pośród Irokezów Seneków, tak pisze o stanowisku kobiety w Rodzinie Parzystej: „W domu rządziły zwykle kobiety; zapasy były wspólne; ale biada mężowi lub kochankowi, któryby z lenistwa czy skutkiem niezręczności nie dostarczył swojego

udziału potrzebnego do utrzymania domu. Bez względu na to, ile miał dzieci, lub ile ruchomości w domu do niego należało, mógł w każdej chwili oczekiwać rozkazu, aby zabrał swoje manatki i poszedł precz. I nie miał środka oporu; w domu dopiekano mu zabardzo. Pozostawało mu tylko wrócić do własnego klanu (szczepu), albo, jak się zdarzało najczęściej, szukać małżeństwa w innym klanie. Kobiety miały wielką potęgę w klanach i zresztą wszędzie. Wypadkowo nie zależało im na tem, ażeby wodza pokolenia pozbawić władzy i zdegradować na prostego wojownika.”

Że Rodzina Parzysta niecałkiem jeszcze wyrugowała Rodzinę Punalua, dowodzi tego zachowywany u czterdziestu przynajmniej północno-amerykańskich plemion obyczaj, pozwalający mężowi, który z najstarszą siostrą się żeni, poślubić oraz wszystkie jej siostry, w miarę jak wymaganego wieku dochodzą. Jest to szczątek wspólności mężów dla całego szeregu sióstr. O półwyspie Kalifornijskim wiadomo, że podczas niektórych uroczystości zbierają się różne plemiona celem wspólnego obcowania płciowego bez różnicy. Podobne uroczystości znane były w świecie starożytnym, tak np. dziewczęta fenickie oddawały się w świątyni. W tych zwyczajach również upatrywać należy zabytki Rodziny Punalua.

Roryan

Rodzina Zbiorowa z kojarzeniem w pary doszła do ostatecznej granicy: do jednego męża i jednej żony. Sama przyroda drogą ciągłych wyłączeń doprowadziła do Rodziny Parzystej i dalej zejść już nie mogła. Teraz wszakże wystąpiły pobudki społeczne, które w dalszym ciągu rozwijały rodzinę.

I tu trzymać się będziemy wykładu Engelsa, który, na podstawie badań Morgana, tak ma luje przejście od Rodziny Parzystej do Jednożeństwa.

Oswojenie zwierząt domowych i hodowla trzód otworzyły źródło bogactw przedtem niespodziewanych i dały początek wcale nowym stosunkom społecznym. Na najniższym szczeblu barbarzyństwa całe bogactwo składało się z chaty, ubioru, prostaczych ozdób oraz narzędzi do zdobywania i przysposabiania żywności, jako to: łodzi, broni i sprzętów najprostszych. Pożywienie trzeba było zdobywać z dnia na dzień. Teraz Aryowie w indyjskiem Pięciorzeczu (Pentszabie) i na obszarze Gangesu, oraz na bogato podówczas nawodnionych stepach w pobliżu rzek Oxus i Jaxartes a także Semici nad Eufratem i Tygrem nabyli ogromne majątki w trzodach koni, wielbłądów, osłów, bydła, owiec, kóz i nierogacizny. Dobytek ten przy nadzorze i bardzo prostaczej pieczołowitości urastał w liczbę i darzył coraz obfitszem pożywieniem, mięsem i mlekiem. Wszystkie poprzednie sposoby zaopatrywania.

się w pokarm zeszyły na plan ostatni. Polowanie, pierwszej konieczne, stało się zbytkiem.

Do kogóż należy nowozdobyte mienie? Bez wątpienia pierwotnie do szczepu. Ale wcześniej już musiała przy posiadaniu trzód wystąpić własność prywatna. Trudno powiedzieć, czy autor pierwszej księgi pięcioksięgu poczytywał Abrahama za posiadacza trzód z tytułu osobistego prawa własności, czy jako dziedzicznego naczelnika plemienia. Tyle tylko jest pewne, że nie powinniśmy go wyobrażać sobie jako właściciela w pojęciu nowoczesnem. I to jest pewne dalej, że u progu dziejów wiarogodnych trzody już są własnością naczelników rodzin, podobnie jak wyroby sztuki barbarzyńskiej, narzędzia metalowe przedmioty zbytku i wreszcie bydło ludzkie: niewolnicy.

Teraz bowiem wynaleziono i niewolnictwo. Dla barbarzyńcy na niższym stopniu niewolnik był nieprzydatny. Z tej to przyczyny Indyanie amerykańscy wcale inaczej postępowali z jeńcami niż ludy wyżej posunięte. Mężczyzn zabijali, kobiety brali za żony, albo je adoptowali wraz z dziećmi. Praca ludzka niewiele więcej ma dla nich wartości, niż koszt wyżywienia. Z wprowadzeniem hodowli bydła, przeróbki metali, tkactwa i wreszcie rolnictwa, zmienił się stan rzeczy. Podobnie jak żony, przedtem liczne, teraz zyskały na wartości i były kupowane, tak samo stało

się z robotnikami, zwłaszcza odkąd trzody przeszły stanowczo na własność prywatną. Rodzina nie mnożyła się tak szybko jak bydło. Potrzeba było więcej ludzi do nadzoru i użyto na ten cel jeńców wojennych, których nadto można było równie dobrze hodować jak bydło.

Takie bogactwa, szybko rosnące w prywatnym posiadaniu, zadały potężny cios społeczeństwu opartemu na małżeństwie parzystem i na ustroju szczepowym. Małżeństwo parzyste wprowadziło do rodziny żywioł nowy: obok rodzonej matki stanął uwierzytelniony ojciec. Stosownie do ówczesnego podziału pracy w rodzinie, ojcu przypadła troska o dostarczenie żywności i środków do pracy, on więc zyskał prawo własności nad takowemi; w razie rozłąki zabierał je z sobą, przy kobiecie zaś pozostawały sprzęty domowe. Mężczyzna był tedy posiadaczem nowych źródeł utrzymania, to jest bydła, a później i nowych sił roboczych, to jest niewolników. Podług ówczesnego zwyczaju dzieci nie mogły po nim dziedziczyć. Zgodnie z prawem macierzyńskim, uznającym pochodzenie tylko w linii żeńskiej i zgodnie z pierwotnym zwyczajem dziedziczenia w szczepie, do spadku po zmarłym członku szczepu przychodzili tylko inni tegoż szczepu członkowie. Majątek musiał pozostać własnością szczepu.

Dopokąd spadki były małoznaczące, dostawały się one najbliższemu krewnym szczepowym,

a więc rodzeństwu matki. Dzieci zaliczano nie do szczepu ojca, ale do szczepu matki, należały więc do macierzystego dziedzictwa; później może zyskały do tego dziedzictwa pierwsze prawo, ale scheda po ojcu nie należała do nich. Trzody więc, po śmierci swego właściciela, dostawały się jego braciom, siostrom i dzieciom jego siostr, albo potomkom siostr matki jego.

W miarę, jak bogactwa rosły, dawały one mężczyźnie stanowisko znakomitsze, a zarazem były pokusą do skorzystania ze wzrastającej potęgi celem obalenia istniejących praw dziedzictwa na korzyść swoich dzieci. Do tego atoli przyjść nie mogło, dopokąd obowiązywało prawo macierzyńskie. Usunąć je nie było tak trudno, jakby się dziś mogło zdawać. Rewolucyja ta, jedna z najgłębiej sięgających, jakie ludzkość przeżyła, mogła się dokonać bez przelania jednej kropli krwi. Nie zmieniło się stanowisko żadnego z członków szczepu. Wystarczało postanowienie, iż nadal mężczyźni należeć będą do szczepu, kobiety zaś będą wyłączone i wracane do szczepu ojcowskiego. Tym sposobem zniweczono prawa macierzyńskie i wprowadzono natomiast prawa ojcowskie. Jak i kiedy się odbyła ta rewolucyja u ludów będących na drodze cywilizacyjnej, nie mamy o tem żadnych wiadomości. Ale że się odbyła, dowiodły tego najzupełniej dostatecznie zebrane przez Bachofena liczne ślady prawa macierzyńskiego; a jak ona łatwo idzie, widzimy

u mnóstwa plemion indyjskich, u których dokonała się świeżo i dokonywa się jeszcze pod wpływem częścią wzrostu bogactw i zmiany sposobu życia (przesiedlenia z lasów do preryj), częścią moralnego oddziaływania cywilizacji i misjonarzy. Z ośmiu plemion Missuri u sześciu zaprowadzono dziedzictwo po ojcu, dwa pozostały jeszcze przy prawie macierzyńskim i dziedziczeniu w linii żeńskiej. U Szawnisów, Miamiów i Delawarów powstał obyczaj przenoszenia dzieci do szczepu ojcowskiego, przez nadawanie im nazw szczepowych. „Wrodzona to człowiekowi kazuistyka, żeby zmieniać rzeczy, zmieniając nazwy! I wynajdywać obejścia, aby w zgodzie z tradycją łamać tradycję, ilekroć bezpośredni interes jest dość silną pobudką!” (Marks) Wyniknął stąd zgubny zamęt, któremu zaradzić było można i zaradzono w części, przechodząc do prawa ojcowskiego. „To wydaje się w ogóle przejściem najnaturalniejszym”. (Marks).

Obalenie prawa macierzyńskiego było *dziejową klęską płci niewieściej*. I w domu ster chwycił mężczyzna. Ten fakt i poniżone stanowisko niewiast, często widoczne u Greków w czasach bohaterskich i klasycznych, upiększano później i obłudnie osłaniano, miejscami nawet przyodziewano w łagodniejsze formy, ale go bynajmniej nie usunięto.

Pierwszy skutek ustalonego jedynowładztwa mężczyzny występuje w wynurzającym się teraz

przejściowym układzie patryarchalnym. Głównem jego znamieniem jest nie wielożeństwo, o którym później, ale skupienie pewnej liczby osób wolnych i niewolnych pod ojcowską władzą głowy rodziny. Pośród Semitów żyje głowa rodziny w wielożeństwie, niewolnicy mają żony i dzieci, a celem ustroju jest dozorowanie bydła na odgraniczonym obszarze. Znamieniem istotnem jest włączenie ludzi niewolnych i władza ojcowska. Typem skończonym tego ustroju jest familia rzymska. Wyraz *familia* u Rzymian początkowo nie stosuje się wcale do współmałżonków ani do ich dzieci, ale wyłącznie do niewolników. *Famulus* jest to niewolnik domowy, domownik, a *familia* — to ogół niewolników, należących do jednego człowieka. Jeszcze za czasów Gajusa „familia, id est patrimonium” (t. j. ojcowizna) bywała zapisywana testamentem. Wyraz ten wzięli Rzymianie dla oznaczenia nowej budowy społecznej, której głowa posiadała pod ojcowską władzą, z prawem życia i śmierci, żonę, dzieci i pewną liczbę niewolników. Słusznie z tej przyczyny mówi Marks: „Nowoczesna rodzina nie tylko w zawiązku swoim posiada niewolnictwo (*servitus*), ale także poddaństwo, gdyż przede wszystkim dotyczy posług rolnych. Zawiera ona w miniaturze te wszystkie sprzeczności, które się później rozwinęły w społeczeństwie i w państwie”.

Taka forma rodziny jest przejściową od małżeństwa parzystego do jednożeństwa. Celem za-

bezpieczenia wierności, a stąd ustalenia ojcowstwa, kobieta zostaje oddaną pod bezwarunkową władzę mężczyzny: jeżeli ją zabija, to wykonywa tylko swoje prawo.

Zanim przejdziemy do jednożeństwa, rozwijającego się niebawem po upadku prawa macierzyńskiego, powiedzmy jeszcze słów kilka o wielożeństwie i wielomeźtwie. Obie te formy mogą być tylko wyjątkowymi, gdyż, jak wiadomo, nie spotykają się obok siebie w jednym i tym samym kraju. Ponieważ tedy wyłączeni od wielożeństwa mężczyźni nie mogą się pocieszać kobietami pozostałymi od wielomeźtwa, liczba zaś mężczyzn i kobiet była dotąd dosyć równa bez względu na instytucje społeczne, przeto nie możemy żadnej z tych form małżeństwa poczytywać za panującą powszechnie. W samej rzeczy posiadanie wielu żon przez jednego mężczyznę jest jawnym wytworem niewolnictwa, ograniczonym do niektórych wyjątkowych stanowisk. W rodzinie semicko-patryarchalnej wielożeńcem jest sam patryarcha i najwyżej dwóch, trzech jego synów; reszta poprzestawać musi na jednej żonie. Dziś jeszcze tak się rzeczy mają na całym wschodzie: wielożeństwo jest przywilejem bogatych i wysoko postawionych, a rekrutuje się głównie drogą kupna niewolnic. Masa ludu żyje w jednożeństwie. Podobnym wyjątkiem jest wielomeźtwa w Indyach i Tybecie, którego pochodzenie niewątpliwie od rodziny Punalua, powin-

no bliżej być zbadane. W praktyce wielomeżstwo zdaje się być o wiele swobodniejszym, niż zazdrosne gospodarstwa haremowe u Mahometanów. Przynajmniej w Indjach u Nairów trzech, czterech lub więcej mężczyzn posiada wprawdzie żonę wspólną, ale każdy z nich może z trzema lub większą liczbą innych mężczyzn posiadać wspólnie drugą żonę, podobnież trzecią, czwartą i t. d.

4. *Rodzina Jednożeńcza.* Powstaje ona z Rodziny Parzystej w epoce przejściowej między średnim a wyższym stanem barbarzyństwa, ostateczne zaś jej zwycięstwo jest jednym ze znamion poczynającego się życia cywilizowanego \*). Podstawą jej jest panowanie mężczyzny, a celem płodzenie dzieci o niewątpliwem ojcostwie; ojcostwo takie jest wymagalne, gdyż dzieci, jako sukcesorowie z krwi, mają wejść z czasem w dziedzictwo dóbr ojcowskich. Od małżeństwa parzystego różni się jednożeństwo większą daleko trwałością związków, które nie mogą już być zrywane podług upodobania obojga współmałżonków. Z reguły mężczyzna tylko może je ze-

---

\*) Wyrażenie: stan barbarzyństwa średni i wyższy jest oczywiście zaczerpnięte z Morgana, którego „Społeczeństwo pierwotne“ służyło do opracowania niniejszego rozdziału; objaśnienie tego wyrażenia dajemy na końcu rozdziału.

rwać i żonę swoją odtrącić. Przywilej niewierności przyznany mu jest przynajmniej zwyczajowo (Kodeks Napoleona przyznaje mu takowy wyrażnie, byleby nałożnicy nie wprowadzał pod dach małżeński) i z przywileju tego korzysta mężczyzna tem więcej, im bardziej rozwija się życie społeczne. Jeżeli natomiast kobieta przypomni sobie i wznowić zechce dawne praktyki obcowania cielesnego, to podlega karze surowszej, niż kiedykolwiek przedtem.

Nowa postać rodziny z całą właściwą sobie twardością występuje u starożytnych Greków. Podczas gdy stanowisko bogiń przypomina, jak zauważył Marks, epokę poprzednią, w której kobiety były swobodniejsze i bardziej szanowane, niewiasta w okresie bohaterskim była w zamknięciu półwięziennem dla zapewnienia istotnego ojcostwa dzieciom. Mężczyzna zato szuka zadowolenia z brankami wojennemi, swemi towarzyszkami na wojnie. Mało co lepiej jest w okresie klasycznym. W Chariklesie Beckera znaleźć można bliższe szczegóły o losie kobiet greckich. Jeżeli nie wprost zamknięte, to przynajmniej odcięte od świata, stały się pierwszemi służebnicami mężów swoich, poprzestając głównie na towarzystwie innych kobiet służebnych. Dziewczęta były poprostu zamykane, kobiety wychodziły za dom nie inaczej jak w towarzystwie niewolnic. Jeżeli obcy mężczyzna przyszedł do domu w odwiedziny, to kobieta zamykała się

w swoich pokojach. Mimo to znajdowały Greczynki dosyć często sposobność sprzeniewierzenia się mężom. Ci znowu, wstydząc się okazać miłość swoim żonom, szukali rozrywek z heterami; ale odarcie kobiety z godności nie uszło bezkarnie mężczyznom; poniżyli się bowiem aż do wstrętnej pederastyi, zbeczczyli też bogów swoich podaniem o Ganimedzie.

Zresztą rodzina pojedyncza niewszędzie i niezawsze przybierała formy klasycznie szorstkie, jakie miała u Greków. Rzymianie, jako przyszli władcy świata, mieli pogląd szerszy, choć mniej byli wykwintni od Greków, i kobieta rzymska była i swobodniejsza, i bardziej szanowana. Rzymianin miał przekonanie, iż władza życia i śmierci dostatecznie zabezpiecza go od niewierności małżeńskiej. Kobieta miała tu prawo także samo jak mężczyzna do zerwania związków małżeńskich.

Ale największy postęp w rozwoju jednożeństwa przypadł stanowczo z wejściem Germanów na widowinę dziejową, a to dlatego, że u nich jednożeństwo, jak się zdaje, niezupełnie jeszcze odskoczyło od Rodziny Parzystej. Wnosimy tak z trzech okoliczności, o których wspomina Tacyt: po pierwsze, mimo wielkiego poszanowania dla małżeństwa, mimo że „poprzestawali na jednej żonie, a kobiety żyły w korbach wstydlivości”, jednakże naczelnicy plemion i ludzie znakomici miewają wiele żon, jest to więc układ,

jakiemu podobny spotykamy w Ameryce, u pokoleń żyjących w małżeństwie parzystem. Powtóre, przejście od prawa macierzyńskiego do prawa ojcowskiego musiało być niedawne bardzo, gdyż jeszcze wuj t. j. brat matki—najbliższy krewny szczepowy podług prawa macierzyńskiego—poczytywany był za krewnego bliższego niemal, aniżeli własny ojciec; podobny stosunek spotykamy znowuż u Amerykanów, u których Marks, jak często mawiał, znajdował klucz do zrozumienia własnych naszych stosunków w epoce pierwotnej. Po trzecie, kobiety u Germanów cieszyły się wysokiem poważaniem i wpływem na sprawy publiczne nawet, co jest oczywiście w sprzeczności z właściwem jednożeństwem panowaniem mężczyzn. I w tym względzie tedy wprowadzili Niemcy nowy żywioł dominujący do układu społecznego. Nowe jednożeństwo, które się z wędrówki ludów rozwinęło na gruzach świata rzymskiego, przyoblekło rządy męskie łagodniejszymi formami i dało kobiecie przynajmniej na oko pozycję nieporównanie zaszczytniejszą i swobodniejszą, aniżeli kiedykolwiek w klasycznej starożytności. Teraz dopiero mógł się rozwinąć z jednożeństwa, w jednożeństwie, a niekiedy naprzekór jednożeństwu największy postęp moralny, jaki jednożeństwu zawdzięczamy: nowoczesna indywidualna miłość między mężczyzną a kobietą, nieznaną dawniej wcale. Źródłem rzeczonoego postępu nie było jakoweś bajeczne

Niemców usposobienie do czystości moralnej, ale raczej ta okoliczność, iż do jednożeństwa zastosowali układ właściwy Rodzinie Parzystej, z której byli świeżo wyszli, a która wolna jest od owych jaskrawych sprzeczności obyczajowych, znamionujących jednożeństwo. Przeciwnie, na wędrownikach, zwłaszcza ku południo-wschodowi, nad wybrzeża morza Czarnego, zamieszkane przez koczowników stepowych, objawiali Niemcy wielki upadek moralny i od wspomnianych koczowników przejęli nie tylko biegłość w zażywaniu wierzchowców, ale także wiele występków brzydkich, przeciwnych naturze. Wspomina o tem Ammianus, mówiąc o Thaifalernach i Prokop, mówiąc o Herulach.

Jakkolwiek z pomiędzy wszystkich znanych form rodziny samo tylko jednożeństwo mogło dać początek miłości nowożytnej, to przecież nie należy sądzić, że miłość ta wyrosła i rozwinęła się na pniu jednożeństwa jako wyłącznie, albo choćby przeważnie miłość małżeńska. Nie zgadzałyby się to z naturą jednożeństwa wyłącznego i stałego przy panującym żywiole męskim. U wszystkich klas dziejowo czynnych t. j. rządzących, pozostało zawieranie związków małżeńskich tem samym, czem było w Rodzinie Parzystej, a mianowicie kwestyą umów pomiędzy rodzicami. I pierwsze historyczne ukazanie się miłości namiętej, każdemu mężczyźnie właściwej, miłości będącej najwyższym specyficznym wyra-

zem popędu płciowego, rycerska miłość średnio-wieczna nie jest bynajmniej uczuciem przywią-zania małżeńskiego. Przeciwnie, w klasycznych swych objawach, u Prowansalów, zmierza ona w pełnym rynsztunku do łamania wiary małżeńskiej, i taką właśnie miłość wielbią poeci, którzy uczczeniu jej poświęcili swój talent. Kwiatami prowansalskiej poezji miłosnej są *alby*, po polsku pieśniienne. Malują one gorącymi barwami, jak rycerz rozkoszuje się na łożu swej uroczej bogini, cudzej żony, a na dworze stoi giermek i odwołuje go w chwili, kiedy brzask dzienny (*alba*) rozpraszać zaczyna cienie nocy, aby szczęśliwiec mógł się wymknąć niespostrzeżony. Scena pożegnania była punktem kulminacyjnym. Francuzi północni i Niemcy przyjęli ten sam rodzaj poezji oraz odpowiadającą jej miłość rycerską, a staroniemiecki Wolfram von Eschenbach pozostawił trzy prześliczne „pieśniienne” traktujące o tym ponętym przedmiocie.

Ale wróćmy do Morgana, od któregośmy się znacznie oddalili. Badania dziejowe nad instytucjami społecznymi okresu cywilizowanego są po za obrębem jego książki. Dlatego też dotyka on zaledwie pokrótce dziejów jednożeństwa w tym okresie. I on spostrzega, iż z jednożeństwem obie płci są bliższe równouprawnienia, którego wszakże nie dostąpiły jeszcze w zupełności. „Ale, powiada, jeśli uznamy fakt, że rodzina przebyła cztery postaci kolejne i teraz przebywa piątą

ta, tedy rodzi się pytanie, czy ta ostatnia forma będzie trwała. Jedyna możliwa odpowiedź jest, że forma ta postępować musi z postępem społeczeństwa i zmieniać się ze zmianą społeczeństwa tak zupełnie jak dotychczas. Jest ona wytworem stanu społecznego i odzwierciedlać go będzie. Ponieważ w rodzinie jednożeńczej nastąpiło polepszenie od początku cywilizacji, bardzo widoczne w czasach nowych, można więc przynajmniej przypuszczać, że zdolną jest dalszego doskonalenia się, aż do osiągnięcia równości obu płci. Gdyby w odległej przyszłości jednożeństwo nie mogło odpowiadać wymaganiom społeczeństwa, to niepodobna wywróżyć, jaka forma zajęłaby jego miejsce".

Morgan kreśli następujący obraz kolejnych epok w rozwoju ludzkości:

*I. Niższy stan dzikości* zaczyna się wraz z dzieciństwem ludzkiego rodzaju, a kończy się z chwilą wprowadzenia rybołówstwa i umiejętności użycia ognia. Ludzkość w tym czasie mieściła się w pierwotnych szczupłych siedzibach, a owoce i orzechy stanowiły jej pożywienie. Początki mowy członkowanej przypadają na ten okres. Żaden przykład plemion ówczesnej ludzkości nie przetrwał w owym stanie do epoki historycznej.

*II. Średni stan dzikości* zaczyna się z wprowadzeniem pokarmów rybnych i umiejętności użycia ognia, kończy się zaś z wynalezieniem łuku i strzał. Z pomiędzy dziś istniejących jeszcze plemion w tym średnim stanie dzikości pozostawali Australijczycy i większa część Polinezyjczyków wtedy, gdy ich odkryto.

*III. Wyższy stan dzikości* trwa od wynalezienia łuku i strzał aż do wynalezienia sztuki garncarskiej. W tym okresie pozostawały niektóre plemiona amerykańskie, do czasu ich odkrycia.

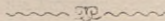
*IV. Niższy stan barbarzyństwa* ciągnie się od wynalezienia garncarstwa aż do następnego okresu. Przykłady jego znalaziono również w Ameryce.

*V. Średni stan barbarzyństwa* rozpoczyna się od oswojenia zwierząt na wschodniej półkuli, od uprawy ziemi przez nawodnienie na zachodniej półkuli, oraz od użycia cegły i kamieni w budownictwie. W tym stanie są osady Indian w Nowym Meksyku, w Meksyku, w Ameryce środkowej i w Peru — i takie plemiona wschodniej półkuli, które, posiadając zwierzęta domowe, nie znały żelaza. Starożytni Brytowie, chociaż obecnani z użyciem żelaza, należeli oczywiście do tego stanu. Sąsiedztwo bardziej posuniętych w rozwoju plemion lądowych rozszerzyło wśród nich znajomość sposobów życia daleko poza granicę właściwego im stopnia rozwoju ich urządzeń domowych.

*VI. Wyższy stan barbarzyństwa* zaczął się odkryciem sposobu topienia rudy żelaznej, skończył się zaś z wynalezieniem alfabetu fonetycznego i użyciem pisma; w wyższym stanie barbarzyństwa żyły plemiona greckie za czasów Homera, italskie na krótko przed założeniem Rzymu i germańskie za Cezara.

*VII. Stan cywilizacji* zaczyna się z powstaniem zabytków piśmiennych (pismo fonetyczne lub hieroglificzne), trwa do naszych czasów i dzieli się na *starożytny i nowożytny*.

(Przyp. tłum.).



## Ubranie i mieszkanie.

---



Przypuszczając, że ludzkość rozszła się z jednego punktu, musimy się zgodzić, że kolebka jej była w strefie cieplej. Stąd wynika, że potrzeba okrycia bardzo późno dała się uczuć. Wiele ludów obchodziło się zupełnie bez odzieży w czasie, kiedy je Europejczycy poznali.

Ludy stref północnych potrzebowały okryć nagie ciało. W klimacie gorącym przywdziano ubranie z powodów, których moralista nie zaliczy na dobro ludzkości.

Jean Paul mówi: „Najgłupszy stroją się najbardziej; więc też najgłupsze zwierzęta—owady—są najróżnobarwniejsze”. To twierdzenie znajduje

uzasadnienie w historii cywilizacji. Upodobaniu w strojach hołdują ludy na najniższym nawet stopniu cywilizacji stojące i poprzestające na zaspokojeniu najkonieczniejszych potrzeb materialnych.

Naszym strojem jest odzież, czyniąca jednocześnie zadość potrzebie istotnej. U ludów, których ubranie świeci nieobecnością, musi być przystrajaniem samo ciało. Jakoż malowanie ciała jest obyczajem szeroko rozpowszechnionym. Indianie północni malowali sobie twarz niemal codziennie, usiłując wynajdywać coraz nowe wzory. Głównymi barwami są: czarna i czerwona; Huronowie przebiegali nieraz po dwadzieścia mil, żeby przynieść jakąś ziemię farbiarską. Mieszkańcy Ziemi Ognistej, gdy ich poznano w zeszłym stuleciu, malowali sobie dokoła oczów białą, resztę twarzy w prążki czerwone i czarne. Podobnie zdoła się wyspiarze mórz południowych i Australijczycy.

Żeby zmniejszyć trudy częstego malowania całego ciała, wynaleziono tatuowanie. Do tatuowania używa się grzebyczek z zęba rekina, który, uderzany młoteczką, nakłuwa skórę. Miejsca nakłute są pocierane sadzą z oliwą albo innymi farbami, skutkiem czego powstają na skórze niezatarte rysunki czarne lub kolorowe. Pierwsze tatuowania otrzymują dzieci, doszedłszy lat dwunastu; następne przybywają od czasu do czasu, niekiedy aż do późnego wieku i po-

krywają całe ciało rysunkami dosyć wytwornymi, czasem nawet zdumiewającymi. Sztuka tatuowania rozwinęła się bardzo w Polinezyi; ojczyzną jej są wyspy mórz południowych.

Oprócz malowania i nakłuwania spotykamy u niektórych ludów wydrapywanie skóry. Zauważyć należy, iż ozdoby takie służą nietylko próżności, ale i celom praktycznym. Każde plemię posiada odmienne wzory, niby godła, którymi odróżnia się od innych plemion. Dwaj wojownicy przy spotkaniu w lesie rozpoznają wzajemnie z rysunków na skórze, czy należą do plemion przyjaznych czy do wrogich. Szlachta nowoczesna maluje sobie herby na drzwiczkach pojazdów, na czaprakach końskich, na biletach wizytowych, dzicy noszą je na własnej skórze.

Chęć zaćmienia innych strojnością pobudzała do wynajdowania coraz nowych sposobów zdobienia ciała. Indyanie północni dziurawili ucho, jak mogli najbardziej, i zawieszali w niem rozmaite świecidełka. Niektórzy nosili pierścionki u nosa. Jedno i drugie jest rozpowszechnione w Australii, Polinezyi, Afryce i w Indyach Wschodnich. Niektórzy Australijczycy pysnili się wielką kością, którą zwolna wtłaczali w chrząstkę międzynozdrzową. Australijczycy i Nowozelandczycy lubili nosić na goleniach jak największe pierścienie. Indyanie Gujany poprzesta-

wali na wtykaniu kijków bambusowych w otwory przekłutę w nosie i w uszach.

Później przybyły pióra, wstążki łyczkowe, muszle i t. p. Na pomysł opasywania szyi i ciała powyżej bioder i zawieszania na tym sznurze rozmaitych ozdób, ewentualnie trofeów wojennych wpaść musiały wszystkie ludy, tu bowiem sznur najłatwiej się utrzyma i najwięcej można zawiesić bez utrudnienia ruchów.

Przy nieustannej dążności do strojenia się, osłonięto ńareszcie większą część ciała. Stąd pierwsi odkrywcy nieznanych przedtem dzikich ludów wyprowadzili wniosek, że okrywanie dolnej części ciała jest dowodem uczucia wstydlivości. Wniosek to wszakże mylny, gdyż wewnątrz chat kobiety często przyjmowały podróźnych zupełnie nagie, i zaspokojenie popędu płciowego niezawsze odbywało się zdala od spojrzeń obcych.

W okolicach, których klimat zniewalał do używania odzieży, okazywano mniej dbałości o strój. Najniższy stopień odzieży znaleziono u mieszkańców Ziemi Ognistej w zeszłym wieku. Zawieszali oni skórę lamy albo psa morskiego niewyprawioną na ramionach i owijali ją dokoła siebie. Nieco wyżej stali Patagończycy, którzy kilka takich skór zszywali ścięgnami lub rzemykami, zyskując w ten sposób odzież dostatniejszą, którą obciskali paskiem powyżej bioder. Podobnie owijali nogi. Stąd pierwsi od-

krywcy sądzili, że noszą oni pewien rodzaj spodni i kamaszy.

Niezbędność ubioru w chłodniejszych okolicach zmusiła wcześniej ludzi do wyprawiania skór. Wiele wszakże trudów kosztowało wynalezienie garbowania; w tej sztuce położyli nie małe zasługi zwłaszcza Indyanie.

W Polinezyi, szczególnie na Taiti, człowiek nie mógł się obejść bez odzieży, ale brakowało mu zwierzyny dostarczającej futer, gdyż i dotychczas są tam tylko psy i szczury, dające bardzo małe skórki. Konieczność znagliła do wynalezienia innych sposobów. Moczo no łyeczko młodych drzew chlebowych, oraz pewnych gatunków morwy i figowców, oskrobywano je muszlami i układano warstwami w długie smugi, a następnie kołatano długo i starannie młotkiem drewnianym żłobkowanym. Skutkiem takiego postępowania łyeczko klei się w jedną masę niby pilśni lub sukno. W noszeniu staje się miękkim i giętkim, ale przepuszcza wilgoć.

Takiego przemysłu tkackiego nie spotykamy zresztą nigdzie więcej. Tkaniny roślinne zmuszały wogóle do szukania sposobów długich i mozolnych. Najpierw wynaleziono plecionki. Następnie wazkie plecionki zszywano wzdłuż brzegami, i tak powstały najdawniejsze tkaniny. Do sporządzania takich tkanin na odzież dawniej murzyni w Afryce zachodniej nie używali żadnych narzędzi prócz palców. „Robili je, kłę-

cząc, bez warsztatu tkackiego, bez czółenka, cierpliwie oddzielając nitkę od nitki, jak robią koszykarze. A chociaż pracują tak prędko, że oko ledwo nadąży za ruchem palców, to jednak najlepszy robotnik zaledwie łokieć utka w ciągu ośmiu dni”.

Do jak mozolnej roboty natura zniewolić może człowieka, widzimy w Nowej Zelandyi, gdzie materyały ze „lno nowo-zelandzkiego” nie są ani tkane, ani plecione, ale wiązane; robota i dziś jest wykonywana zupełnie tak samo, jak w czasie odkrycia rzeczonyj wyspy.

W Europie, przeciwnie, najdawniejsze pozostałości dowodzą tak już wysokiej techniki tkackiej, że między jej wytworami a produkcjami pierwotnymi odskok jest olbrzymi i niczem nie wypełniony. O znalezionych w Robenhausen kawałkach płótna mniemano, że przypadkowo zaplątały się między wykopaliska. Dopiero przedsięwzięte przez geologów i starożytników oględziny miejscowości przekonały, że te kunsztowne tkaniny są rzeczywiście spuścizną po człowieku z epoki mieszkań nawodnych i że są rówieśne z narzędziami z kamienia i z kości.

Do dnia dzisiejszego w Arabii, Persyi, Indiach najwytworniejsze tkaniny wykonywane są za pomocą najprostszyc narzędzi. Długo panowało przekonanie, iż tkaniny, znajdowane w Europie, drogą handlu przybyły ze wschodu. Obalił wszakże takie mniemanie *Paur*, fabrykant

wstążek w Zurichu, któremu się powiodło zbudować warsztat tkacki, zdumiewająco prosty i na nim wyrobić tkaniny do złudzenia naśladowujące wszystkie wzory, znalezione w wykopaliskach z okresu budowli na palach.

Budowa tego warsztatu wyjaśniła zarazem znaczenie kul glinianych, znalezionych między wykopaliskami. Należały one do przyrządów tkackich.

Hellwald opisuje taki warsztat szczegółowo. Postać jego przekonywa, że jest on produktem cywilizacji Azji i Afryki, przeniesionym do Europy już wówczas, kiedy w owych częściach świata przemysł znacznie był postąpił.

Pliniusz opowiada, że Germanowie po tamtej stronie Renu zajmowali się uprawą lnu, i że kobiety w mieszkaniach podziemnych przędły i tkwały. Gdziekolwiek len uprawiano, przędzeniem i tkaniem zajmowały się kobiety, w Egipcie tylko tkali mężczyźni. O początku tego przemysłu nic nie wiemy; ale wszędzie, gdzie się ukazał, płótno wypierało futra z użycia. W czasie wędrówki ludów najezdniczy Germanowie zamiłowani byli w płótnie, a zamilowanie to wzrosło jeszcze we Włoszech. Zwolna płótno stało się najważniejszym materiałem na odzież w całym ucywilizowanym świecie. Płótno umożliwiało większą czystość. W kożuchu łatwo się łęgnie robactwo pasorzytnicze i móle.

O pierwotnej przeróbce wełny zwierzęcej także niewiele możemy powiedzieć. Przypuszczają, że z pomiędzy amerykańskich ludów posiadli tę sztukę najpierw Peruwiańczycy; w starym świecie najpierwsze wzmianki o przemyśle wełnianym dotyczą Egiptu. W wielu krajach wybór między płótnem a wełną zależał od mody; tak np. Doryjczycy nosili odzież wełnianą, a Jonczycy płócienną. W czasie wojny Peloponezkiej wszakże Ateńczycy znowu przekładali wełnę.

Między odzieżą a mieszkaniem człowieka zachodzi nierozdzielny związek. Sznur łydkowy dał początek odzieży ludzkiej, on też posłużył do umocnienia pierwszej chaty.

Zimniejszy klimat zmusił również do schronienia się pod dachem. Jaskinie służyły prawdopodobnie za pierwsze mieszkania, zwłaszcza w zimie. Latem osłona ze skóry zabezpieczała od wiatru i deszczu. Nadawano tej osłonie wymiary coraz większe, nareszcie przymocowano ją do palików, tworzących okrąg zamknięty i tak powstała pierwsza chata. Za filar posłużyło rosnące w środku chaty drzewo, o które łatwiej było można oprzeć paliki i umocować. Korona drzewa uzupełniała osłonę chaty.

Przed setką lat ujrano, jak Eskimosi używali innych mieszkań na lato i na zimę. Jednakże już wówczas budownictwo tego ludu wyszło z kolebki. Mieszkania letnie, chroniące głównie

od deszczu, nie były już okrągłe, ale czworograniaste. Zarys namiotu na ziemi oznaczano kamieniami w czworokąt. Jako odrzwi zabijano po obu stronach paliki i związywano je rzemieniami. Inne paliki, w liczbie od dziesięciu do czterdziestu, wyginano tak, iż tworzyły szczyt. Chatę pokrywano skórami, a za drzwi służyły opony przeświecające ze zszytych jelit psa morskiego. Ognisko niecono zwykle przed namiotem. Drzewo nanoszone przez morze i zbierane latem dostarczało materiału opałowego.

Budowę mieszkania zimowego rozpoczynano we wrześniu, kończono na św. Michała. Kopanie w gruncie skalistym byłoby mozolne i narażałoby na wilgoć od sączącej się wody, Grenlandczyk woli tedy jeszcze w lecie usypać na ziemi wały kamienne w czworobok półczwarta do czterech metrów szeroki i wdwójnasób tyle długi. Szczeliny między kamieniami wypełnia ziemią i darniną. Wpoprzek układa belki i inne kawały drzewa przyniesionego przez morze, a na tej powale gromadzi trawę i chwasty. Mróz cementuje takie dachy, ale zapadają się one zwykle, gdy nastąpi odwilż, i muszą być co roku odnawiane. Całość wygląda jak wzgórek usypany ręką ludzką; jednakże chociaż się wznosi nad ziemię, to gdy śniegi wysokie przypadną, ma pozór jaskini podziemnej. Wążki korytarz od środka domu z otworem ku morzu, zbudowany takim samym sposobem, stanowi jedyne wej-

ście, którem trzeba się czołgać, aby się dostać do chaty, a zarazem jedyny łącznik z powietrzem zewnętrznym. Wnętrze chaty jest wzdłuż podzielone na izbę gospodarską i sypialnię, wzniesioną na stopę i zasłaną całym zapasem skór i futer. Tu śpią mieszkańcy nocą, tu dniem przesiadują. Na końcu izby gospodarskiej jest ognisko: pień przykryty kamieniami płaskimi. Ogień płonie dniem i nocą. Dla braku drzewa, za materiał opałowy służy tłuszcz psów morskich i tran w wielkim naczyniu z mnóstwem knotów ze mchu zrobionych. Naczynie to ma postać wązkiego wyżłobienia w miękkim kamieniu wydłubanego, jednocześnie jest lampą oświetlającą, ogrzewa mieszkanie, a w zawieszonych nad nim kociołkach warzy się jadło. Wszystek zaduch, kopeć, odór mięsa napół zgnięłego w kotle i wyziew zaprawy garbnikowej do skór, uchodzą korytarzem, który nadto bywa zazwyczaj wspólny dla kilku domów.

W kwietniu lub maju tajenie śniegów wypędza z domu całą rodzinę.

Jedną z najstarszych siedzib ludzkich odkrył świeżo dr. Nüesch u stóp zwieszającej się skały „Zum Schweizerbild” o pół godziny drogi od Szafuzy. Badania naukowego dokonał wspólnie z d-rem Häuslerem. Zabytki tam znalezione liczą się do najważniejszych z końca okresu lodowego w Europie Zachodniej. Są one o wiele tysięcy lat starsze od budowli na palach, a na-

wet od wodospadu Renu pod Szafuzą. Szczątki te znaleziono nie w jaskini, ale pod wyskokiem skalistym w ziemi. A niewiele mogły się zmienić w ciągu minionych tysiącleci, gdyż dokoła nich małą znaleziono ilość odłamów kamieni.

Możliwe jest, że niegdyś dokoła dachu skalnego były rozwieszane skóry; domyślać się tego można z obecności krzemieni, których używano do dziurawienia skóry. Najniższy pokład, jakiego się dokopano, jest to żółta glina; w niej znaleziono narzędzia krzemienne i rozbite kości głównie pardwy, a także nieliczne kości większych zwierząt. Renifer oczywiście bywał wtedy rzadko napotykanym. Na tym pokładzie leży warstwa złożona z milionów kości drobnych zwierząt gryzących i ptaków, pojedynczych szczęk pomniejszych zwierząt drapieżnych, odłamków kości renifera, kawałków rozsochów, narzędzi krzemiennych i t. p. Na tem wszystkim leży „warstwa cywilizacyjna czarna”: niezliczone kawałki kości, krzemieni, wielkie tłuczki kamienne do rozbijania kości reniferów, jako też pojedyncze kości obrobione i wyroby rogowe. Wyżej jest „warstwa cywilizacyjna żółta” z licznymi kośćmi i wielkimi płytami kamiennymi, ułożonemi porządnie dokoła ogniska, jak gdyby na nich mieszkańcy jaskini siadali. W tej warstwie znaleziono kość z ułamkiem rysunku przedstawiającego obrobioną z gruba głowę, szyję i przednią nogę renifera. Znaleziono także igłę do tatuo-

wania, przedziurawione muszle, szydła i małą świstawkę kościaną.

Cała ta warstwa jest przywalona „szarą warstwą cywilizacyjną”, zawierającą niezliczone kości i tysiące obrobionych narzędzi kamiennych.

Następny pokład w części sąsiadującej ze skałą jest prawie wyłącznie wypełniony popiołem suchym. W części mniej osłoniętej przez wyskok skalny zbliża się barwą i składem do czarnoziemiu i widocznie znurtowany jest legowiskami zwierząt, robotami rolnymi, a także jamami lisów, borsuków i myszy, których kości bieleją w wielkiej liczbie. W nieporuszonej warstwie popiołu leżał wielki szkielet ludzki. Powyżej aż do powierzchni jest pokład najświeższy, złożony z popiołu i czarnoziemiu, zawierający przedmioty z różnych epok, stare noże krzemienne, gwoździe żelazne i nowoczesne skorupy gliniane.

Kości warstw głębokich, o ile dotąd je określono, świadczą o przebywaniu tam renifera, zająca alpejskiego, konia, pardwy, następnie dzika, wilka, lisa biegunowego, niedźwiedzia i tura. Liczne są drobne gryzonie: szczury wodne, lemingi i myszy. Człowiek ówczesny był widocznie myśliwcem, mięso było jego wyłącznym pokarmem, a na kościach zwierząt widzimy dotąd ślady narzędzi, któremi je obrabiano.

Szczególniej poszukiwany był szpik, wszystkie bowiem dłuższe kości zwierzęce są rozlu-

pane, podczas kiedy ptasie, nie posiadające szpiku, zostały całkowite. Uderzający jest brak psich kości. Z wielkim prawdopodobieństwem wnosić można, że przedhistoryczni osadnicy „zum Schweizerhaus” nie znali psa, jako zwierzęcia domowego. Zniknięcie tych osadników przypisuje dr. Nüesch zmianom, jakie zaszły w świecie zwierzęcym skutkiem nastąpienia klimatu nowego. Już w epoce pokładu cywilizacyjnego „szarego” horda musiała być mniej liczna, wreszcie wywędrowała czy wymarła. Wówczas człowiekowi skała nie służyła już za miejsce stałego mieszkania; na starych ogniskach pozostałych po łowcach reniferów rozkładano ognie okolicznościowo w różnych celach w epoce kamienia gładzonego, brązu i żelaza. Dziś jeszcze skała jest ulubionym miejscem zabawy dla młodzieży z Szafuzy, a ognie przez tę młodzież niecone przysypują nowymi popiołami popioły niezliczonych pokoleń. Wielce pocieszającym i dla nauki nader ważnym jest tak troskliwe i umiejętne zbadanie tej nowo-odkrytej siedziby człowieka reniferowego, podczas kiedy w r. 1874 przez nieświadomość i powierzchowność ważne wykopaliska na wyżynie Thayngen przypadły prawie dla nauki.

Człowiek często bywał w konieczności bronienia swej siedziby od zwierząt i od wody. To doprowadziło do budowania mieszkań na palach. Szczątki takich konstrukcyj znajdowane

X są niemal w całej Europie. Zauważyć należy, iż nie tylko dzikie plemiona, ale także i półcywilizowane budują domy na palach. Pale wznoszą się na metr i wyżej nad ziemię, albo nad powierzchnię jeziora lub rzeki. Spotykamy całe miasta budowane w ten sposób, a najwspanialszym przykładem takiej sztuki budowania jest Wenecya. Kiedy w czasie upadku państwa rzymskiego zachodniego mnożyły się najazdy barbarzyńców północnych, mieszkańcy Włoch górnych szukali schronienia na odludnych odzypiskach lagun, i wystawili domy na palach, aby sobie mieszkania suche zapewnić. Równie wspaniałym miastem na palach jest Amsterdam.

W Syamie i Kambodży krajowcy pobudowali także domy na palach bambusowych i całe pływające miasta na wielkich rzekach, zwłaszcza na Menamie. Wzdłuż Menamu i nad Mekongiem stoją domy na palach, metr do dwóch metrów wysokości mierzących.

X Głównym pożywieniem mieszkańców jest ryż, wymagający roli wilgotnej. Przed tą wilgocią i przed wylewami chronią się mieszkańcy do napowietrznych budowli. Zarazem unikają w ten sposób węży, szczurów i mrówek, będących tam plagą krajową. Aby wtargnięciu rozbactwa zapobiedz, przepuszczono każdy pał przez szeroką tarczę drewnianą. Wchodzi się do domu po drabinie.

Na wyspach Sundzkich i Bruni bardzo są liczne budowle na palach. Na Borneo jest miasto na palach osobliwością swoją niewiele ustępujące słynnej Wenecyi.

W takichże domach mieszkają Papuasi na Nowej Gwinei. A. R. Wallace daje następujący opis ich mieszkań: „Są bardzo niskie i okryte dachem wyglądającym jak wielka łódź, przewrócona dnem do góry. Przystęp do chat jest po długim, źle obrobionym moście. Pale, dźwigające domy, mosty i platformy, są to dyle małe, krzywe, nieregularnie rozstawione, mające taki pozór, jak gdyby się chciały wywrócić. Podłogi są również z dylów krzywych, ułożonych tak luźno i w takiej odległości jeden od drugiego, że nie odważyłem się chodzić po nich. Ściany składają się z kawałków desek, pozostałych po zniszczonych łódkach, ze zgniłych mat i liści palmowych, poutykanych tu i owdzie, jak się zdarzyło, a wszystko to ma pozór taki obzarpany i nędzny, jak tylko wyobrazić sobie można”.

Brak miejsca nie pozwala na wyliczenie wszystkich okolic, w których po dziś dzień jeszcze napotkać można budowle na palach. Poprzestańmy na wzmiance, że więcej niż dziesięć milionów ludzi w różnych miejscowościach na kuli ziemskiej mieszka w takich domach.

W dawnych dokumentach dziejowych znajdujemy wiele śladów mieszkań nawodnych. He-

X rodot pisze, że pewne pokolenie Peonów zamieszkiwało na jeziorze Prasyas domy na palach.

X „Pierwsze pale zabijają w jezioro kosztem gminy; później każdy zabija pale, ilekroć się żeni— a mają prawo brać po wiele żon. Od brzegu do mieszkań prowadzi jeden wązki most. Każdy ma swoją chatę, od której drzwi zwodzone, oparte na dylach, otwierają się na jezioro. Dzieci są przywiązywane sznurkiem uczepionym u nogi, ażeby nie wpadały w wodę. Koniom i innemu bydłu dają na pokarm ryby, których taka jest obfitość, że dość spuścić na sznurku w wodę kosz przez drzwi zwodzone, aby po niejakej chwili wydobyć pełen ryb”.

I Hipokrates maluje wioskę, jaką znalazł na rzece Phasis, wpadającej do morza Czarnego przy wschodnim jego załamie. Godne jest uwagi, że w tej samej okolicy spotkać można i dziś jeszcze budowle zupełnie podobne do opisanych przez Hipokratesa. Nie są to wszakże najwcześniejsze świadectwa dziejowe. Posiadamy dokładną wiadomość o budowlach nawodnych z 17 wieku przed Chrystusem.

X W Europie od połowy bieżącego stulecia odkryto tak liczne starożyte budowle na palach, że wolno twierdzić, iż oprócz Skandynawii nie ma okolicy, w którejby niegdyś na palach nie mieszkało. Najwięcej takich miejscowości znaleziono w Szwajcaryi, gdzie liczba ich dochodzi 400. Ilość pali zabitych bywa nader różną. Oko-

ło Wangen, nad jeziorem Bodeńskim, znaleziono 30—40 tysięcy pali zabitych, tworzących prostokąt 700 kroków długi, a 120 kroków szeroki. Na przestrzeni pręta kwadratowego znajdowano przynajmniej dwanaście, często siedmnaście do dwudziestu jeden pali. Miejscami tkwiły one po trzy do czterech tuż przy sobie; prawdopodobnie były to mocniejsze podpory górnej budowy. W Robenhausen zajmują pale obszar 1,300 metrów kwadratowych. Stacya Morges, największa na jeziorze Genewskim, obejmuje 60,000 metrów kwadratowych, stacya Chambray na jeziorze Neuenburger 50,000, inna na tem samym jeziorze 40,000, podczas gdy trzecia stacya

00	00	00	00	00	00	00	00	00
00	00	00	00	00	00	00	00	00
00	00	00	00	00	00	00	00	00
00	00	00	00	00	00	00	00	00
00	00	00	00	00	00	00	00	00
00	00	00	00	00	00	00	00	00
00	00	00	00	00	00	00	00	00
00	00	00	00	00	00	00	00	00

**Rozmieszczenie pali na jeziorach  
 w Szwajcaryi.**

La Tène ma tylko 3,000 metrów kwadratowych rozległości. Inne są jeszcze mniejsze, ale jednak dość rozległe.

Ze wszystkiego, co znaleziono w szwajcarskich budowlach nawodnych, wnosić można, że cywilizacya dawnych mieszkańców tych budowli nie stała wyżej, niżeli np. cywilizacya dzikich na wyspach Sundzkich. Narzędzia wszystkie są kamienne, ale bardzo urozmaicone. Ludzie ówcześni już uprawiali ziemię, o czem nie mieli pojęcia mieszkańcy jaskiń z epoki reniferów.

Liczne budowle nawodne przetrwały czas przejściowy od okresu kamiennego do metalowego. Nie posiadając szczególnie wojowniczych instynktów, mieszkańcy domów na palach cenili wosoko stroje i ozdoby.

I dla robót kobiecych sporządzano narzędzia bronzowe. Większa część budowli z owego czasu znajduje się w Szwajcaryi zachodniej, wszelako można je spotkać i w innych okolicach Europy: w jeziorach alpejskich Włoch górnych, Bawaryi, oraz w Salzkammergut\*). Na zachód ciągnie się łańcuch takich budowli przez Saubaudyę (jezioro Bourges) i Francyę południowo-

---

\*) Salzkammergut jest to piękna podalpejska okolica w południowej części arcyksięstwa austriackiego z miastem stołecznem *Ischl*.

zachodnią (jeziro Paladra pod Grenoblą), gdzie sięgają one okresu żelaznego, aż do Pireneów, i dalej wzdłuż dolin aż do Atlantyku. Budowle na palach w Brandeburgii i na Pomorzu wschodniem są z epoki żelaznej, w Meklemburgii jest kilka z epoki kamiennej”.



## Metale.

---



Ważnym faktem jest bezspornym że ludzkość na najniższym stopniu cywilizacyi nie używała broni i narzędzi żelaznych. Ludy, które nie nauczyły się w następstwie obrabiać metali zamiast kamieni, musiały się opóźnić w cywilizacyi, gdyż obróbka metali znamienuje stopień, na który ludzkość wstąpić musiała, jeżeli miała iść naprzód. Dość wspomnieć budowę domów: bylibyśmy skazani na mieszkaniu w nędznych chatach, gdyby nie narzędzia metalowe, które umożliwiły wznoszenie wygodnych domów. Porównajmy budowle na palach z epoki kamiennej i pałace Wenecyi, będące także budowlami na palach.

Jeżeli można w życiu każdego ludu, żyjącego na pewnej ograniczonej przestrzeni, odróżnić epokę kamienną i metalową, to już zgoła nieślusznie byłoby dzielić tę ostatnią na bronzową i żelazną. Wiele ludów nie знаło wcale bronzu i przeszły od kamienia bezpośrednio do żelaza. Przyjmowanie okresu brązowego jest równie mało uzasadnione, jak np. przyjmowanie okresu miedzianego, którego też istotnie żaden uczonec nie uznaje, chociaż niektóre ludy pierwiej używały miedzi niż żelaza. Indianie Ameryki północnej posiadali miedziane narzędzia; materiał obfity czerpali w bogatych pokładach nad jeziorem Górnem. Schliemann znalazł w Troi narzędzia miedziane obok brązowych. W kopalniach Czudów używane są narzędzia będące odlewami z miedzi. W Węgrzech także znaleźć można dużo naczyń miedzianych. Wogóle wyroby miedziane zdarzają się w obfitości tam głównie, gdzie o miedź było łatwo. Obecność narzędzi miedzianych w Troi tem się objaśnia, że wyspiarze greccy pochodzili z Azji, posiadającej pokłady miedzi, z sobą więc do Grecyi miedź wprowadzili.

Obok miedzi poznano już wcześniej żelazo, mianowicie meteoryczne. Największe meteoryty, o jakich mamy wiadomość, spadły w Grenlandyi, gdzie znajdowano bryły żelaza zmieszanego z niklem 600 centnarów wążące. Żelazu meteorycznemu zawdzięczają Eskimosi materiał na noże, harpuny i groty do strzał. Żelazo bywa

tu obrabiane bez ognia, jak kamień. I dlatego nie zdołał Eskimos całej klingi noża zrobić żelaznej, ale osadzał kawałki żelaza w okładkę drewnianą lub kościaną tak szczelnie, że się tym sposobem ostrze formowało.

Tak używane żelazo niewiele więcej daje korzyści niż kamień, i z tej przyczyny okres żelaza właściwie zaczyna się z chwilą, kiedy człowiek posiadał sztukę wytapiania żelaza z rudy za pomocą ognia oraz odkuwania w dowolne kształty.

Wiele plemion w Afryce przeszło wprost od okresu kamiennego do żelaznego. Prawda, że obróbka żelaza pozostała długo na tak niskim stopniu, miejsca, skąd żelazo można czerpać, są tak odległe jedno od drugiego, ruch ludności z przyczyny zaprowadzonej od dawna uprawy roli tak był słaby, a obfitość żelaza tak niewystarczająca na zaspokojenie wszystkich potrzeb, że długo utrzymały się narzędzia kamienne obok żelaznych. Kowale nawet używali narzędzi kamiennych. Młot i kowadło były z kamienia; miech wszakże wynaleziono od dawna. Robiono otwór w garnku glinianym nieco powyżej dna, zawiązywano garnek kawałkiem skóry, do którego przymocowywano rączkę drewnianą i przez szybkie wtłaczanie skóry w garnek wytwarzano wiatr, który rurką od otworu w garnku doprowadzano do ogniska.

Bardzo ciekawe są gliniane piece do topienia rudy żelaznej używane w Dżur i w Bongo

na obszarze górnego Nilu. Schweinfurth opisuje piec taki, zwany „tuń” w Dżur. Przy ziemi są zrobione cztery małe otwory; tędy idzie silny ciąg powietrza. Obok jest dół na żuźle. Wierzch pieca lejowaty służy do wkładania rudy żelaznej brunatnej, nader obficie w tym kraju znajdującej na powierzchni ziemi. Na spodzie pieca układa się wysoka warstwa węgla drzewnego, którego płomień przenika całą masę rudy i ponad nią jest widzialny. Po 40 godzinach krople żelaza sączyć się zaczynają przez rozżarzoną warstwę węgla i spływają w dół przygotowany. Przez ponowne wielokrotnie powtarzane prażenie i kucie kamieniami skupiają się cząsteczki w jednorodną masę. Można tym sposobem otrzymać wyborne żelazo kowalskie.

W Bongo fabrykacya za pomocą pieca zwanego „berr” jest poniekąd udoskonalona. Ponieważ brakuje w kraju wapna i mieszkańcy nie mają wyobrażenia o mularstwie, lepią tedy piece z gliny, mniejsze i mniej trwałe, gdyż większe łatwo pękałyby od ognia. Piec ma postać dzwonu z trzema przedziałami: w średnim przedziale ruda i węgiel są układane warstwami naprzemian; przedziały niższy i wyższy wypełniają się samym węglem. Przedział niższy jest od średniego oddzielony zgrubieniem ścian wewnętrznych, służącym za ruszt. Najwyższy przedział kulisty łączy się ze średnim za pomocą otworu bardzo wąskiego, służącego do powiększenia cią-

gu powietrza. U spodu są cztery otwory dla powietrza i piąty dla wyciekającego żelaza. Ten otwór może być dowolnie zalepiany gliną. Wszystkie te urządzenia obmyślili sami krajowcy, nie nauczeni przez obcych przybyszów, i tak, porzucając narzędzia kamienne, przeszli do technicznego obrabiania żelaza.

W Tartaryi dom każdy sposobi żelazo na swój użytek, zarówno jak pieczywo. Piec do wytapiania stoi w kuchni; jest to mała przestrzeń zamknięta, z rurą kominową ulepioną z ziemi. Z przodu są drzwiczki do wrzucania rudy, z boku otwór na miech. Jak się wytopi jedna bryła żelaza, to ją wyrzucają i topią drugą. Kilka brył gotowych prażą razem i przekuwają na sztaby.

Luszajowie, lud mieszkający między Bengalem a Birmą, układają piec z kamieni, a za miechy używają dwóch cylindrów drewnianych, w których chodzi tłok poruszany ręką ludzką i dokoła opatrzoney piórami, ażeby szczelnie przystawał.

Egipcyanie posiadli, jak się zdaje, w bardzo dawnych już czasach sztukę wyrabiania stali z żelaza meteorycznego. Za materiał opałowy służył im nawóz wielbłądzi, którego związki węglowe żelazo na stal przetwarzały.

Prastara jest metoda indyjska wyrabiania stali w małych piecykach ulepionych z gliny i z nawozu krowiego wysuszonego. Do piecyka

wsypują żelazo magnetyczne podobne do piasku, nadto węgiel drzewny i nawóz krwi, ogień rozżarzają podwójnym mieszkim ze skóry koziej, i przez ośm godzin dmą, dosypują żelaza i materiału opałowego; poczem piec stygnie, a z popiołu wydobywają bryłę żelaza kowalskiego dobrego, ważącą około 40 funtów. Bryłę tę rozdrabniają, dosypują do niej oznaczoną ilość węgla i liści zielonych, pakują w małe gliniane tygielki, zalepiają, i tygielki te układają w piecu w ten sposób, że tworzy się z nich sklepienie nad ogniskiem. Wystawiając tygielki na mocny żar przez  $2\frac{1}{2}$  godziny, otrzymują w każdym tygielku bryłkę stali, którą wszakże należy jeszcze prażyć czas dłuższy, aby zdatna była do kucia. Tak się wyrabia słynna stal indyjska.

Podobnie otrzymywali żelazo starożytni, np. Chalibowie nad morzem Czarnem i tegoż nazwiska lud w Hiszpanii — oba te ludy wślawiły się przygotowaniem dobrej stali.

Godne uwagi są badania szwajcarskiego górnika Quiquerez'a dotyczące historii metalurgii. Odkrył on w Jurze Berneńskiej przeszło 400 pieców do topienia żelaza, które po większej części odkopał i wystudyował gruntownie. Ze wszystkich poszukiwań Quiquerez'a wynika, że do wytapiania żelaza z rudy używano węgla drzewnego, który w stosach wypalano na miejscu. Przy zakładaniu pieców mniej tedy zależało na bliskości rudy, niżeli na bliskości drzewa, które

trudno byłoby w wielkich ilościach sprowadzać po stromych ścieżkach górskich. W niektórych miejscach rudy żelazne wystąpiły na światło dzienne przy podnoszeniu się gór. Gdy je wy-czerpano, nie trzeba było wielkiego dowcipu, aby ich szukać pod powierzchnią ziemi, a następnie kopać coraz głębiej. W niektórych dawnych stolniach, które w późniejszych czasach napotkano przy kopaniu galeryj, znaleziono od-wieczne narzędzia. Kogoż zadziwi, że górnik przesądny, oglądając je, wierzy w istnienie kar-łów, posiadaczy tych kopalni?

Quiquerez tak opisuje owe przeddziejowe ro-boty:

Na pierwszym lepszym kawałku ziemi, zwy-kle u stóp wzgórza, ulepiano z gliny dno pieca szachtowego na 15 — 20 centymetrów grubości, z tegoż samego materiału wznoszono ściany zewnętrzne, które następnie podpierano stoczno-nymi z gór kamieniami, a niekiedy otaczano jeszcze u podstawy pierścieniem z ziemi. Na 4—5 centymetrów mniej więcej ponad podstawą robio-no łukowaty otwór na całą szerokość szachtu, i umacniano go kamieniami. Ściany szachtu miały 30—45 centymetrów grubości i były wal-cowe; wznosiły się zaś niezupełnie prostopadle, ale pochylały się w tę stronę, od której był otwór drzwiczek, a to w celu, iżby sypane z gó-ry węgiel i ruda nie skupiały się u samych drzwiczek. Skutkiem takiego urządzenia ciąg

powietrza był silny i płomień mógł ogarnąć całą warstwę. Warstwę sypano na  $2\frac{1}{2}$ — $2\frac{3}{4}$  metrów wysoko. Górny otwór zabezpieczano pierścieniem kamiennym od uszkodzenia przy nasypywaniu. Całość miała kształt ostrokągu ściętego, spłaszczonego nieco od strony drzwiczek, a niższego od strony pagórka.

Gdy piec nowo zbudowany wysechł dostatecznie, zaczynała się robota. Sypano z góry kilka koszy węgla, na nie odpowiednią ilość rudy i tak warstwami napełniano piec, zapalano ogień i regulowano dopływ powietrza, przysmakując lub odchylając drzwiczki stosownie do potrzeby. Żuźle, które się na dnie pieca tworzyły, usuwano hakami, podniecano żar, i wreszcie wydobywano rozżarzoną do białości masę metalu, którą natychmiast przenoszono na kowadło i przekuwano na sztaby.

Ciąg powietrza w piecu powyżej opisanym był tak silny, że ściany naprzeciw drzwiczek zeszkliły się zupełnie, podczas gdy po stronie drzwiczek glina wypalała się tylko do czerwoności, a w samych drzwiczkach, oziębianą wpadającym powietrzem, zachowała barwę białą, pierwotną. Skutkiem zeszklenia jednej ściany pieca tworzyły się pęknięcia częstokroć wymagające gruntownej naprawy. Ponieważ piec był za wązki, ażeby można było naprawiać go z wewnątrz, musiano tedy rozbierać go na części. Takie naprawy Quiquerez wyszedził u największej liczby pieców, a za dowód służą zeszkłone kawałki gliny

pomiędzy żuźlami. Wnosząc z ilości żuźli, piece te musiały długi czas być czynne. Dopokąd lasy okoliczne dawały zapas węgla, żadna przeszkoda nie wstrzymywała roboty.

Jakkolwiek prostymi wydają się te piece, zbudowanie ich wymagało wszakże ogromnej roboty. Potrzeba było na to 130 stóp sześciennych gliny, którą, podobnie jak i rudę, prowadzono pod górę stromemi ścieżkami. Policzmy jeszcze wyrąbywanie drzewa i wypalanie węgla i zestawmy z tem wszystkiem wydajność pieca, który na raz mógł dostarczyć wszystkiego 15—25 kilogramów żelaza, a zrozumiemy, iż kowalskie żelazo było towarem drogim, używanym nader oszczędnie. Oprócz innych okoliczności przemawiają za tym wnioskiem i młoty kamienne, znajdowane na miejscu, a niegdyś widocznie używane przez kowali.

Wytopione według powyższej prastarej metody żelazo było miękkie, kowalne, a dobroć jego zależała przedewszystkiem od rudy i od zręczności kowala. Taż sama metoda utrzymała się, jak widzieliśmy, w Afryce i Azji po dziś dzień, a u nas wyparły ją w historycznych już czasach wielkie piece i wynalazek żelaza lanego.

Kilka uwag poświęcimy także bronzowi, będącemu przedmiotem wielostronnych sporów. Jak już wspominaliśmy poprzednio, o epoce bronzowej niema co mówić, gdyż wiele ludów nie znało bronzu wcale, z drugiej zaś strony, w tych

nawet okolicach, gdzie bronz był znany, obchodzono się z nim oszczędnie bardzo i nie wyrabiano z niego wszelakich naczyń, ale poprzesztawiano na używaniu go do przedmiotów ozdobnych, podobnie jak srebra i złota. Oszczędność tę spowodowała rzadkość cyny. Bronz jest stopem (aliażem) 9 części miedzi z 1 częścią cyny. Aczkolwiek już najdawniejsza starożytność wiele znała pokładów miedzi, wszelako co do cyny dwie tylko miejscowości zauważono: jedną przypuszczalnie w Iberyi kaukazkiej, drugą w Paropamisus. Stamtąd czerpali ten kruszec i na zachód go prowadzili jako towar Fenicyanie, później Grecy, aż wreszcie Wielka Brytania otworzyła swoje kopalnie cyny.

Historia nie wyświeciła, jaką drogą przychodzili Egipcyanie do posiadania bronzu, którego tak znaczną ilość używali. W każdym razie pierwaj wprowadzili zastosowanie miedzi, którą kopali na półwyspie Synai. Cynę nabywali zapewne od najdawniejszych czasów drogą handlu. Głównem źródłem bogactwa Fenicyan był handel cyną, której dostarczali wszystkim mieszkańcom wybrzeży morza Śródziemnego. W wyrobach bronzowych, które wówczas były przedmiotem bardzo znacznego handlu, współzawodniczyli z Fenicyanami Etruskowie. Ta okoliczność, że cynę trzeba było sprowadzać zdaleka, stała na przeszkodzie rozwinięciu zastosowań bronzu. Ówczesne bronzowe siekiery, dłuta, gro-

ty do strzał i włóczni dziwią małością swoją. Miecza brązowego używali tylko znakomici wojownicy. Zwyczajny człowiek nie był w możności nabyć przedmiotu tak zbytkownego. Jak ogłędnie obchodzono się z bronzem, przekonywa nas i ten fakt, że nawet w tak zwanym okresie brązowym często posługiwano się narzędziami kamiennymi.

Jeżeli mimo to wielu badaczy przyjęło okres brązowy, to błąd ich przypisać należy licznym wykopaliskom. W wielu bowiem dawnych grobowcach znajdowano mnóstwo brązowych ozdób i broni, a żelaza ani śladu. Przeoczono w tym razie, iż w ziemi żelazo łatwo rdzewieje i rozpada się, gdy brąz jest oporniejszy. Ta więc okoliczność, że w jakimś okresie czasu nie znaleziono narzędzi żelaznych, nie przekonywa, że wcale nie używano wtedy żelaza. Pod względem oporności na działanie wilgoci, żelazo w takim stosunku mniej więcej jest do brązu, jak drzewo do żelaza. Niema wątpienia, że pierwsze narzędzia były z drzewa; jednakże pierwotnych narzędzi drewnianych nie znaleziono — właśnie z przyczyny, że nie mogły przetrwać aż do naszych czasów.

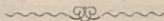
Podobnie jak nie można wykazać obszernego zastosowania brązu, zdolnego usprawiedliwić nazwę okresu brązowego, tak również niesłuszne jest twierdzenie, jakoby wynalazek brązu poprzedził użycie żelaza. Brąz wy-

leżć mogły tylko ludy obyte już z obrabianiem żelaza. Znakomity metalurg John Percy mówi: „Nic łatwiejszego, jak wytopić żelazo kowalne z rudy odpowiedniej; proces ten poczytywać należy za najłatwiejszy ze wszystkich procesów metalurgicznych. Dość nagrzewać kilka godzin w żarze z węgla drzewnego kawałek rudy żelaznej brunatnej lub czerwonej, aby otrzymać żelazo łatwo dające się przekuwać na sztaby. Metoda pierwotna otrzymywania dobrego żelaza kowalnego bezpośrednio z rudy, używana dotąd w Indjach i Afryce, wymaga daleko mniej zręczności, niż fabrykacja bronzu. Ażeby zrobić ten aliaż, potrzeba umieć wydobywać miedź, wytapiać cynę, znać sztukę robienia form i odlewów. Z punktu widzenia metalurgicznego należy tedy przyjąć, że tak zwany okres żelazny wcześniej nastąpił niż bronzowy”

Jeszcze jedna okoliczność przemawia za tem, że ludzie nie mogli się obeznąć pierwej z bronzem niż z żelazem. A mianowicie miedź znajdujemy zawsze w połączeniach z metalami i metalojdami; aby ją wydzielić, nie wystarcza proste przetopienie, ale potrzeba dokonać dwóch robót: wydobyć miedź surową, a następnie ją oczyścić t. j. ową surową miedź zamienić na metal zdatny do użytku. Nie da się zaprzeczyć, że to wymaga nieporównanie wyższej inteligencji i doświadczenia metalurgicznego, niż bezpośrednio otrzymywanie kowalskiego żelaza. Ni-

gdzie też niema ludu obeznanego z przemysłem miedzianym, a nie znającego żelaza.

Jeżeli zgodnie z Rougemont'em zakreślimy linię graniczną dokoła miejscowości, w których używano bronzu, to poczynając od wschodnich brzegów Tygrysu pójdzie ona przez półwysep Synai, obejmie cały Egipt, przebiegnie oazy libijskie i maurytańskie i sięgnie Atlantyku. W Europie ogarnie Wielką Brytanię, przetnie Norwegię ku południowi i przez środek Szwecyi podąży na wschód. W dalszym biegu niepewna bardzo, zmierza mniej więcej środkiem Syberyi ku Chinom. O tem państwie mamy wiadomość, że znało bronz pod dynastyą Czeu (1123—247 przed Chr.), i że odtąd metal ten łatwy do obrabiania, a jednak twardy i nie rdzewiejący, chętnie był używany na broń i różne narzędzia. Dopiero ku końcowi tego okresu w jednym z małych królestw, składających ówczesne Chiny, wrócono do znanej poprzednio obróbki żelaza i w początkach naszej ery przemysł żelazny w Azji wschodniej dosięgnął rozkwitu samoistnie. W jakiej mierze do tej dziedziny bronzu dołączyć należy Indye—pozostaje nierozstrzygniętem. Wewnątrz opisanej linii granicznej, od Chin aż do Hiszpanii, bronz wszędzie był znany pierwej lub później. W każdym jednak razie żelazo znane było wcześniej.



## R e l i g i a.

---



o-tężny jest duch ludzki, nie tak przecież potężny, aby zdołał rozjaśnić wszystkie cuda, jakich pełną jest natura. Człowiek usiłuje wykryć przyczynę każdego zjawiska. Jeżeli jej dostrzedz nie może, to poczytuje zjawisko za wynik nadprzyrodzonych sił lub istot, któremi fantazyja jego zaludnia wszechświat.

— Im niżej stoi cywilizacyja ludu, im mniej nauka oświeciła warunki bytu, tem swobodniej gra fantazyja. Słońce, księżyc, gwiazdziste zastępy, lato i zima, kwitnienie i wędnięcie, dzień i noc—słowem wszystko, czemu pospolite pojęcie sprostać nie zdoła, znajduje wyjaśnienie w bó-

stwach, aniołach, demonach i innych tajemniczych istotach. Sposób pojmowania takich nadziemskich, nadprzyrodzonych i wogóle tajemniczych jestestw, rządzących światem i ludzkością, nazywa się religią \*).

Prof. dr. Otto Caspari \*\*) łączy powstanie religii ze sztuką niecenia ognia. Hypoteza jego znalazła wielu zwolenników i Hellwald przytacza ją jako najbardziej odpowiadającą naturalnemu rozwojowi ludzkości \*\*\*). Aczkolwiek w wykładzie Casparego wynalazek niecenia ognia inaczej jest przedstawiony, niżeli w niniejszem dziełku na str. 46, to jednak zgodzić się można, że w różnych miejscowościach globu rozniecano pierwsze ognie bądź jednym, bądź drugim sposobem.

W czasach najdawniejszych, jak widzimy z pozostałych dotąd zabytków, człowiek objawiał już artystyczne popędy, przyswoił sobie pewną technikę, pewną zręczność w gładzeniu i ścieraniu drzewa i kamienia; wolno tedy w uzdolnieniu takim widzieć przygotowanie i warunki zewnętrzne do niecenia ognia, gdyż zdaje się być

---

\*) Berga, H. *Religie, ich powstawanie i rozwój*. Lipsk, u S. Schnurpfeila.

\*\*) *Die Urgeschichte der Menschheit i t. d.* Lipsk 1873.

\*\*\*) *Hellwald Fr. v. Der vorgeschichtliche Mensch*. Lipsk 1880.

pewnem, że początkowo zapalano go tylko przez tarcie. Bardzo prawdopodobnie brzmi domniemanie, że pierwszymi wynalazcami ognia byli robotnicy lub niewolnicy zajęci przygotowaniem narzędzi kamiennych, którzy dzięki swej pracy przyszedli do znacznej wprawy. Dziś jeszcze u ludów żyjących w stanie natury zauważyć można, że wszelkie ciężkie roboty spełniają oprócz kobiet przeważnie kulawi i ułomni, a więc ludzie niezdadni do boju, będący jakoby niewolnikami. Niema powodu twierdzić, że w czasach pierwotnych było inaczej.

Głęboko sięgające skutki wynalazku ognia były dwojakie: najpierw pobudzały do tajemniczych, nadmysłowych objaśnień sił przyrody, z drugiej strony ci, którzy posiadli sztukę niecenienia ognia, nieznaną ogółowi, otoczyli się niejako nimbem, zjednali sobie uszanowanie tem większe, im lepiej umieli wyzyskiwać swój dobroczynny i pożyteczny wynalazek. Naiwny, czysto zmysłowy pogląd na stosunek przyczyny do skutku nie wystarczał, wkraczały pojęcia wyższe. Pierwotnej fantazyi wydawały się płomienie np. węzami, wywoływanie ich zaś przypisywano siłom wyższym, ukrytym w osobach zdolnych niecić ogień. Czynność niecenienia ognia była magią, czarodziejstwem, a ludzie, spełniający tę czynność—czarnoksiężnikami. Wczorajsi niewolnicy jednym zamachem przetwarzali się na

panów. Ci szamani ognia stawali się bóstwami i kapłanami jednocześnie. Władza ich, opierająca się na umiejętności, miała tedy charakter duchowy: niebawem na nich przeniesiono hołdy należne dotąd naczelnikom plemion, i prócz oznak uszanowania składano im ofiary.

11 Tak widzimy początki kapłaństwa związane z wynalazkiem ognia. Równocześnie zaczął się fetyszyzm. Oprócz magicznego płomienia jako węża, podniesiono do świętości wodę, dym, powietrze, święcone drzewo i kamienie używane do rozpalania ognia. Co więcej, dopatrzone związek między ogniem a gwiazdami, i wzięto pochop do sabeizmu czyli ubóstwienia gwiazd. Światło zaostrzyło zmysły do rozróżniania barw: pewne barwy uznano za czarowne, a to z kolei przyczyniło się do czci zwierząt odpowiednio zabarwionych. Nareszcie powstawanie ognia wzbudziło cały nowy zakres pojęć. Zapładnianie, rodzenie, męskość, choroba i śmierć były zawsze zjawiskami do objaśnienia trudnemi, a mocno zajmującemi dziecięcy umysł ludów pierwotnych. W okresie ognia i fetyszyzmu rozwinęły się pojęcia o duszy, duchach i Bóstwie. Z ogniem wiąże się naturalnie wyobrażenie o ciepłe. Ciepły oddech ludzki prowadził do wniosku o ogniu tłącym w człowieku, i tak też duszę pojmowano w początkach. Dusza—to dech parujący; zapładnianie—to czynność niecenia ognia; twórcza siła męzka—to świętość, analogiczna

z kawałkiem drzewa, który przez tarcie wzniecał ogień. Z takiego porównania wynikła cześć Phallusa, szeroko rozpowszechniona w czasach pierwotnych. W zakresie tych samych pojęć leży palenie zwłok, oddawanie czci przodkom i ofiary z ludzi. Szybko i głęboko związało się uwielbienie dla gwiazd ze czcią ognia i czarno-księstwem. Słońcu promiennemu składano ofiary ogniste. Dobrowolnie poświęcali się ludzie z początku sami na ofiarę, aby wzniosłe, święte istoty przyjmowały ich jasne, płomienne dusze. W dalszym logicznym rozwoju chorobę poczytano za zmaę, za przyćmienie i zbrukanie jasnego dusznego ognia w ciełe; wyzdrowienie było oczyszczeniem. Oczyszczenia żądano od szamanów ognia, którzy tą drogą stali się pierwszymi lekarzami.

W następstwie poczytano gwiazdy błyszczące na niebie za płomyki rozniecone potężniejszymi rękami, niż ręce magów ziemskich. Gdy zaś z czasem zaufanie do ludzi czarodziejów podupadło, gdy się przekonano, że ich uroki i leki niezawsze są skuteczne, a przeciwnie zjawiska niebieskie zdumiewały swym niezmaconym ładem, wyłoniły się w zaświatach niemyłne potęgi z władzą nadludzką panujące, od których człowiek coraz bardziej czuł się zależnym. Ci nadziemscy mocarze—to *bogowie*. Oddzielono tedy bóstwo od kapłaństwa. Z szamanizmu i czarno-księstwa, za sprawą którego tłum zaczął uwiel-

biać cudowność, wystąpili właściwi kapłani jako słudzy bóstwa. W miarę, jak szamanizm upadał, rosła władza naczelników plemion, i w owej przedhistorycznej epoce już zostało rzucone ziarno walki między władzą świecką a duchowną, tak często rozdzierającej ludy, zmuszającej je do zmiany siedziby i nieprzebrzmiałem dotąd echem odzywającej się w starych pieśniach i podaniach ludów poetycznie uzdolnionych.

Powyższy wykład Casparego wymaga wszakże sprostowania w jednym punkcie. Nieprawdą jest, ażeby przed wynalezieniem ognia istniało niewolnictwo i żeby niewolnicy dokonali tego wynalazku, a następnie zostali kapłanami. W rozdziale o powstaniu rodziny wykazaliśmy, że niewolnictwo jest produktem cywilizacji wyżej posuniętej. Zjawilo się ono wtenczas dopiero, kiedy własność prywatna tak była rozległa, że siły posiadacza nie wystarczały do jej utrzymania. Okres ten zaś u wszystkich ludów nastąpił tak późno, że o czasie, w którym ognia nie znano, tradycja nawet wygasła. Aczkolwiek tedy wydaje się naturalnem, że pierwsi wynalazcy ognia zostali kapłanami i szamanami, to zaprzeczyc musimy, aby byli niewolnikami.

Wynalazek ognia dał, według Casparego, podniętę do wytworzenia *form* religijnych. Wszelako zauważyć należy, iż poczucie zależności od potęgi nadludzkiej musiało pierwiej już tleć w ludziach. Poczucie to jest niemal równie da-

wne jak świadoma siebie ludzkość, a więc nieporównanie dawniejsze niż wynalazek niecenia ognia. Na najniższym stopniu cywilizacyjnego życia człowieka, w samym początku rozwoju jego umysłowości, kiedy więcej był zajęty zjawiskami otaczającego świata, niżeli zachodzącymi wewnątrz jego ducha, poczucie zależności ograniczało się, jak pisze Wachsmuth, na spostrzeganiu skutków zjawisk zachodzących w przyrodzie. Wszakże nietylko straszne i zatrważające objawy sił przyrody, ale także i dobroczynne: światło, ciepło, deszcz, orzeźwiający wiatr — budziły uczucia religijne. Stara maksyma: „kiedy trwoga, to do Boga” — jest jednostronna. Miłości i wdzięczności także się głos należy. Poczucie zależności zyskało treść szlachetniejszą z chwilą, kiedy rozbudziło się sumienie, wyrokujące o czynach ludzkich, przeświadczenie o istnieniu prawa wyższego niż człowiek i o stolicy sędziowskiej, roztrząsającej dobre i złe uczynki. W zmysłowej sferze religij naturalnych o dobrem i złem rozstrzygało tylko uczucie przyjemności lub przykrości; w sferze obyczajowej przemówiły wyobrażenia o pokoju ducha, o zadowoleniu z siebie, o prawie i wiewinności, winie i pojednaniu się, a stąd wynikała dążność, iżby życie i działanie stosować do przestróg płynących ze świadomości o istnieniu nadludzkiego prawa moralnego i Boskiej jego potęgi.

*A* Pierwsze początki i stopnie rozwoju, oczyszczania i podnoszenia się wyobrażeń religijnych aż do wytworzenia określonych religij starożytnych, nie dadzą się historycznie wyznaczyć. Moglibyśmy początki te zupełnie pominąć jako dawno zatarte, gdyby się z nimi nie łączyło domniemanie, jakoby w misteryach, wśród skazenia obrządków ludowych, przechowało się czyste pojęcie o bóstwie, pierwiastkowo wspólnem dla wszystkich ludzi. Lecz pytanie to dotyczy tajemnicy, która miała być posiadaną tylko przez wybranych. *X* Jeżeli weźmiemy pod uwagę wierzenia i obrzędy ludu, to dojdziemy do wniosku, jaki wyprowadza dalej Wachsmuth \*) że wyobrażenia religijne nabywały zwolna podniosłości — przynajmniej co do przedmiotów ciężo otaczanych. I tu wszakże nie należy sądzić, aby niezmiennie odbywał się równomierny pochod od rzeczy niższych ku wyższym, lub aby wszędzie od najniższych zaczynano. Porównania, jakie czyniono z nieokrzesanymi ludami nowszych czasów: z murzynami, hotentotami, czeremisami, dzikimi Ameryki Północnej, nie mogą być uważane za rozstrzygające o tem, co dotyczy ludzi pierwotnych. Ludy uzdolnione do postępu cywilizacyjnego, które tu w szczególności są przed-

---

\*) Wachsmuth dr. W. Allg. Kulturgeschichte. Lipsk 1850.

miotem rozważań z pominięciem surowych i tępych hord zaledwo wegetujących, miały z pewnością wyobraźnię daleko żywszą, bardziej młodzieńczo ruchliwą, niżeli owi nowocześni dzicy. Rolnictwu przyznać trzeba wpływ niepospolity na rozwój pojęć religijnych w starożytności i ścisły związek pomiędzy tymi dwoma kierunkami uznać, przyczem na karb ludów pasterskich położyć wypada wczesne oddawanie czci gwiazdom.

Z rozlicznych znanych gatunków religij *politeizm* (wielobóstwo) i najniższy tegoż stopień, *fetyszyzm* (zanoszenie modłów do przedmiotów nieżyjących), jako też *dualizm*, przyjmujący dobre i złe bóstwa przypadają na okres dzieciństwa ludów. Żydzi tylko mieli wyobrażenie Boga jedynego — lecz religia ich, aczkolwiek w tym względzie wyjątkowa, nie może być także wyłączona z rzędu starożytnych.

Z pomiędzy zdolności umysłu ludzkiego najpierwsza rola przy tworzeniu pojęć o działaniu i potędze bóstw przypadła wyobraźni. Ożywiła ona przyrodę otaczającą, obdarzając ją właściwościami życia ludzkiego. Owocem tej czynności umysłu był *panteizm* (nauka, że cały wszechświat jest bóstwem), pojęcie wyższe, w którym już się mieści jedność bóstwa, jednakże rozdrobniona w bezmiarze politeistycznej różnorodności i poniżona ubóstwieniem najlichszych nawet przedmiotów. Głębokim upadkiem umysłowym było, gdy człowiek, przenosząc instynktownie właściwości swoje na

dostrzegane przedmioty, oddawał cześć drzewom, pniom, palom, kłodom, kamieniom, jakoteż węzom i innym zwierzętom, nie uważając ich za symbole. I w tej czci przecież zawierało się acz bardzo słabe przeczucie potęg nadludzkich i stosunku człowieka do nich. Zresztą daleko więcej jest, demonomagii tu mętnych wyobrażeń o czarach i t. p. (należą tu oraz talizmany i amulety) aniżeli pojęć o boskiej Istocie. Jeżeli fetysze nie spełniały życzeń swych czcicieli, to mimo obawy ich potęgi, mimo nadziei pokładanych w ich łasce, obalono je, bito, deptano. Fetyszym jest więc raczej obniżeniem bóstwa do poziomu ludzkiego, niż podniesieniem człowieka do bóstwa. Wyższe dążenie zaczęło się z utworzeniem symbolu czyli godła, wiążącego z jakąś rzeczą myśl, która się nie w tej rzeczy mieściła. Przedmioty, które fetyszym ccił dla nich samych, stawszy się symbolami, pozyskały znaczenie znacznie i podkład duchowy. Zauważyć to możemy w czci oddawanej zwierzętom, bykowi, krowie i t. p. w Egipcie i Indyach, kwiatowi lotusu w tychże krajach, mieczowi u Scytów, włóczni u Sabinów i t. d. Jest to przejście od czczenia zwierząt, do przydawania ich za towarzyszy różnym bóstwom i poświęcenia dla nich.

Zanim wszakże zjawił się kult symbolu, poprzedzony przez postęp w wyobrażeniach i pojęciach, pociągnęły ludzi ku sobie niewątpliwie zja-

wiska natury, zarówno te, które znajdując się zewnątrz ziemi, zlewają na nią swe dobroczynne działania: światło i ciepło, jak i siły przyrody na ziemi: ogień, wiatr i same płody ziemi. Powstała cześć słońca, gwiazd i księżyca—*syderyzm, sabeizm*, cześć ognia—*pyrolatria*, cześć wiatrów, nawet gór (indyjski Meru), rzek (Nil i Ganges), źródeł i samejże ziemi jako matki życiodajnej. Stąd wynikły najznamienitsze systematy religijne pogańskiego wschodu, ubóstwiający przedstawicieli sił przyrody, ztąd początek trójcy bóstw (Trimurti, Brama, Wisznu i Siwa). Tu również i symbol wcześniej się zjawił. Zwierzęta były upostaciowaniem potęg natury, rzek, gór i t. p., Phalhus czyli Lingam i na jego podobieństwo zbudowane obeliski i piramidy przedstawiać miały płodność natury; wieczny ogień lub światło były wyobrażeniem światła bożego; nawet słońce, księżyc i firmament przy większej podniosłości pojęć uważano za godła światła jako boskiej istoty.

Choćbyśmy wszystkie te uzmysłowienia po-czytywali za stosujące się do fizycznych jedynie związków między człowiekiem a światem otaczającym, to i w takim razie uderzy nas rozróżnienie dobrego od złego. Nieokrzesany fetyzizm przypisuje wprawdzie obie te dążności przedmiotowi czci swojej, ale przeważa podejrzewanie fetysza o złe zamiary.

Z rozwojem pojęć dobrego i złego powstaje wyobrażenie o boskich sprawcach pomyślności

i o przeciwnych im potęgach szkodliwych—jest to dualizm. Można wprawdzie twierdzić, że niejasne wyobrażenie dyabła znajduje się już w religiach pierwotnych; jest ono wszelako późniejsze niżeli wiara w czary. Nieporównanie mniej oparcia w pierwotnych mniemaniach religijnych posiada idea najwyższego bóstwa troistego.

Z wiarą w potęgę nadludzkie najściślej łączy się wyobrażenie o zagrobowem życiu człowieka. I tu początki są surowe i mętne. Królestwo cieniów należy do ciemności świata demonicznego. U najbardziej myślących ludów starożytności do wytworzenia wyobrażeń o zaświatowej siedzibie przeszkadzała wiara w przechodzenie dusz. Życie pośmiertne bądź w formie przechodzenia dusz, bądź w formie trwania znaleźć można w *każdej* religii, nawet w żydowskiej, której wielokrotnie już czyniono zarzut, iż wiary tej nie zawiera. Munk w swych „Dziejach Palestyny” objaśnia, dlaczego Stary Testament milczeniem zbywa sprawę tak zajmującą.

Powiada on: „Mojżesz przemilczał o nagrodach i karach czekających człowieka w tamtem życiu, bądź to dlatego, że dusza, jako tchnienie boskie, wraca natychmiast po śmierci człowieka do swego pierwotnego stanu czystości, bądź też że nie chciał rozprawiać o temacie najeżonym trudnościami metafizycznymi, niedostępnym pojęciu ludzi, z którymi miał do czynienia. Nauka Mojżesza pragnie usunąć wszelkie zabobony i z tej

przyczyny nie chce wypowiadać zdania o wierze bardzo rozpowszechnionej rzeczywiście, ale wyznawanej przez starożytnych w formie niemożliwej do pogodzenia z czystą nauką o jedności Boga. Indyanie i Egipcyanie wierzyli w przechodzenie dusz; pośród zwolenników zoroastra, podobnie jak u starożytnych ludów Europy krążyły baśni najnierozumniejsze. Hebrajczycy nie stali w tym względzie wyżej od ludów otaczających, Mojżesz więc nie chciał wiary w nieśmiertelność duszy włączać do religii. Pozostawił tę wiarę nietkniętą, wiedząc, że prędzej lub później dobre zrozumienie nauki o jedności Bożej doprowadzi do wyższych wyobrażeń o stanie duszy po śmierci". \*).

{ Z wiary w potęgi nadludzkie, pisze Wachsmut, zrodził się naturalnie popęd do oddawania im czci, a żarliwość, z jaką odprawiano modlitwy, równie może być poczytywana za przygotowanie do uznania bóstwa, jak i za wynik tego uznania. Poszanowanie dla miejsc świętych, jaskiń, drzew, źródeł, gajów, drzew, wzgórz, rodziło się poniekąd z wyobrażenia, że w tych miejscach jest obecnem coś boskiego, że są owiane tchnieniem świętem. Posągi bóstw, a

---

\*) Dalsze szczegóły w tej materii znajdzie czytelnik w dziełku Berga: Die Religionen, ihre Entstehung und Entwicklung. Wissenschaftliche Volksbibliothek. (Nakład Schnurpfeila w Lipsku).

X  
w najdawniejszych czasach fetysze, kamienie, kłody i t. p. były początkowo czczone pod gołębem niebem. Gdy nastąpił antropomorfizm (upodobnienie bóstwa do człowieka), zawnioskowano, że wyobrażeniu bóstwa przystoi mieć mieszkanie. Tak powstała *świątynia*—początkowo szałas tylko dla posągu. Składanie ofiar, podobnie jak modlitwa, było mimowolnym wyrazem trwogi i dziękczynienia. Dary, podobnie jak między ludźmi, miały na celu odwrócenie złego lub okazanie wdzięczności za powodzenie. Na ten cel wzniesiono ołtarze. Przewodniczyła myśl dostarczenia bogom takiej przyjemności, jaką ludziom sprawia pokarm lub napój. Oczywiście z początku znoszono proste dary, owoce kwiaty, mleko; później nastąpiły ofiary krwawe, które stopniowo doszły do poświęcania życia ludzkiego, już to życia ludzi splamionych występkiem, już to niewinnych a ukochanych dzieci własnych, a nawet najcenniejszej krwi córek królewskich i t. p. Do ofiar takich zbliżone są pokuty, biczowania, posty, wstrzemięźliwość, umartwienia, kaleczenie się, a poniekąd także obrzezanie i obrzędowe oczyszczanie się. Niektóre religie w rzadkich wypadkach dopuszczały praktyk wprost przeciwnych tamtym, a mianowicie jako obrządek święciły rozpustę, której oddawać się obowiązały kobiety. Uroczystości, obchodzone początkowo tylko dla okazania uciechy po skończonem żniwie, po przyjściu dziecka

na świat i t. p., później ustanowione zostały na znak powrotu pewnych pór roku, jak: święta wiosenne, księżycowe. Czasy pokuty już to kojarzyły się z mitologicznymi podaniami o przygodach jakiegoś bóstwa, już też z klęskami, jakie na ludzi spadały. Szczególnemu rodzajowi obrzędów dało początek przekonanie, że przyszłość można poznać z pewnych objawień nadprzyrodzonych, a nawet z codziennych wydarzeń. Odgadywania (przecucia) oparte były na locie i głosach ptaków, ukazywaniu się innych zwierząt, niezwykłych zjawiskach, jak zaćmienie słońca i księżyca, krwawych deszczach, potwornych urodzeniach, snach i na całym niezmiernym mnóstwie oznak wróżbiarskich. Objawienia wyższej natury zdarzały się osobom szczególnie uposażonym, i wpadającym w boski zachwyt, a szczytem wieszczbiarstwa były wyrocznie.

Pielegnowanie obrządku należało w początkach do najznamienitszej osoby, ojca w rodzinie najstarszego w pokoleniu, książęcia ludu. Wcześniej wszelako, bo jeszcze przed ukazaniem się najdawniejszych pomników dziejowych powstało kapłaństwo, jako odrębna klasa społeczna, a raczej kasta dziedziczna, w sobie zamknięta. Dbała ona z pewnością daleko bardziej o cele samolubne, niżeli o dochowanie czystej, tajemnej czci bóstwa. Religii używali ci kapłani za narzędzie w widokach politycznych, a potęgując swe wpływy, zbrukali je zarazem.

2 X Prócz zorganizowania kapłaństwa przedmiotem głównej pieczołowitości religii było *małżeństwo, narodzenie i śmierć*. W każdym z tych wypadków pożądanę było uświęcenie religijne. Stąd liczne obrzędy, mające zapewnić nawożeńcom łaskę bogów, od nowonarodzonego oddalić nieszczęścia, zwłoki uczcić odpowiedniemi zachowaniem, pogrzebem lub spaleniem, obchodami, żałobą, ofiarami, niekiedy ofiarami z ludzi (palenie wdów, niewolników), nareszcie pomnikiem grobowym. W stosunkach obywatelskich i państwowych *przysięga* stała się potężnym środkiem obowiązującym.

Podobnie jak spornem jest pytanie, czy rodzaj ludzki rozszedł się z jednego punktu na kuli ziemskiej, tak również wątpliwość budzi kwestya wspólnego początku wszystkich religij. Wielu rozstrzyga rzecz twierdząco, z uwagi że pewne religijne motywa i podania są na całej ziemi rozpowszechnione. U wszystkich np. ludów znajdujemy podania o *potopie* czyli *wielkiej wodzie*. Wszelako w prastarych czasach „świat” każdemu ludowi znany był bardzo mały, a niema okolicy zamieszkaney, któraby kiedyś nie była wielką powodzią dotknięta. Tym sposobem każdy lud, którego siedziba uległa powodzi miejscowej, mógł utworzyć podanie o „wielkiej wodzie” zalewającej świat cały, gdyż jego terytorjum było dlań światem. Źródłem podań o potopie mogły także być znajdowane we wszyst-

kich krajach, nawet na wysokich górach skamieniałości ryb i innych zwierząt morskich a także szczątki okrętów, mające niekiedy potężne rozmiary. Te wykopaliska dowodzą oczywiście, że właściwości gruntu zmieniały się w różnych czasach. Hans Passarge daje inne objaśnienie powstania podań o potopie \*). Objąsnienie jego trafnie wskazuje związek między religią a najwyższymi zagadnieniami nauki, a zarazem uwydatnia, jak potężną dźwignią postępu jest religia. Passarge pisze:

„Podanie o potopie było pierwszą próbą metafizyki, pierwszą odpowiedzią na pytanie ciążące oddawna i wreszcie postawione przez tak zwanych fizyków jońskich—o początku wszech rzeczy.

Jeszcze Thales, najdawniejszy z fizyków jońskich, najdawniejszy ze znanych filozofów systematyków, podaje wodę, czyli raczej pojęcie wody, „wilgoć”, za pierwotną przyczynę wszystkiego. Na pozór jest w tem sprzeczność: według podania woda jest żywiołem niszczącym, według Thalesa wszystko z niej powstało. Ale sprzeczność to pozorna tylko. Przenieśmy się myślą na jakieś tysiąc lat przed rozpoczęciem historii, i weźmy człowieka, w którym zajaśniała pierwsza iskra filozoficznych dociekań. Pierwszą tę

---

\*) Czasopismo „Gegenwart“ Nr. 4 z 23 stycznia 1892.

X  
iskrę, według znanego filozofa, rozniecił podziw. Kto pierwszy zauważył, że ukazywanie się wschodzącego słońca w tem samem codziem miejscu nie jest samo przez się zrozumiałe kto pierwszy zapytał, dlaczego po błyskawicy następuje grzmot, po cieplej porze roku chłodniejsza i dżdżysta, był pierwszym filozofem; na te pytania dawał wprawdzie najopaczniejsze odpowiedzi, ale temi pytaniami uczynił krok znaczny, w głowie jego po raz pierwszy poruszyło się to, co człowieka różni od zwierzęcia: *potrzeba przyczynowości*, t. j. potrzeba związania w jeden łańcuch pewnych zjawisk oddalonych pod względem czasu i przestrzeni, czyli, mówiąc w myśl Kanta, „przerobienia surowych wrażeń zmysłowych na wyobrażenia”. Z pewnością minęło wiele, wiele pokoleń ludzkich, zanim ta głucha z początku i niejasna potrzeba przyczynowości wystąpiła w jakiejś uprzywilejowanej generacji żywsza i wreszcie wyraźną się stała dla jakiejś zdolnej jednostki. To był pierwszy człowiek, a zarazem pierwszy filozof, bo zaczął się dziwić, zaczął pytać: dlaczego noc jest chłodniejsza niż dzień? Dlaczego ten owoc tylko w tem miejscu rośnie? Dlaczego drzewo pływa w wodzie, a kamień idzie na dno? Podziwienie prowadziło go dalej; widząc, że łańcuch przyczynowości jest nieskończony, szukał przy pomocy swych uzdolnień, pojmujących tylko skończoność, jakiegoś punktu wyjścia, końca łańcucha, i znalazł, że pytanie

o początku każdej rzeczy zbiega się z pytaniem o początku ziemi, na której mieszkał, i która go karmiła. Widział morze. Jak daleko wzrok jego sięgał, oglądał wodę: i to jest nieskończoność wprawdzie, ale podpadająca pod zmysły. Woda zdawała mu się zupełnem przeciwieństwem z jego żywicielką: ziemią, wydawała się żywiołem wrogim, nie przynosiła kłosów \*) nie dźwięczała go, jak łąd suchy po którym stapał pewną nogą. Woda wydawała się najpotężniejszym nieprzyjacielem ziemi jeszcze i dlatego, że widział oba żywioły w ustawicznej walce, gdy przybór z łoskotem uderzał o brzegi, a te zdawały się drzeć od posad.

Tak może spoglądał człowiek ówczesny na fale wód Kaspijskich, kiedy po raz pierwszy w nim zaświtało pytanie: skąd się wzięła ziemia i to wszystko, co jest na niej, skąd powstało na niej życie, z jakiego pierwiastku wszystko to zrobione? Woda, walcząca z ziemią, zdawała się dawać mu odpowiedź. Widział niedoskonałość własną, myślał o chorobie i śmierci, przecucie szeptało mu, że niegdyś było lepiej, że wtedy choroby, starości i śmierci nie znano, dzikie zwierzęta nie włamywały się do jego zagrody,

---

\*) Że takie wyobrażenie istotnie krążyło niegdyś, dowodzi tego homeryczny przydomek morza: „bezpłodne”, który z przedhistorycznej epoki zachował się do czasów Homera, jak odłam drzewa przybyły wodą z dalekich brzegów.

napastnicze zgraje nie uprowadzały do niewoli żony jego i dzieci, na ziemi był raj i wiek złoty. Szczęśliwe te czasy zniszczył żywioł, ciągle nieprzyjazny mieszkańcom ziemi.

Wielki potop, który wszystko pochłonał, odmłodził wszakże ziemię, a uratowana para ludzi zaludniła ją napowrót. \*) Tak odpowiedział sobie człowiek na pytanie o początku ziemi, tak prowadziło go spostrzeżenie zmysłowe, a mianowicie widok ładu wynurzającego się z wody, do wymyślenia owego wieku złotego, któremu kres woda położyła.

Z wielkim potopem łączy się w podaniu wynalazek żeglugi, wyrażający symbolicznie zwycięstwo niezmierne człowieka nad największą nieprzyjaciółką ziemi, wodą; od czasu bowiem wynalezienia żeglugi przestawał człowiek bać się morza i uważać je za żywioł wrogi.

Wielki potop jako podanie powszechne był tedy utworem fantazyi; widzieć w nim należy nie pamiątkę zdarzenia przedhistorycznego lub geologicznego, ale rozumowe, młodociane usiłowanie znalezienia odpowiedzi na kwestyę pierwszego początku wszystkich rzeczy, będącego zarazem początkiem samejże ziemi. \*\*) Postać umiejętną

\*) Kto wie, czy podobna myśl nie kryje się w podaniu o Wenerze — Astarte, zrodzonej z morza, bogini płodnego życia.

\*\*) Nauka współczesna wie coś o przechylaniu się osi ziemskiej, sprowadzającym w bardzo wielkich okresach czasu

nadał temu filozoficznemu usiłowaniu pierwszy fizyk joński, Thales, upatrując w „wilgoci” początek wszystkiego.

Ale religia wpłynęła także na stosunki ludzi między sobą i z tego względu należy ją uważać za poprzedniczkę prawa. „Bóg jest właściwie Najwyższym Sędzią, który nagradza lub karze, i te wszystkie prawidła postępowania zaleca, dla jakich sprawiedliwość ziemską nie wystarcza. Religia ma człowieka nakłonić do życia moralnego, obyczajnego, zgodnego z dobrem ogólnem. Z postępem cywilizacyi przymus ten staje się coraz łagodniejszy i konieczność jego mniej daje się uczuwać, o ile urządzenia społeczne zdolne są *zmusić* każdego, aby w życiu był pożytecznym członkiem społeczeństwa. Dlatego też postanowienia dziesięciorga przykazań Starego Zakonu, o ile dotyczą stosunków ludzi między sobą, widzimy powtórzone we wszystkich kodeksach świata ucywilizowanego, a za ich przekroczenie grożą odpowiednie kary. Mojżesz nie miał władzy wymusić posłuszeństwa dla tych przykazań, tak ważnych ze względu na dobro

olbrzymie zmiany klimatyczne, z którymi łączyć się może zmiana konfiguracyi lądów i oceanów, przyczem potop nie jest niemożliwością. Przejście jakiegoś wielkiego ciała niebieskiego w pobliżu ziemi także mogłoby spowodować potop: wszakże przyciąganie księżyca i słońca wywołuje przypyły i odpływy morskie. *Przyp. tłum.*

ogólne, musiał więc odwołać się do bojaźni bożej, by lud posłusznym uczynić zaleceniom w przykazaniach zawartym.

Religia jest więc najskuteczniejszym czynnikiem wychowawczym dla ludów, i wielce jest wątpliwe, czy bez niej dosięgnęlibyśmy cywilizacji dzisiejszej. Jeżeliby zaś nawet z powyższego wykładu zdawać się mogło, że na pewnym stopniu oświaty religia jest zbyteczną, to jednak ciężkim błędem byłoby chcieć ludowi jego wiarę *odebrać*. Każda religia, która człowieka podnosi, która go w cierpieniach pociesza, ma swoje usprawiedliwienie. \*)



---

\*) Berga. Die Religionen.

## M o w a.

---



zwierzęta posiadają zdolność porozumiewania się do pewnego stopnia. Za pomocą dźwięków głosowych są w stanie udzielać sobie wzajemnie wiadomości o swoich wrażeniach i uczuciach. Ale do wymiany myśli za pomocą wyrazów tylko człowiek jest zdolny, a taką właśnie wymianę nazywamy „mową”.

Jak rozmaite pojęcia wyrażać może prosty krzyk, wydawany przez zwierzęta, i jak z rozwojem nieartykułowanego krzyku mowa się urabia, przedstawił bardzo pięknie Lippert w 3-cim tomie swych Dziejów cywilizacji. „Krzyczenie—mówi— jest początkowo tylko objawem życia

---

i samo sobie celem, podobnie jak skakanie dziecka lub młodego zwierzątka. Ale doświadczenie uczy zwolna, że krzyk wywoływać może skutki pożądane; mniejsza zresztą o to, czy wniosek taki jest wyprowadzony przez rozumowanie, czy „instynktowo”. Takim najniższym objawem mowy jest nawoływanie jesienne ptaków przelotnych. Latem dzieli się ptactwo na rodziny; ale jesienią, gdy trzeba szukać pokarmu w odległych miejscowościach i wybrać pewne drogi do tych miejscowości, zależy na tem, aby się narodzić i jak największemi stadami podążyć. Środkiem do gromadzenia się jest okrzyk, zdradliwie nadużywany przez ptasznika. Gdy czyżyk w tym czasie dostrzeże w dolinie rzeki olchę, siada na niej i niestrudzenie, mimo gwaru robotników, jeden i ten sam głos wydaje. Nie ma on świadomego celu. Woła, bo czuje tego potrzebę, a brzmienie głosu jest odpowiednie budowie jego narzędzi głosowych. Ten głos jednakże ma dla zimowego pobytu ptaków bardzo ważne znaczenie, i gdyby ptak mógł myśleć, to nie miałby powodu namyślać się, ażeby nadać treść szczególną swojemu wołaniu. Tłumacząc je na język ludzki, wyraża ono tyle tylko: tu jest czyżyk! I tyle też tylko właśnie dowiadują się od niego inne czyżyki. Zwabione popędem gromadzenia się, siadają, słuchają, wołają wspólnie, i chociaż nie zmieniają formy gramatycznej swego krzyku, jednakże dalsze czyżyki słyszą już

teraz głos: tu są czyżyki! I choćby ptak tylko to jedno *chciał* powiedzieć, inne z krzyku jego dowiadują się daleko więcej. Głosy niknące w oddaleniu mówią: odlatujemy, przyłączcie się do nas! Głosy zbliżające się mówią: przybawamy!

Wobec takich pożytków z głosu nie mógł się obchodzić bez niego i człowiek pierwotny, choćbyśmy nawet zaprzeczyli mu właściwej mowy. Podobnie jak mimo świadomego myślenia zachował jeszcze pewne szczęty działań instynktowych, tak również obok biegłości w używaniu mowy nie utracił prostszych sposobów porozumiewania się. Kiedy się ludzie pogubią w lesie, wydają okrzyki głośne, ale same przez się pozabawione treści. Ten okrzyk leśny nietylko mówi: tu jest człowiek — ale: tu jest A. lub B. W wyższej jeszcze mierze niżeli zwierzęta potrafi człowiek zmieniać głos stosownie do uczuć, jakich doznaje. Niekoniecznie przy tem ma na celu, aby być słyszany i rozumiany; czuje naturalną potrzebę krzyczenia z bólu, pokrzykiwania z radości. Ale ten wyraz głosu rozumieją ludzie wzajemnie; odróżniają też i u zwierzęcia głos skargi od innych głosów.

Trudno ocenić, o ile zwierzęta z rozmysłem nadają głosowi swemu brzmienie charakterystyczne; skoro atoli znajdujemy i u nich ślady świadomego zamiaru, tem bardziej nie możemy odmówić go człowiekowi, posiadającemu zdol-

ność zachowania w pamięci wyników doświadczenia. Umie on tedy okrzykowi, zwiastującemu jego obecność, dać zrozumiały odcień radości czy bólu. Z prostego więc krzyku dowiedzieć się można, że: A jest w lesie bardzo wesoły albo bardzo smutny. Jeżeliśmy się właśnie wybrali do lasu botanizować, używać przechadzki, polować lub t. p., a przytem kłopot mamy z kapeluszem cylindrowym i różnemi obarczającymi nas rzeczami, to niewiele się dowiemy z głosu, który nas od towarzysza wycieczki doleci. Ale prostsze są oczekiwania i troski jakiegoś Buszmana. Szuka on w lesie pokarmu i obawia się niebezpiecznego spotkania z drapieżnym zwierzęciem. W jednym z dwu tych kierunków objawi się w głosie doznane przezeń wrażenie. Otóż znalazł coś. Z radosnego okrzyku, jaki wydał, nie można oczywiście ze ścisłością naturalisty określić gatunku zdobyczy, ale też nie o to chodzi jego towarzyszom: biegną na miejsce i *ogładają*, co się nadarzyło.

Gdyby wszakże w owym lesie jeden jedyny owoc szacowny bywał znajdowany, to okrzyk znalazcy nabyłby znaczenia tak określonego, że dźwięk i przedmiot związałyby się ściśle w pamięci tych ludzi, i głos mógłby się stać nazwą rzeczy. Naturalnie mieszkańcy innych okolic, z innymi owocami, nie pochwyciliby tego związku, nie zrozumieliby tedy i tej „mowy.” Czar-ny amator jaszczurek, ujrzawszy to zwierzątko,

inny wyda okrzyk, niżeli panienka z białej rasy; tak więc skutkiem różnorodności spostrzeżeń i wrażeń zamieszanie babilońskie zapanowałoby wcześniej.

W językach dzisiejszych zachowały się zwyczajowo dźwięki wyrażające uczucie, przez samą naturę wywoływane z piersi ludzkiej. W gramatyce stanowią one osobną klasę—wykrzykników, a w życiu potocznem niemałego używają znaczenia. Im mniej rozwinięty jest język, albo im mniej biegle kto nim włada, tem one bujniej występują. Dziś jeszcze słyszeć można pośród gminu rozmowy, złożone w znacznej części z wykrzykników wyrażających naprzemian potakiwanie, przestrich, niedowierzenie, zdziwienie, wstręt, litość. W staroniemieckiej praktyce prawnej znalazł przytulisko taki strzępek wykrzyknikowego języka. Przeróżające wołanie: „Jo, io!” nie miało samo przez się znaczenia wyrazu. Jednakże temu, kto je usłyszał, mówiło ono bardzo dużo. Proste „io!” głosiło: tu spełnia się zbrodnia, i winieneś pośpieszyć z pomocą, albo przynajmniej po to, aby później stanąć jako świadek. Dopiero przez dodanie wyrazów artykułowanych, wskazujących rodzaj przestępstwa, powstały używane do dziś okrzyki „Dieb—io!” „Mord—io!” (złodzieje! zabijają!), a w Wirtemberskiem i „Feuer—io!” (gore.).

Okrzyków jednakże nie możemy stawić na równi z mową ludzką, od której przynajmniej

tyle wymagamy, aby z brzmieniem łączyła pojęcie przedmiotu lub czynności, i aby tym sposobem dźwięk wywoływał w umyśle człowieka, władającego danym językiem, pojęcie, któremu odpowiada. Poszukując początków takiej mowy, spotykamy się z wielce sporną kwestyą istnienia *mowy pierwotnej*. Chodzi o to, czy był czas, w którym rzeczy i stosunki wyrazami i zwrotami dla wszystkich ludzi zrozumiałymi oznaczano? Że tak nigdy nie było, przekonywa o tem dowodnie językoznawstwo porównawcze. Różne odłamy języków ludzkich różnią się właśnie tem, że rozmaitych używają sposobów dla oznaczenia stosunków między pojęciem a pojęciem. Tak np. w wyrazie „bije” tkwią pojęcia człowieka i czynności. Gdyby taki stosunek między dwoma pojęciami istniał był w języku pierwotnym, to utrzymałby się we wszystkich jego rozgałęzieniach.

Jak się stało, że tylko człowiek doszedł do wytworzenia mowy, objaśnił prof. dr. Otto Caspari w swoim przytoczonym wyżej dziele. O prawdziwości tego objaśnienia trudno powątpiewać, a istotnego poparcia dostarczyły mu badania zoologa prof. d-ra Gustawa Jaegera. J. Hellwald zaczerpnął od tych uczonych swój wykład o rozwoju mowy, a twierdzenia ich poczytuje nie za proste domniemania czy hipotezy, ale za przekonania uzasadnione naukowo. I słusznie, gdyż ze stanowiska umiejętności nie

można zrobić zarzutu poniższemu wywodowi o początku języków.

W walce z drapieżnymi zwierzętami bezbronny człowiek—zwierzę mógł do pewnego stopnia tylko przeciwstawić swoje zęby ich ostremu potężnemu użębieniu. Że się nie lękał używać zębów jako broni, że mu pierwotnie na sile zębów niezupełnie zbywało, to wynika z szeroko rozpowszechnionego w czasach pierwotnych ludożerstwa. Ale siła zębów niedostateczną była przeciwko większym drapieżcom; chcąc nie chcąc tedy musiał sobie pomagać rękami nader podatnymi, aby skuteczny dawać odpór. Kto nie zaprzecza słuszności zestawienia ze zwierzętami pokrewnych gatunków, ten będzie musiał szukać go między łaźącymi po drzewach, a zatem stworzeniami obdarzonymi wielką zręcznością. Lecz używając rąk w walce, musiał je człowiek mieć swobodne, a zatem stawać prosto, podobnie jak to opowiadają o gorylu. Więc jak nasze dzieci, czołgające się na czworakach, tak i człowiek pierwotny nie potrzebował mieć wrodzonej zdolności chodzenia. Zdolność tę wszakże w ciągłych walkach wyrobił i na drugą naturę zamienił rychło. Przytem zdobycz swoją i żywność zmuszony był dźwigać lub wlec rękami, gdyż zęby także mu w takiej mierze nie służyły, jak zwierzętom drapieżnym. To znowu zniewalało go do prostego chodu. Słowem wszystkie okoliczności składały się na to, aby zwolna

przywykł do zachowania wyprostowanej postawy; to zaś nawyknienie i wzmagająca się zreżeczność rąk były zarazem koniecznymi środkami do rozwoju mowy.

Jak wiadomo, zdolność wydawania głosu i tonów zależy od całego szeregu warunków fizyologicznych, a przede wszystkim od ustroju i właściwości krtani. Otóż uderzające jest, że ze zwierząt ssących żadne nie może się nauczyć powtarzania wyrazów z łatwością choćby przybliżoną do tej, jaką widzimy u ptaków o wiele niżej stojących. Również i to jest szczególne, że zwierzęta domowe, tak blizkie człowiekowi, tak dobrze pojmujące jego słowa, czem dają dowód swej inteligencji, nie okazują ani ochoty ani zdolności do naśladowania mowy ludzkiej. Znakomitemu zoologowi prof. d-rowsi Gustawowi Jaegerowi dane było rozpoznać wysokie dla mowy znaczenie prostego chodu. Z badań nad płucami okazało się, że od sposobu wydychania z nich powietrza zależy głównie modulowanie i cieniowanie głosu. Wciągnięte powietrze powinno płuca wypychać bardzo powoli, a przy każdym wzmocnieniu tonu wywierać silniejszy nacisk na powietrze. Otóż łatwo zrozumieć, że te zwierzęta, które uwolniły swą przednią połowę od dzwigania ciężaru ciała, szybko nabywają zdolności używania płuc biegle i umiejętnie. Naodwrot zwierzętom, które nie przywykły do stałego podnoszenia przedniej połowy ciała, nigdy

się nie powiedzie rozwinąć klatki piersiowej. Przy chodzie czworonożnym klatka piersiowa zostaje pod wpływem poruszeń przedniej połowy, przez co traci możność wykonywania ruchów koniecznych przy cieniowaniu i artykulowaniu tonów. Ich struny głosowe albo nigdy nie mają sposobności w delikatnie stopniowanych drganiach się ćwiczyć, albo rzadko bardzo. O zależności wydychania i związanego z niem wydawania głosu od spokoju przedniej części ciała przekonywamy się stąd, że kiedy zwierzę chce ryknąć przeciągle i mocno, to mimowoli staje, a ptaki, śpiewając, siedzą na gałązkach. Każde zwierzę, stosownie do sposobu życia, nawyknień, postawy spokojnej i ruchów rozwija właściwy sobie rodzaj wydychania, który znowu na formowanie się jego głosu wywiera wpływ określony.

A że z pomiędzy wszystkich ssących, człowiek tylko stale podnosił swą przednią połowę ciała, jemu więc tylko powiodło się wytworzyć mowę artykulowaną. Dzięki temu jedynie z nieczłonkowanych dźwięków i krzyków radości, bólu, troski, przyjemności, tęsknoty, znanych i zwierzęciu, powstała mowa. Nie jest ona wytworem jednego człowieka, ani też gotowej nie otrzymał z zewnątrz, jak mniemają niektórzy, ale jest wyrobem powolnym, czemś, co nie istniało przedtem, słowem korzyścią zdobytą w walce o byt przez urobienie ciała i wykształcenie ludzkie.

X Pokolenia stojące na najniższym szczeblu cywilizacji mają też najmniej doskonałą mowę. Język dzikich z Terai, z Oran Gugur i t. p. jest zastosowany do ich małego nieledwie sposobu życia; mało co lepiej porozumiewają się, niż niektóre gatunki małp. Każdy obszar, resp. każdy lud musi urobić sobie właściwą mowę, odpowiadającą miejscowym produktom i urządzoneму według nich trybowi życia. Język ludu każdego składał się najpierwej z uszeregowanych rzeczowników, a porządek, w jakim były używane, wskazywał wzajemną ich zależność.

X Wzór takiego układu widzimy w języku chińskim. Składa on się wyłącznie z wyrazów jednogłoskowych, nie mających ani deklinacji ani koniugacji. Jedna i taż sama grupa dźwięków spełnia wszystkie funkcje gramatyczne; istotnego tworzenia wyrazów jeszcze tam niema właściwie, a znaczenie danego pierwiastku zależy tylko od miejsca, jakie zajmuje pośród innych pierwiastków. Takimi były niegdyś wszystkie języki; początkowo nie istniały wyrazy, ale tylko pierwiastki, i dopiero przez zestawienie pierwiastków uwydatniano myśl, którą miały wysłowić. Że język podobny zdolny jest uczynić zadość wszelkim potrzebom życia, przekonują o tem Chińczycy, którzy nie tylko w potocznych sprawach dają sobie radę, ale posiadają także rozległą bardzo literaturę. Tylor po-

daje na przykładzie obrazek następujący starej chińskiej mowy:

Kou chi shi jin sse znaczy dosłownie, jeżeli nie będziemy zwracali uwagi na początek, w jakim stoją wyrazy: „pies, świnia, jeść, człowiek, pokarm”. Chińczyk wszakże, ze względu na kolej wyrazów, takie określone znaczenie daje powyższemu zdaniu: Psy i świnie jedzą pokarmy ludzkie. Stara chińczyzna klasyczna nie zna form i odmian rzeczowników, przymiotników, czasowników, które my, jakby dla wygody słuchającego, tak odróżniamy dobitnie.

Thwan znaczy: kula, okrągły, zaokrąglać i siedzieć kręgiem i t. d. Samo zdanie rozstrzyga o znaczeniu, co przychodzi tem łatwiej, im bardziej zacieśniona jest rozmowa w granicach spraw konkretnych, dotyczących praktycznego życia.

Ponieważ określenie stosunków sformowało się w nowszych względnie czasach, przeto z „mowy pierwotnej” mógł zostać tylko zasób dźwięków oddających też same pojęcia, wszystkim wspólne. Rozpatrzmy tedy, czy zasób ten można rozgatunkować według przyjętych w gramatyce części mowy. Prócz wyrazów związanych z pojęciami samoistnymi, posiadamy pewną ilość tak zwanych części mowy „gramatycznych”. Nie są one cegłami w budowie zda-

nia, ale cementem; jednakże bez nich nie moglibyśmy układać zdań porządných. Do takich części mowy zaliczamy np. przyimki—*w, na, z* i t. p.—i zaimki—*ja, ty, on*.

Otóż z porównania języków okazuje się, w jak blizkim związku są te wyrazki względne, ze sposobem określenia stosunków między wyrazami, oraz jak rozmaicie poczynają sobie w tym zakresie różne rodziny językowe. Słowo „w” jest używane w łacinie z przypadkiem 6-tym w tych samych razach, kiedy niemcy używają go z 3-cim, a słowianie z 7-ym. Więc nawet we wspólnej rodzinie językowej rozwój ten był jeszcze w biegu \*). Jeżeli się do chińszczyzny zwrócimy, to w starej mowie chińskiej wyrazków takich nie było jeszcze; posługiwano się zasobem wyrazów, oznaczających rzeczywiste przedmioty lub czynności. Zamiast „zabić człowieka kijem” (w niemieckim *mit dem Stock—z kijem*) chińczyk mówi zgodnie ze swoją zasadą: „zabić człowiek *użyć* kij”. Według Tylora murzyn Mandingo, mówiąc o zamknięciu, wyobraża sobie brzuch, i zamiast: „w domu” mówi: „dom brzuch”. Zamiast: „na stole”—„stół ple-

\*) Autor, nieświadomy oczywście języków słowiańskich, przytacza, jako przykład, słowo „z” jakoby używane z 7-ym przyp. Pozwoliliśmy sobie odstąpić w tym razie od tekstu.

(Przyp. włóm.)

cy". Skutkiem ciągłego używania takich zwrotów—powiada rzeczony językoznawca—pierwotne rzeczowniki Kono (brzuch) i Kang (plecy) stały się przyimkami.

Podobnie samodzielnie radziły sobie różne języki z tworzeniem zaimków. O niektórych językach wniesć nawet można, że ludy, które ich używały, doszły już do pewnego stopnia rozwoju, kiedy się zjawily zaimki. Grenlandzki Eskimos tworzy słowo „ty” z wyrazu „tam”, a „ja” wyprowadza od „tu”. Malajczyk zaś musiał już dojść do formalnego ceremoniału grzeczności, kiedy się zabrał do odróżnienia osoby, która mówi, od osoby, do której się mówi. Podobnie jak w Biblii pospolity jest ten rodzaj uprzejmości, że mówiący nazywa siebie sługą, a tego, do którego przemawia—panem, wyprowadził „ja” od słowa „amba”, sługa, a z „tuwan”—pan—wytworzył „ty”. Z gwarzenia dialekty naszej, formującej sobie dopiero mowę, przekonywamy się, ile trudności przedstawia dla niewyrobionego umysłu i jak późno przychodzi pojęcie stosunku osób. Na małą skalę i pod naszym kierunkiem przebywa dziecko proces tworzenia mowy. Od prostego krzyku, jako oznaki życia i wrażeń, postępuje do nazywania rzeczy i osób. Czynności i rzeczy, ściśle z sobą związane, otrzymują też samą nazwę: „jeść” znaczy zarazem i przyjmowanie pożywienia i samo

pożywienie. Imię osoby zatrzymuje dziecko, bez względu, czy to jest osoba przemawiająca, czy osoba zagadnięta. Kiedy się swego imienia nauczy, to go używa w każdym razie i mówi: „Jasio daje” zamiast „daję”, którego to zwrotu z latami dopiero nabędzie pod kierunkiem dorosłych. Umysł jego nierychło pojmuje, że ten sam Jaś, którego zna przecież, bo to własna jego osoba, przez bardzo kunsztowne ustosunkowanie i abstrakcję, jest jużto *ja*, już *ty*, już znowu *on*. Jakże ciężko przywykłoby zgodnie z malajskim sposobem wysłowienia „sługą” być, kiedy samo przemawia, a „panem”, kiedy doń mówią. Dziecko z trudnością tą pora się przez lat kilka, mając kierownictwo; ale pierwotna ludzkość bez kierownictwa dużo potrzebowała czasu, aby dojść do mowy tak rozwiniętej. W przeciągu tego czasu mogli się ludzie porozchodzić daleko, i różnemi drogami do celu dążyć.

Mnóstwo wyrazów zrodziło się z samychże przedmiotów lub czynności. Łatwo pojąć, że *warczenie*, *mruczenie*, *piszczenie* same sobie dały miano, podobnie jak ptak kukułka. Wszelako język powstały z takiego „malowania dźwiękami” obejmować może jedynie nazwy przedmiotów, które są w jakiejś łączności z wydawaniem brzmienia. Nawet wyrazy na podstawie naśladownictwa dźwięków zbudowane, nie

mogły wytworzyć wspólnego języka, gdyż różni ludzie odmiennie naśladują głosy i szelesty.

Jakim torem ludzie szli przy nadawaniu nazw przedmiotom i czynnościom wcale nie mającym związku z dźwiękami, co do tego dostarczy nam niejakich wskazówek pozytywnych historia mowy, jeżeli stosowne zadamy pytanie. Musimy najpierw zgodzić się, że człowiek w najpierwotniejszym stanie natury, gdy życie jego wypełniały naprzemian już to szukanie pokarmu, już ociążały spokój i senność, pozostawił bez nazwy nieskończone mnóstwo przedmiotów, o których dziś rozmawiamy. Nie był badaczem przyrody, i nic mu nie zależało na tem, aby gawędzić o wszystkim, co dostrzegł. Mowy używał przede wszystkim i wyłącznie w celu zaspokojenia trosk o życie i do nich w miarę potrzeby stosował. Tylko jeśli zdarzyło się coś przyjemnego albo kłopotliwego w *takim* zakresie, i jeśli chciał, aby inni coś dlań zrobili lub czegoś zaniechali, to miał pobudkę używać dźwięków, które stawały się nazwami rzeczy lub czynności, o ile otaczający ludzie dorozumieli się znaczenia dźwięków i w takim samem znaczeniu nadal ich używali. Obszar panowania takiej mowy prostej ograniczał się do najbliższych, żyjących z sobą w bezpośrednim stosunku. Skąd wszakże przyszło do pierwszego wyboru dźwięków? Ponieważ, jak wyżej powiedziano, dźwięki te były wydawane początkowo tylko w pewnem

podnieceni, więc sam rodzaj podniecenia musiał wpływać na wybór; ta okoliczność wszakże bynajmniej nie przemawia za wspólnością mowy pierwotnej. Organ głosu jest właściwością tak indywidualną, że zapewne nie znajdzie się dwóch ludzi, wydających zupełnie jednakowe głosy w ucieście albo w przerażeniu. Już tedy w małym towarzystwie nastręczał się wybór między różnymi dźwiękami na oznaczenie tegoż samego zjawiska, i to było dalszym krokiem w urobieniu języka. Ilekroć się zdarzyło, że w jakiejś małej grupie ludzi, np. w rodzinie, dźwięk jakiś oznaczał nietylko wogóle zdarzenie wesołe lub smutne, ale przedmiot określony, to dźwięk ten stawał się nazwą rzeczywistą. *Jak* zaś do tego przychodziło—i tu spotykamy się już z historią prawdziwą—to w większej części wypadków zależało od zgody powszechnej. Z wyłączeniem owych głosów naśladowniczych rzecz żadna nie posiadała w sobie nic takiego, coby zniewalało do określonego wyboru dźwięków. Raczej wpływało na wybór stanowisko mówiącego. Słowa rozkazu były przez rodzinę tak zrozumiane i tak przyjmowane, jak je rozumiał naczelnik rodziny; podobnie przedmioty mające styczność z polowaniem nazywano, jak on je nazywał. W domowym zakresie podobny wpływ musiała wywierać matka. Że zaś dziecko w tym właśnie zakresie najpierw nabywało dźwięków i pojęć,

słusznie tedy rodzinną mowę nazywają Niemcy językiem „macierzystym” (Muttersprache).

Jeden fakt łatwo na tej drodze objaśnić. W nazwach rzeczy panuje największa różnorodność—podczas gdy nazwa ojca i matki jest prawie na całej ziemi jednakowa, jak gdyby ostatnim była szczątkiem dziedzictwa zaginionej mowy wspólnej. Gdy jednak rozpatrzmy rzecz bliżej, musimy do innego przyjść wniosku. Owe rozpowszechnione dźwięki tworzą grupę, „ma-ma, pa-pa, ba-ba, ab-ba, ta-ta, at-ta, na-na” i t. p. Widoczne jest, że i tu nadawanie nazw takim samym odbywało się sposobem, tylko twórcą tych nazw było dziecko. Nie miało ono wcale zamiaru wołać rodziców, robiło poprostu pierwsze próby wydawania głosu; stąd powstały nazwy, które przyjęły osoby najbliższego otoczenia. Jeżeli zaś w tym wypadku nazwy na całym świecie są jednakowe, to jest naturalnym skutkiem nierozwiniętych narzędzi głosowych dziecka w przeciwieństwie do rozlicznych kombinacji dźwiękowych u dorosłych. Dziecko, wydając z zamiarem dech przez usta, do tych tylko dźwięków jest zdolne. Rzeczą otoczenia było obdzielić się tymi dźwiękami. Znowu więc i w tym razie rozstrzygała zgoda powszechna. Jakoż gdy większość języków przyswoiła matce lżejszy dźwięk *ma*, są ludy, które postąpiły odwrotnie i ojca dźwiękiem *ma* obdarzyły, pozostawiając matce *pa*. Tak więc ostatecznie zawsze

wybór i zgoda powszechna decydują w sprawie ustalenia języka.

Z tego zaś wynika, że mowa co do istoty swojej jest wytworem społecznym. Wyrazy danej mowy używane są przez ludzi, którzy często się z sobą stykając, przywykli określać nimi też same przedmioty. Im mniej między ludami jest zetknięcia, tem więcej jest języków, gdyż każda grupa ludzka, każde plemię musi sobie oddzielny język wyrobić. Sposób ukształtowania rodzin, ludów, państw, wywarł także wpływ na języki. Dwie drogi, jak pisze Lippert, są tu do uwzględnienia. Albo sąsiedzkie rodziny sprzymierzają się z sobą, jak tego uczą dzieje drobnych państw w Gotlandyi i Islandyi, albo jedna rodzina uczyniła inne rodziny zależnemi od ojcowskiej władzy swej głowy, jak się rozwiły w starożytności państwa azyatyckie.

W Egipcie zdarzyło się może i jedno i drugie. Stare rodziny, mieszkające w ziemiach sąsiednich, zawarły z sobą przymierze zapewne w najodleglejszej starożytności, przy rozpoczęciu zaś historii widzimy je pod ojcowską władzą jednego z władców tych ziem.

W pierwszym razie zawiązywały się stosunki podzielonych przedtem rodzin, na wspólnych uctach, zamiast poprzednich rozterek między niespokojnymi sąsiadami. W drugim razie rozlewały się strumieniem organa władzy po całym państwie; w obu wypadkach koniecznem

następstwem była wzajemna wymiana językowa i nowy wybór w pomnożonym niezmiernie materiale językowym.

Stan taki odzwierciedla się w najdawniejszych zabytkach mowy egipskiej, z którymi żadne inne znane nam nie mogą się równać pod względem odległości epoki, do jakiej w badaniach dotrzeć możemy. Widzimy ten język w postaci, jaką miał już po złączeniu się rodzin; był on wtedy obrazem nadmiaru i ubóstwa jednocześnie. Gospodarczych Egipcyan trzeba by obwinić o niepojęty bezład w dziedzinie językowej, gdyby przytoczone wyżej okoliczności nie tłumaczyły dostatecznie wszystkiego. Język zdaje się tak być ubogim, że niemal każdy wyraz ma mnóstwo przeróżnych znaczeń; a znowu taką ma wybujałą obfitość wyrazów, że niemal każda rzecz posiada szereg nazw rozmaitych. Poprzestańmy na jednym przykładzie według C. Abła. Wyraz „ab” oznacza jednocześnie: tańczyć, serce, ciele, mur, odchodzić, wymagać, lewą rękę i figurę. Przeciwnie na oznaczenie pojęcia „namaszczać” miał język dziesięć wyrazów, na inne pojęcia i rzeczy jeszcze o wiele więcej. I jak każde z podanych wyżej znaczeń wyrazu ab miało jeszcze rozmaite inne nazwy, tak nawzajem każdy z dziesięciu wyrazów odpowiadających słowu „namaszczać” miał rozmaite inne znaczenia.

Stwierdzenie, że język egipski był najbogatszy w jednoznaczniki i wieloznaczniki (homonymy i synonimy), nie objaśnia rzeczy. Bliżej prawdy będziemy dopiero, gdy uwzględnimy, że nie wszystkie wyrazy we wszystkich znaczeniach jednocześnie były używane w każdej dzielnicy. Stoimy tedy na gruncie dziejowym tworzenia się języka ludu z języków starych rodów.

Żaden ród przedtem nie zwracał się do innych, gdy miał dźwiękami oznaczyć jakieś pojęcie; każdy był w tych razach samodzielny; podstawa tylko była wspólna. Teraz dopiero weszły rody w stosunki na zebraniach wspólnych i puściły w obieg nagromadzone skarby językowe; potem nastąpiła wymiana jeszcze szersza, i tak powstał szczególny język, w którym każdy wyraz oznaczał wiele rzeczy, i każda rzecz miała wiele nazw, jakkolwiek w praktyce nikt pojedynczy nie używał całego zasobu językowego.

Niemniej dziwić się musimy, jak można było porozumieć się takim językiem. Usiłując to sobie objaśnić, przychodzimy do poznania, jak wielka niedoskonałość znamionowała mowę ludzką i to nawet w czasach, kiedy już pisano! Egipskie pismo nie nasuwa czytelnikowi żadnych wątpliwości co do brzmienia wyrazu napisanego; ale pisarz musiał wiedzieć, że z wieloznacznego słowa czytelnik nie dorozumiałby się właściwej myśli. Po napisaniu wyrazów umieszczał więc

jeszcze obrazek, aby czytelnik wiedział, z jaką grupą pojęć ma do czynienia. Jeżeli np. po wyrazie *ab* narysował zwierzę, to nie ulegało już wątpliwości, że mowa o cielęciu. Jeżeli zaś w piśmie uciekano się do środków pomocniczych, tedy niewątpliwie musiano ich używać i w mowie ustnej.

W wielu razach okoliczności same dostarczać mogły potrzebnych wyjaśnień. Jeżeli pasterz przyniósł panu wiadomość, to już jasne było, o jakie okoliczności chodzi. W innych razach pomagano sobie *gestem. i tonem.* Dziś jeszcze poznajemy stopień rozwinięcia umysłowego z ilości ruchów obrazowych i naśladowniczych przy mówieniu. Ale nawet w najukszałceńszych tkwi jakiś szczątek odziedziczonego nałogu. Mało kto, opowiadając o przestraszu, doznanym na widok węża długości metra, powstrzyma się od okazania tej długości, choćby metr był miarą wszystkim znaną dobrze. Ta mowa migowa, dziś dla głuchoniemych rozwinięta jako system zupełny, musiała i w starym Egipcie istotnie mieć znaczenie przy porozumiewaniu się. Słowo i gest w miarę rozwoju ludzkiego szły oczywiście w kierunkach odwrotnych. Niegdyś wykrzyknięte słowo było niejako tylko sygnałem do zwrócenia uwagi, a rozmowa odbywała się na migi. Zwolna, skutkiem wyboru między wykrzyknięciami, gest zeszedł do roli obrazka ilustrującego. Nareszcie wykształceni dą-

żyć zaczęli do mówienia samymi wyrazami; ale temu podołać może tylko mowa wysoko rozwinięta.

Do rzędu obrazków objaśniających należy także *ton* wymówionego słowa, który niegdyś, jako wyrażający *wzruszenie*, zajmował wydawniejsze miejsce. I jego dzieje podobne są do dziejów gestykulacyi. Dziki umie twarde słowo ostrym tylko tonem wykrzyknąć. Obrażać słowami gładko dźwięczącemi znamieniem jest ogłady. Pomocy gestów i tonu potrzebują dotąd prastare azyatyckie języki. W chińskim i syamskim toż samo słowo ma wiele znaczeń, ale mówiący czyni je zrozumiałem, używając odpowiedniego tonu. Jednogłoskowość wyrazów nie jest zapewne jedyną przyczyną takiej homonymii. W tybetańskim wyrazy są przeraźliwie długie, a jednak przed każdym napisaniem słowem trzeba dodawać mnóstwo liter wcale nie wymawianych po to tylko, aby jego znaczenie rozróżnić. Widzimy tedy, że języki żółtej rasy północnej, nie szukając dróg innych, posługiwały się podobnymi środkami, jak niegdyś w odosobnieniu siedzący Egipcyanie.

Język ludowy w rozwoju swoim otrząsnąć się musiał z takiej bezgranicznej mnogości. Przedmiotom dotyczącym stosunków publicznych wcześniej nadano określone nazwy. Jeżeli ród jakiś zhołdował inne rody, to narzucił im też wyraz oznaczający godność królewską. Podobnież z wiel-

kiej liczby wyrazów będących w obiegu rozstrzygnął wybór tacy ludzie, którzy z ogółem najwięcej się stykają. I ten proces już się był rozpoczął, kiedy po staroegipsku pisać zaczęto. Niektóre wyrazy przestały już być wieloznacznymi i miały tylko jednoznaczniki. Zwolna wybór ogarnia coraz większą liczbę wyrazów. Z mnóstwa wyrazów, oznaczających jeden przedmiot, za zgodą powszechną jedna w szczególności nazwa najbardziej jest używana. Wszelako taki układ nieodrazu nastąpił. Był więc następstwem wyboru dokonanego w ciągu dłuższego czasu.

Proces ten nie przestał się dokonywać. Język piśmienny, w księgach świętych używany, twardo stoi przy starem. Ale mowa ludu jest ruchoma. Cel ostateczny, do którego dążą wszystkie te ruchy, widzimy w koptyckim języku ludowym nowszych Egipcyan. W ciągu jakichś trzech tysięcy lat uprzątnięto wszystkie synonimy i homonimy, i dziś rzeczy ich nazwy zespalają się mniej więcej jak w językach europejskich. A jeśli niekiedy jedno słowo kilku pojęciom teraz już pokrewnym przysługuje, tedy jest to gałązka na starym pniu wyrosła i można to dokładniej rozpoznać; jak u nas dół, dolina, wądół, padół\*) są to wyrazy z jednego

*w nieznacznym*  
\*) W tekście autorskim: Grab, Grube, Gruft (grób dół, pieczara).

urobione pierwiastku, ale odmienne nieco i postacią i znaczeniem. Na tym stopniu rozwinięcia może mimika i ton ustąpić, chyba że się ton z wyrazem zlał w jedno (mowa zapewne o akcencie zgłoskowym—*przyjp. tlóm.*).

Tak więc proces rozwoju języka najściślej jest związany ze stosunkami społecznymi i od nich zależny. Język u szczytu swego rozwoju podobny jest do lasu wysokopiennego, dobrze utrzymanego. Każde drzewo ocienia miejsce sobie wyznaczone i gałąź z gałęzią się styka. Wzorowy ten stan możliwy był do osiągnięcia jedynie przez troskliwe pielęgnowanie. Najpierw była tu gęsta roślinność złożona z rozmaitych krzaków—to jak wyrazy, które każda rodzina ukuła na własny użytek. Później przyszedł leśniczy — wspólne porozumienie konieczne przy zestosunkowaniu gromad ludzkich bardziej oddalonych. Leśniczy wyznaczył w bezładnej plątaninie te drzewka, które z wyglądu obiecywały, że się najlepiej utrzymają i rozwiną. Inne usunął. Zachowane, mając więcej miejsca i powietrza, cieniem swym zagłuszyły zupełnie kiełkujące na nowo zielsko. Ale i one nie wszystkie rosną równo, przytem są za gęste. Leśniczy musi przychodzić znowu i przez ciągłe usuwanie drzewin słabszych wprowadzać najlepszy porządek. Tak zwolna tworzy się piękne sklepienie leśne. Podobnie przy rozleglejszych stosunkach gęstwina najstarszych pni językowych ulegała

rozpatrzeniu i przerzedzeniu, pewna ilość obdarzona siłą żywotną rozpostarła swe gałęzie na całym obszarze i powstała mowa.

Mimo że powyżej opisana droga tworzenia się języka musi być poczytywana za najnaturalniejszą i najbardziej uwierzytelnioną, jednakże niebrak jeszcze uczonych, którzy gonią za widmem wspólnego pra-języka, i ogół niecałkiem wyrzekł się wiary w taki język. Warto z tego względu zauważyć, że Dante w swoim „Raju” odrzucał już ów język. Co to za duch potężny był musiał, kiedy na początku czternastego stulecia mógł napisać:

Język mój wygasł całkiem, nim do pracy,  
Co dokonaną nigdy być nie miała,  
Lud Nemrodowy rękę swą przyłożył\*);  
Bo żadne dzieło rozumu nie może  
Być wiecznie trwałem, gdyż za niebios wpływem  
Upodobania zmieniają się ludzkie.  
Że człowiek mówi, rzecz to jest natury:  
Lecz tak, czy owak, to już wam natura  
Zostawia samym, jak się wam podoba.  
Nim do piekielnej zstąpiłem katuszy,  
Eł nazywało się Najwyższe Dobro.

---

\*) Mowa tu o budowaniu wieży Babel przez Nemroda, który był wnukiem Chama.

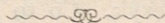
Zkąd płynie radość, która mnie otacza;

A później *Eli*. I tak być musiało;

Bo zwyczaj ludzki, jak liść na gałęzi,

Jeden upada a drugi się rodzi.

Raj. Pieśń dwudziesta szosta. (*Przekład*  
*Ant. Stanisławskiego*).



## P i s m o .



Pierwsze ślady pisma odnajdujemy w języku mimicznym głuchoniemych. Głuchoniemy lub cudzoziemiec nieznający języka krajowego posługuje się pismem kreślonym w powietrzu.

Pismu temu brakuje wszakże koniecznego warunku, mianowicie trwałości. Celem pisma jest zachować myśli na dłuższy czas i dla innych osób. Wcześniej też zaczęto upamiętniać niezwykle wypadki szczególnymi znakami.

Takie znaki dla pamięci używane jeszcze przez wiele dzikich ludów, nieobce są i naszej cywilizacji. Wymownie o tem świadczą węzłki wiązane na chustce dla zapamiętania czegoś,

wiechy zatykane na drogach, któremi przejazd jest wzbroniony i t. p.

Lecz i takie znaki upamiętniające nie stanowią jeszcze pisma, gdyż mogą z nich czytać tylko ludzie obeznani z rzeczą, której te znaki dotyczą. Przypominają one tylko to, o czem już wiemy. Odświeżają w nas myśli nieujęte w określonej formie językowej. O piśmie wtenczas dopiero mówić można, kiedy pewne znaki za powszechną zgodą związane są z pewnymi dźwiękami zdolnymi wyrazić każdą określoną myśl w sposób dla wszystkich zrozumiały. Myśl ta nie kryje się w znakach i nie zachodzi potrzeba, aby czytelnik już wprzód o niej wiedział, ale skojarzona jest z dźwiękami przez znaki unaocznionymi. Pismo tedy podaje nie myśl bezpośrednio, ale przedewszystkiem mowę, w którą ta myśl jest obleczonea.

Początku pisma szukać tedy należy w owych znakach pamięci, zrozumiałych tylko świadomym, a najdoskonalszą jego postacią jest nasze pismo abecadłowe. Dzicy używali i używają znaków pamięciowych w takich nawet razach kiedy my bylibyśmy przekonani, że bez pisma abecadłowego poradzić sobie nie zdołamy. Posiadają dokumenty jak my, ale w innej formie, dostępnej tylko wtajemniczonym.

Laska do karbowania również jest dokumentem: podaje liczbę jedności, których mianowanie jest wiadome interesowanym. „Różaniec”

posuwa się wyżej: gatunkuje rozmaite jedności w określonym następstwie; pacierze same znać musi przecież ten, kto go używa. Taka też jest zasada „lasek z rozkazami” i „sznurów rachunkowych”, tylko na szeroką skalę zastosowana. Używają ich ludy półcywilizowane. Węzły określają liczbę, barwa i postać—kategorję. Węzłki na chustce są szczytkową postacią sznura z węzłami. Doskonale przypominają, jeśli rzecz sama zwróciła uwagę.

Zdumiewająca jest pamięć posłańców niepiśmiennych, zaopatrzonych w tak proste środki. Poleganie na piśmie nadwątlą pamięć. U Indian Ameryki Północnej muszle nawleczone na sznury były dokumentami w sprawach państwowych, i w układach. Łączenie muszli mających rozmaite barwy i wielkość, oraz sznurów zabarwionych pozwalało na rozróżnienia potrzebne. Jeżeli poseł indyjski przemawiał, to trzymał przed sobą sznur i zaczynał od zwyczajowego wstępu: „tym sznurem muszli otwieram wasze oczy, oczyszczam wasze uszy” i t. d., zwracając uwagę słuchaczów zarazem na słowa swoje i na sznur. Gdy poselstwo jego znalazło przyjęcie, to sznur pozostawał u naczelnika w zachowaniu. Ilekolwiek sznurów u niego złożono, wiedział dokładnie, kto przyniósł każdy z nich i co przy tem mówił. Co więcej, zgromadzał w oznaczonych odstępach czasu młodzież swego pokolenia, okazywał jej sznury, i uczył treści każdego z nich. Tak mógł

każdy wyczytać ze sznurów żywe dzieje swego plemienia, ale tylko wtajemniczony.

Porównajmy nasz stary sposób uczenia abecadła, to wnet podobieństwa i różnice rzucą się w oczy. Dlaczego dziecię powie głośno *a*, kiedy mu w książce *a* pokazać? Dlatego tylko, że niegdyś nauczyciel, pokazując mu pierwszy raz tę literę, wygłosił: *a*. Tak samo wiąże Indyanin mowę z widokiem sznura. Sznur atoli ma znaczenie tylko w całości. Gdyby też same muszle nawleczone pomieszane, stałby się dla tego człowieka nieczytelny. Mowa i sznur muszą być skojarzone na nowo. Dziecię raz nauczy się *a* i odnajdzie je w tysiącnych miejscach; Indyanin musi uczyć się tekstu do każdego sznura.

To nam wskazuje kierunek, w jakim posuwać się będzie kształcenie. Postęp jego rosnać będzie w tej mierze, w jakiej powiedzie się znak pamięci mowy zastąpić znakiem pamięci wyrazu, sylaby, głoski. Doszli ludzie do tego przez znaki obrazkowe. Rysowania rzeczy widzianych na kamieniu próbowali już Buszmani, nie mówiąc o Indyanach. Ale klucza do zrozumienia takich obrazków, przedstawiających jakieś zdarzenie, musi znowu pamięć dostarczyć. Jedną z przepraw Indyan przez jezioro Górne przedstawia rysunek, na którym prócz wodza wykonano pięć łódek i 51 kreseczek. Łatwo stąd wyczytać, że niegdyś pamiętną tę wyprawę przedsięwzięło 51 Indyan ze swoim wodzem. Kto był tym kierownikiem,

zapamiętali mieszkańcy okoliczni. Ponieważ imiona indyjskie brane są powszechnie z przedmiotów podpadających pod zmysły, częstokroć ze zwierząt, więc pamięć znalazła oparcie, gdy się powiodło przy postaci wodza wyobrazić te przedmioty czy zwierzęta.

Catlin opowiada, jak wódz Kikapus, człowiek bardzo zdolny, zwany „prorokiem Shawnisów”, przyjąwszy chrystyanizm od pewnego misjonarza, nawracał swoje plemię, przedstawiając, że podjął się poselstwa nadprzyrodzonego. Ułożył modlitwę, którą na płaskim kiju napisał, używając znaków przypominających litery chińskie. Kiedy Catlin plemię to odwiedzał, każdy mężczyzna, każda kobieta i dziecko powtarzali modlitwę rzezoną rano i wieczorem, przesuwając kolejno palec wskazujący z jednego znaku na drugi, po wypowiedzeniu jednego lub dwóch zdań. Czy te laski modlitwy dotąd istnieją, nie wiem; ale prawdopodobnie i śpiewy indyjskie były notowane za pomocą podobnych obrazków poddających myśl.

Pismo obrazkowe, mówi Tylor, jest rozpowszechnione między dzikimi na całej kuli ziemskiej, a zasada jego, o ile sądzić możemy, wszędzie jest jednakowa. Obrazki na lapońskich bębenkach czarnoksięskich, znane nam ze swej treści, służą do tegoż samego celu, co i pismo amerykańskie. Obrazki, bądź wymalowane przez dzikich, bądź wykute w skale, mają pewne podo-

bieństwo familijne, tak dobrze w Ameryce Północnej, jak w Południowej, na Syberji czy w Australii. Obrazki na skałach, złożone pospolicie z niewielkiej liczby postaci, są zazwyczaj niemożliwe do wytłomaczenia, dopóki brakuje klucza. Niektóre z nich są bezwątpienia prostymi wizerunkami zwierząt lub rzeczy, nie zaś upamiętnieniem historycznych wypadków; inne są imionami. Dupaix widział w Meksyku wyrzeźbionego orła, będącego jakoby znakiem granicznym miejscowości zwanej „pod orłem” — kwaunahuak — teraz Kwernawaka. Rodzi się stąd przypuszczenie, iż podobne rzeźby często mogą być znakami granicznymi. Ale bywają wycięte na skałach rysunki, które zdaniem krajowców są dziełem bardzo dawnych ludzi. Klucz do ich zrozumienia rzadko można odnaleźć. Widziałem podobne w Meksyku na urwiskach tak niedostępnych, że ciężko pojąć, jak się tam wspięli dzicy rzeźbiarze. Kiedy Humboldt zapytywał Indyan z nad Orinoko, kto wyrzeźbił postaci zwierząt i godła na wysokich ścianach skalistych wzdłuż rzeki, odpowiedzieli z uśmiechem — gdyż o takim fakcie cudzoziemiec tylko, i do tego europejczyk mógł nie wiedzieć — że „w czasie wielkiej wody ojcowie ich dotarli w łódkach do tej wysokości.”

Według Hellwalda w Północnej Europie są ślady pisma obrazkowego zupełnie przypominającego pismo obrazkowe napotykanie u wszystkich

ludów półcywilizowanych w innych częściach świata. Mianowicie w Szwecyi, na ścianach skalistych, często nad brzegami rzek i jezior, niekiedy wysoko nad poziomem wody dzisiejszym, zwracają na siebie uwagę obrazki kamieniem wyżłobione. Najczęściej zdarzają się one w Bohuslän'ie, ale bywają także w starej Gotlandyi, a nawet w Norwegii. Mieszkańcy zowią je „Hällristningar.” Uczeni szwedzcy robili nad nimi obszerne studia i objaśniali rozmaicie. Według najnowszych poszukiwań zdają się one należeć głównie do późniejszych epok metalowych.

Wyobrażenia ludzi, zwierząt, okrętów, broni i t. d. zestawione są na pozór bez wszelkiego porządku i przewodniej myśli. Potrzeba się w nich rozpatrywać dłużej, aby przyjść do wniosku, że mają upamiętnić jakieś wydarzenie, może zwycięstwo nad przeważnym nieprzyjacielem, albo inny wypadek miejscowy doniosły w skutkach. Wtenczas rychło już odnaleźć można klucz do zrozumienia. Obsadzone okręty, wysoko podniesione stery lub miecze załogi, dumnie wyprostowana postać wpośród załogi — wszystko to stanowi tak uderzającą sprzeczność z wywróconymi statkami, do których należą ludzie okuci, że mimowoli przychodzi na myśl scena bojowa, zakończona radosnem zwycięstwem dla jednych, dotkliwą klęską dla drugich. Budowa okrętów tak często zgadza się z ornamentacją spotykaną na małych nożach bronzowych, że o wzajemnym

związku niepodobna wątpić. Dodajmy, że podobnej formy statek jest wyrzeźbiony na odłamie kamienia ze starego grobu w Schonen. Na jednym z grobowców w Schonen, słynnym „pomniku Kiwik”, wyczytuje prof. Nilson całą historię bitwy i zwycięstwa, zakończonego obiata. Jeńców zaprowadzono najpierw do miejsca ogrodzonego, a później na plac ofiarny, gdzie kapłani, zasłonami przyodziani, czekają, aby ich bogom ofiarować.

Prawdziwem już pismem były tak zwane „runy”. Stanowiły one wspólną własność wszystkich ludów germańskich, ale nie przez wszystkie, jak się zdaje, używane były z równą pilnością. Wszelako jeśli na południu runy rzadziej spotkać można, da się to objaśnić wprowadzeniem alfabetu łacińskiego wcześniejszem, niż rozpowszechnienie pisma runicznego. Dlatego też runy udoskonaliły się i ogólnie były używane na północy, głównie przez Anglosasów i Skandynawów.

Długo dostrzegano w piśmie runicznym dwójakie typy. Nowszym dopiero badaniom powiodło się wykazać, że są dwie grupy tego pisma: dawniejsza i późniejsza. Odczytywanie krótkich zdań skreślonych runami późniejszymi rzadko następuje z trudności; podczas gdy starsze, zarówno z powodu większej zawilości znaków, jak i ze względu na język, rozmaicie bywały wykładane. Za różnością czasów pochodzenia przemawia ta okoliczność, że starsze runy bywają znajdowane

X razem z denarami cesarów rzymskich lub mone-  
tami złotymi rzymskimi, podczas kiedy nowszym  
towarzyszą monety arabskie, niemieckie, anglo-  
saskie, a nigdy rzymskie; nadto runy nowsze  
znajdujemy na przedmiotach starożytnych, mia-  
nowicie na kamieniach runicznych sięgających  
już czasów chrześcijaństwa. Na północy długo  
utrzymało się pismo runiczne. W prowincyi Z  
Westmanlandzie, w Szwecyi, kamień graniczny  
nosi wyraźnymi znakami zrobiony napis, wyjęty  
z księgi Jozuego: „Ten kamień będzie świadkiem  
między mną a tobą.” \*). Z pisowni tego wiersza  
poznać można, że za wzór mu służyła Biblia wy-  
dania Gustawa Wazy, nie może więc pochodzić  
z czasów dawniejszych niż druga połowa XVI-go  
stulecia.

Z Odcyfrowanie starszych napisów runowych  
jest połączone, jak wspomnieliśmy, z wielkimi  
trudnościami. Nawet co do narzecza tych napi-  
sów nie są runologowie w zgodzie. Prof. Gislazon  
uważa je za odrośl pnia gotyckiego, pomieszaną  
z pierwiastkami południowo-germańskimi, a bar-  
dziej jeszcze — z północno-germańskimi. Napisy  
te są to krótkie, treściwe zdania, może niekiedy  
formuły czarnoksięskie, gdyż runy posiadały moc  
tajemną: *runa* znaczy tajemnica. Germanowie,

---



\*) Jozue 22, 26 27: „Ale zbudujmy sobie ołtarz.... na  
świadectwo między nami y wami.” Biblia, wyd. X. S. Kozłow-  
skiego.

X podobnie jak niektóre inne starożytne ludy, przypisywały pismu pochodzenie boskie. Wynałazł je sam Odin czyli Wodan. Znał on runy mające siłę wiążącą i runy z siłą rozwiązującą; runy, czyniące oręż zwyciężkim, i runy, które klęskę sprowadzały; runy wywołujące lub zażegnujące burzę i niepogodę; przyprawiające o chorobę i leczące; budzące niesnaski i odwracające zły urok i t. d. Skutecznymi stawały się, kiedy je wycięto na drzewie. Tacyt, opisując rzucanie losów jako zwyczaj germański, miał na myśli takie laski z drzew owocowych, pokryte runami. Sam wyraz *laski*, oznaczający niegdyś laski runami rzeźbione, przeszedł do pisma, jako laski w kaligrafii; podobnie jak niemiecki wyraz Buchstabe (litera) znaczy dosłownie *laska bukowa*.

X Najstarsze pismo dźwiękowe posiadają Chińczycy. I ono także powstało z obrazków przedstawiających różne przedmioty, było więc pierwotkowo pismem obrazkowym. Każdy wyraz ma swój odrębny znak, dziś już nie będący obrazkiem, ale z obrazka wytworzony. Język chiński nie posiada zestawienia sylab. Ten sam wyraz może mieć kilka znaczeń; w mowie znaczenie rozróżnia się tonem, w jakim wyraz jest wypowiedziany; w piśmie dodają się znaki objaśniające, których liczba odpowiada liczbie znaczeń wyrazu. W pospolitem użyciu ma być 4 do 5000 takich znaków; ogółem jest ich podobno do 100000.

Ze względu na bogactwo literatury starożytnej i na wielkie znaczenie tej literatury dla życia społecznego, byłoby Chińczykom bardzo trudno wyrzec się starej, uciążliwej grafiki. Japończycy natomiast umieli skorzystać z tegoż samego pisma, wytworzyć znaki odpowiadające dźwiękom i tak przejść do *pisma dźwiękowego*. Wybrali 47 dźwięków prostych i złożonych i zrobili z nich swoje abecadło (i—ro—fa i t. d.); tak więc literami zapożyczonemi od Chińczyków piszą i składają wyrazy podobnie jak my.

Pismo starożytnych Egipcyan również od jednego z tych stadyów przeszło do drugiego. Według Lipperta początkowo każde pojęcie miało swój obrazek, a niektóre takie obrazki utrzymały się i nadal. Tak np. słońce i bóstwo, *Ra*, oznacza się kółkiem z kropką ☉; usta, *Ro* mają znak *o*, podobny do *O* leżącego. Gdy wszakże język od wyrazów jednozgłoskowych przeszedł do wyrazów o różnym składzie i do wytworzenia właściwych części mowy, zaczęto używać tych obrazków tak samo, jak próbowali Meksykanie. Z całego wyrazu zachowano tylko dźwięk początkowy, opuszczając resztę dźwięków; dźwięk zachowany stawał się głoseką, a znak, odpowiadający przedtem całemu wyrazowi, stawał się *literą* odpowiadającą tej głósce. W ten sposób znak *o* (*Ro*=usta) w piśmie głoskowym jest literą *R*. Czy w danym razie należy znak uważać za cały wyraz, czy też za literę, zależy to

od zestawienia i od sensu zdania. Podobnie dom oznaczano jego najprostszym konturem , i za pomocą jednej, dwóch lub trzech kreseczek ponad tym zarysem wskazywano, czy wyraz *dom* jest użyty w liczbie pojedynczej, czy mnogiej, czy podwójnej. Jeżeli wszakże użyć dwóch tych obrazków , to pozostaną tylko litery początkowe, które utworzą sylabę p-r per. Ale i w egipskim podobnie jak w chińskim ten sam wyraz miewa rozmaite znaczenia, które objaśniać trzeba dodatkowymi znakami. Przypuśćmy, że w danym razie trzeba użyć wyrazu *per* w znaczeniu „wychodzić.” Znak, przedstawiający dwie nogi w ruchu, załatwi trudność, i cały wyraz napisze się:



Różnica między obu porównywanymi systematami na tem polega, że Chińczycy posiadają tylko pismo obrazkowo-wyrazowe, Egipcyanie zaś i takie pismo i głoskowe z tamtego utworzone. Ani jeden ani drugi systemat nie mógł się obejść bez znaków objaśniających. Inne wpadające w oczy różnice nie mają istotnego znaczenia. Obrazki chińskie są kreślone tuszem i miękkim pędzlem z możliwą oszczędnością czasu, i dlatego z pierwotnych typów pozostały w nich tylko szkielety miękkimi liniami znaczone. Egipskie obrazki wyciosywano bardzo starannie w kamieniu, przyczem linie doszły do przedziwnej stałości i wierności. Ale odkąd Egipcyanie pisać zaczęli na papyrusie, znaki utraciły ostrość i za-

mieniły się również na pismo płynne, niezbyt wyraziste.

Ale w stosunkach z cudzoziemcami, takie właśnie pismo weszło w użycie. Fenicyanie, naród kupiecki, znaleźli się względem Egipcyan w takim stosunku, w jakim Japończycy są względem Chińczyków. Tylko że Fenicyanie otrzymali gotowe pismo głoskowe, które, z pominięciem wszystkich znaków równoległości i objaśniających, mogli przenieść do swego już urobionego języka. Pozostało im więc tylko oznaczyć liczbę dźwięków swej mowy, i zastosować do nich egipskie znaki skrócone, lub obmyśleć kreski zbliżonego typu, zwłaszcza że o przedstawienie obrazkowe przedmiotów już wcale nie chodziło. Tak więc w 10-em mniej więcej stuleciu przed Narodzeniem Chrystusa Pana stworzyli Fenicyanie alfabet złożony z 23-ch liter, częścią widocznie naśladowanych podług egipskiego biegłego pisma hieratycznego, choć na wiernej podobiznie im nie zależało. Znaki te poddali nowemu wyborowi i przekształceniu, przenosząc je do swoich języków, z jednej strony Żydzi, z drugiej Grecy. Od pierwszych dostały się one z nowymi zmianami do Indyj, od drugich do nas.

Dość zresztą było wpaść na myśl pisma głoskowego, aby wynajdywać litery nawet i bez wszelkiego naśladownictwa. Niemniej pismo nasze semickiego jest pochodzenia, o czem przekonywa bodajby sama jego nazwa semicka „alfabet.”

W greckim nazwy liter (—nie dźwięków): alfa, beta, gamma nie mają znaczenia, gdy po hebrajsku *alef* znaczy „wół”, *beth* — „dom”, *gimel* — „wielbłąd” i t. d. Jeszcze więc w hebrajskim zachowała się świadomość tego, że znaki liter były początkowo obrazkami przedmiotów, gdyż nazwy liter wskazywały podobieństwo ich do tych przedmiotów. Odnajdując tedy rzeczone nazwy u Greków, dla których one zgoła były niezrozumiałe, musimy przyznać, że tradycja słusznie przypisuje Fenicyanom wynalazek pisma.

U semickich Assyryjczyków i aryjskich Persów alfabet wyrugował istniejące już dawniejsze pismo trzeciego typu, które samodzielnie w starożytności powstało. Wynalezione prawdopodobnie przez turański lud Akkadyjczyków, rozpowszechniło się ono w starej Babilonii, stamtąd przeszło do Assyrii, później do Persyi. Nazwano je „pismem klinowem” z powodu kształtu znaków. Gdyby Chińczycy, zamiast malować pismo swoje przez tyle wieków miękkim pędzlem, byli zmuszeni ryc je dłóttem na kamieniu, albo rylcem dłótowatym wyciskać na cegielkach glinianych, to byłyby linie podobnie straciły okrągłość i pełność, jak twarde, nieczłonkowane kreski pisma klinowego. W porównaniu z egipskimi obrazkami muszą one pochodzić z czasów, kiedy sztuka była daleko mniej udoskonalona. Pierwiastkowo miały to być prawdopodobnie także obrazki przedmiotów, ale z czasem pozostało

tylko określone grupowanie pewnej liczby kresek oddzielnych takiego kształtu, jaki najspadniej da się wryć ostrem dłótem, albo gwoździem wycisnąć w glinie. Co do znaczenia pismo klinowe stało na tym samym stopniu co i hieroglificzne, łączyło bowiem obrazy z wyrazami i znakami sylab. Zastosowane do mowy perskiej przetworzyło się na pismo głoskowe. Zwolna ustąpiło miejsca alfabetowi przerobionemu z fenickiego. W kolei pochodzenia najbliższymi fenickiego są alfabety hebrajski, arabski i syryjski. Z syryjskiego powstały alfabety języków persko-irańskich, indyjskich i tureckich. I stary alfabet sanskrycki, który się ukazał w Indjach od 3-go stulecia przed Chrystusem, od tegoż alfabetu wyprowadzają. Jeszcze młodsze jego przeróbki rozpowszechnili buddyści w Tybecie i w Indjach Zagangesowych.

Wszystkie te azyatyckie pisma noszą znamię pochodzenia semickiego, a mianowicie posiadają litery tylko dla spółgłosek, samogłoski zaś oznaczają kropkami i kreskami. Grecy natomiast uzupełnili alfabet semicki, urabiając z fenickich znaków przydechowych litery dla samogłosek i wynajdując kilka nowych znaków. Z ich pisma czerpały wszystkie narody europejskie: Rzymianie, Etruskowie, Gallowie; i „runy” germańskie były naśladowaniem o tyle niedołącznym, że dokonaniem przy pomocy noża kamiennego. Naśladownictwem również jest alfabet obmyślony

w IV-m wieku przez biskupa Ulfilasa dla Gotów i o wiele późniejszy Cyrylego dla Słowian. Od ostatniego pochodzi ruski, którym posługują się także Serbowie, Rumuni i Rusini. Wszystkie inne ludy europejskie otrzymały pismo za pośrednictwem Rzymu; takie również jest pochodzenie pisma „niemieckiego” czyli „frakturowego”, mającego początkowo przedstawiać ozdobniejsze formy gładkich liter łacińskich. Obecnie poważne głosy w Niemczech przemawiają za powrotem do starego pisma łacińskiego, czyli do „antykwy” i posługiwania się niem wyłącznie, aby tą drogą upodobnić pismo niemieckie do pisma większości narodów europejskich. Byłoby to ułatwieniem i dla szkolnictwa, gdyż wtedy uczniowie mieliby do czynienia z czterema tylko alfabetami, gdy dziś, przy użyciu pisma niemieckiego oraz łacińskiego, uczeń szkoły ludowej musi wykuć ośm alfabetów. (Autor ma tu na myśli abecadło wielkie i małe, pisane i drukowane, ogółem cztery alfabety niemieckie i tyleż łacińskich. *Przyp. tłum.*.)



93 Str

## P r a w o .

---



asada prawa leży w pojęciu własności; własność poczęła się w czasach, kiedy jeszcze prawo nie istniało. Jakkolwiek dziś omal że niema ludu bez jakichkolwiek, bodaj prostaczych pojęć prawnych, jednakże o tem wątpić nie można, że były czasy, kiedy i tych prostaczych pojęć brakło. Prawo jest wyrobem czysto ludzkim, wynikłością związania się gromady ludzkiej w społeczeństwo. Nigdzie w przyrodzie — pisze Hellwald — nie można znaleźć analogii. Nauka nie zna „prawa naturalnego”. W naturze panuje prawo tylko jedno, które nie jest prawem: prawo mocniejszego, siła. I w rzeczy samej siła jest najwyższem

źródłem prawa — bez niej niema prawodawstwa. W społeczeństwie ludzkim prawo mocniejszego zachowało również po wszystkie czasy swoją wagę. Zarazem jest ono wszelako rezultatem walki o byt, która od czasów łosia i niedźwiedzia jaskiniowego pod coraz odmiennymi postaciami trzyma dotąd ludzkość w naprężeniu. Jedną tylko z jej form, ale najostrzejszych, jest wojna. Tu walka o byt wybucha jasnymi płomieniami, tu siła w starciu z siłą toruje sobie drogę, tu bezprawność własności, posiadania, bije w oczy. Przy zwycięzcy, przy mocniejszym pozostaje zdobycz — własność. Wojna jest zarazem najdawniejszym zjawiskiem przyrody, zjawiskiem, które żeby usprawiedliwić, cała przyroda wstępuje w szranki. Wojna leży w podstawach charakteru wszystkich jestestw organicznych, i nawet mimo rosnącego uobyczajenia nie może nic utracić ze swojej srogości. Gdyż ze wzrostem cywilizacji mnożą się interesa, a jednocześnie i starcia, których ostatecznym rozwiązaniem jest wojna. Trzeźwe studia nad cywilizacją muszą rozproszyć złudne marzenie o „wiecznym pokoju.”

W miarę rozszerzania własności na coraz większą liczbę wytworów przyrody i sztuki mnożą się zatargi między mniejszymi grupami ludzi, mających w tem interes, aby spory załatwiać spokojnie. Wojna, jako ostateczny środek zachowania pokoju, wtenczas tylko może być stosowana, kiedy chodzi o usunięcie zawikłań, w których

dotknięty jest cały naród. Natomiast wcześniej już dawała się uczuć potrzeba gładzenia nieporozumień pomiędzy indywiduami, grupami rodzin, miejscowościami i t. p. wewnątrz jednego ludu, bez rozlewu krwi, na drodze pokojowej. Z tej potrzeby wynikło prawodawstwo i sądownictwo.

Rozwój prawodawstwa jest zależny od rozwoju organizmu państwowego. Wola władzy państwowej, ujęta w pewną określoną formę, jest prawem.

Wszystkie prawie ludy europejskie, od związków państwowego istnienia, podlegały władzy częścią wykonywanej przez urzędników, których lud wybierał, częścią spełnianej przez lud sam bezpośrednio. W takim stanie rzeczy prawo było wyrazem woli ludu, który tem samem swoje urządzenia społeczne mógł zmieniać stosownie do potrzeby, według własnego uznania, za porozumieniem się wzajemnem i nie będąc w konieczności używania siły.

Wymiar sprawiedliwości należy do sądów. Sądownictwo podlega zmianom zależnym od zmiany form państwowych.

O sądownictwie patryarchalnym pisze Lipert, że było ono nierozłączne z całym obrębem działania władzy ojcowskiej. Z czasem dopiero wyosobniła się w szczególności władza wymierzania kar. Pierwiastkowo wypływała ona z władzy ojcowskiej, a swobodnego wykonywania tak jednej jak drugiej nie krępowało żadne prawo.

Zwolna tradycya i zwyczaj wytworzyły granice, a głos uczuć delikatniejszych zaczął wpływ wywierać. O rozstrzygnięciu według prawa w naszym rozumieniu nie mogło być mowy w pierwotnych sądach patryarchalnych. Wyroki ich były tylko wyrazem woli ojcowskiej, która jednakże w zasadzie przynajmniej ogólne dobro miała na celu. Zasada ma wagę dotąd tylko, dopóki ją stwierdza uznanie ogólne.

Gdy wreszcie rodzina patryarchalna, wzrastając, obszernem państwem się stała, wtedy już konieczność zniewoliła do sformułowania jakichś zasad prawnych. Bo chociaż ojciec miał wyłączną władzę sądenia, sam wszakże nie mógł jej wszędzie wykonywać osobiście. Ojciec nie był przed nikim odpowiedzialny za swoje wyroki; ale niezbędni zastępcy, sprawujący sądy z jego polecenia i w jego imieniu, byli odpowiedzialni przed nim, a odpowiedzialność tę ułatwiały im określone z góry normy.

Takie prawo karne odznacza się przeważnie wielką surowością. Drobne przestępstwo pociągało nieraz karę śmierci lub okaleczenia. Pomijana jest dbałość o zrównoważenie winy i pokuty. O źródle takiego prawa karnego mówi nam jeszcze okoliczność, że kara jest przeważnie objawem ojcowskiego niezadowolenia, wywołanego nieposzanowaniem ojcowskich przykazań; a objaw rzeczony nie zna żadnych ograniczeń. Dlatego gniew ojcowski mógł w każdym razie, bez względu na

wielkość zrządzonej szkody lub wywołanego niebezpieczeństwa chwycić się najostroższych środków, a surowość ta znajdowała poparcie w chęci zapobiegawczego działania przez odstraszenie. Wobec takiego postępowania karnego nie tylko przedmiot wykroczenia podrzędną ma wagę, ale niekoniecznie poprzestaje ono na samym winowajcy. Gniew ojcowski mógł się podnieść przeciw wszystkiemu, co miało z przekroczeniem zewnętrzną tylko łączność, choćby nie podlegającą odpowiedzialności. Mógł wybuchnąć przeciw całemu pokoleniu, całej osadzie, nawet przeciwko zwierzętom i rzeczom nieżyjącym. W Biblii często spotykamy przykłady karzącej sprawiedliwości czasów patryarchalnych, a Kserkses kazał morze wychłostać. Jeżeli w takim działaniu można upatrywać coś więcej nad nieokiełznany, naturalny wybuch gniewu, to chyba chęć odstraszenia od nieposłuszeństwa woli ojcowskiej, i sam czyn nieposłuszeństwa uznać za głównie karygodny.

Zjawisko, które dostrzegliśmy, rozważając własność, znowu tu oczywiście występuje. W miarę rozszerzania się własności, pojedynczy człowiek traci możność zabezpieczenia jej siłą fizyczną i wyręcza go rękojmią moralną całej grupy ludzi społecznionych. Trzeba więc, żeby ogół wiedział o tej własności i uznawał ją.

Stąd wynikły sądy gminne w sprawach dotyczących własności, pod przewodnictwem

patryarchy jako już tylko kierownika i sędziego. I dlatego każde nabycie lub przeniesienie własności musi odbywać się jawnie, na oznaczonym miejscu i w oznaczonym czasie, a nawet zdarzały się w nadzwyczajnych wypadkach rozsyłane zaproszenia umyślne do wszystkich.

Na placu sądów odbywały się zarazem w czasach pogańskich obrzędy religijne; za czasów chrześcijaństwa był to plac kościelny. Tuż obok było mieszkanie patryarchy, na ten raz—sędziego. Podobnież w Islandyi „Godi” otwierał dom swój dla takich zebrań i dla obrzędów. W osadach zgromadzeniom służyła sala wójtowska, z której, po zaprowadzeniu chrześcijaństwa przeniesiono obrzędy religijne do kościoła.

Tylko dopełnione w takich miejscach i podczas zwykłych zgromadzeń ludowych darowizny, sprzedaże, zamiany znajdowały rękojmię w świadectwie obecnych. Pierwotnie udział zgromadzenia był czemś więcej niż dowodem, był przyzwoleniem. W Gotlandyi podług dawnego prawa nie można było sprzedać kawałka ziemi bez pozwolenia całej dyecezyi, a więc dawnej rodziny patryarszej. Miało to podstawę logiczną, pomijawszy już dawne stosunki rodzinne. Ponieważ obowiązani byli wszyscy rozciągać dozór nad własnością, więc wszyscy słusznie domagali się prawa głosu, zanim na siebie obowiązek przyjęli. Z tej też przyczyny place sądowe były zarazem placami targowymi, tu bowiem tylko zmiana

własności mogła być dokonana pod rękojmią spokoju, tu jedynie można było kupować prawnie.

Pod tytuł przeniesienia własności podpadło także nabywanie niewolników, a nawet żony. Dopiero po zaprowadzeniu chrześcijaństwa przeniesiono zaślubiny, wyzwolenie niewolników i chrzciny z placu obrzędów pogańskich i targów do kościoła.

Germański sąd gardłowy nie wykonywał sam kary śmierci, ani się w tem swoimi pachołkami wyręczał, jak król patryarchalny, ale pozostawiał obrażonemu wykonanie kary. Rozpoznawszy, że obrażony uczynił zadość wszystkim formom proceduralnym, aby sprawę przed sąd wytoczyć, orzekał, iż winny zasłużył na krwawą zemstę za swoje przestępstwo, i że skarżącemu nikt nie powinien przeszkadzać w uczynieniu zadość naturalnemu i uznanemu obowiązkowi zemsty. Taka była treść wyraźnego sądowego wyroku. Druga część wyroku, domyślna, brzmiałaby, gdyby ją w słowach sformułować: Wykonanie wyroku nie powinno na obrażonego ściągać zemsty krwawej, ponieważ działa on zgodnie z naszym uznaniem, i wszyscy bronić go będziemy, jeśliby go napastowano.

Wprost przeciwnym takiemu zapewnieniu bezpieczeństwa był wyrok pozbawiający złoczyńcę dobrodziejstw związku pokoju. Wywołaniec powracał do stanu, w jakim wyobrazić sobie można

człowieka żyjącego bez rodziny i bez społeczeństwa. Był pozbawiony praw. Ogień i woda, skarby rodzinne były mu wzbronione. Nie miał własności. Mienie jego brać mógł każdy, jak ptak powietrzny. Jego ciało i życie nie mają ani spokoju, ani osłony. Spokój i własność są tylko na łonie społeczeństwa, zabezpieczone przez wszystkich.

Kto zrzucił krzywdę na własności lub na ciele, winien był nietylko zapłacić odszkodowanie, ale także odpokutować za zakłócenie spokoju i złożyć pewną kwotę dla sędziego. Naruszenie cudzej własności sprowadza niepokój w społeczeństwie i z tego względu jest przedmiotem dochodzenia sądowego, jako wykroczenie przeciw ogółowi. Spory przed staroniemieckimi sądami przyjmowały formę zakładu. Każda ze stron, jako porękę za słuszność swej sprawy wnosi na ręce sędziego pewną oznaczoną sumę, którą traci, jeśli przegrywa sprawę.

W sprawie o zabójstwo można było według ustaw germańskich odwrócić zemstę krwawą, nawet już po wyroku sądowym, przez układ, za opłatą oznaczonej sumy pieniędzy. Nie należy stąd wnosić, jakoby w czasach nawet pierwotnych uważano życie ludzkie za możliwe do zastąpienia pieniędzmi. Za śmierć człowieka nie nagrodzi nawet śmierć jego zabójcy. Pieniądze służyły raczej za wynagrodzenie szkód, jakie wynikłyby z nieprzyjaźni rozbudzonej przez spełnienie zem-

sty, na którą sąd zezwolił. I dlatego pieniądze „wergeld” nie przypadały wyłącznie dzieciom zamordowanego ojca, tem mniej wdowie zubożałej, ale dzielono je między tych wszystkich, na których ciążył obowiązek zemsty krwawej. Pierwiastkowo wszakże mściciel krwi miał prawo nie zgodzić się na układ i trwać przy zemście.

W przedmiocie środków dowodowych pojęcia ludów mało ucywilizowanych były zgodniejsze, niżeli co do wszelkich innych form prawnych. Między świadkami rozróżnić można dwie grupy: żywych i umarłych; gdyż według dawnego mniemania, upowszechnionego między ludami mało ucywilizowanymi, sam umarły umie dać świadectwo zbliżania się mordercy. Na nieco wyższym poziomie oświaty rozróżnimy świadectwa żyjących i bogów lub duchów, świadomych wielu rzeczy ukrytych przed wzrokiem ludzkim. Formami takiego świadectwa są *ordalia* czyli „sądy boże”, a rodzajem ordaliów jest przysięga dowodowa. Z przymusu świadczenia zrodziła się *tortura*.

Ażeby mieć świadków na wypadek sporu sądowego, dbano w dawnych czasach daleko bardziej niż w dzisiejszych o wzywianie świadków przy każdej zmianie własności oraz w wypadku doznania krzywdy. Obowiązkiem obywatelskim było biedz na głos wołający o pomoc. Tym sposobem przestępstwo wydawało się spełnionem w oczach całego zbiegowiska niejako. Taki czyn obwołany sądzono też na miejscu niekiedy, jak

gdyby lud wyrokujący sam schwycił zbrodniarza na uczynku.

W razie przenoszenia własności wykonywano wobec świadków jakieś działanie wrażliwe się w pamięć, mianowicie kiedy przedmiot nie mógł być doręczony natychmiast. Wynikło stąd mnóstwo „symbolów prawnych”: podawanie ziemi, murawy, łamanie lasek, skakanie przez płot i t. p., co wymowniej przemawiało do umysłów niewykształconych niż wyrazy.

Najważniejszymi atoli świadkami byli ławnicy targowi, stale na zgromadzenia uczęszczający. Dobrą obdarzeni pamięcią stanowili oni żywe archiwa i księgi gruntowe. Pożądanem też było dokonywać w ich obecności wszelkich tranzakcyj.

Parobków poczytywano za ludzi skrytych i chytrych. Żeby więc od nich wydobyć świadectwo przeciw innym lub zeznanie winy własnej, uciekano się do bicia. U Franków na tem polegała tortura—prosta wprawdzie, ale bynajmniej niełagodna. Wszelako już Rzymianie wymyślili bardziej rafinowane męczarnie, któremi starano się skłonić niewolników do zeznań przeciwko swym panom. Królowie średniowieczni, coraz bardziej przechylający się ku patryarchalnemu pojmowaniu swej władzy, przestali ostatecznie odróżniać ludzi wolnych od parobków i nadali torturze w najrozmaitszych i najokrutniejszych postaciach znaczenie nader uniwersalne w procedurze sądowej.

Ze zmianą zapatrywań religijnych znikła druga grupa świadectw, z której pozostał tylko szczałek przekształcony zgodnie z nowocześniejszymi pojęciami. W przekonaniu świata starożytnego duchy i bóstwa mieszały się ustawicznie do spraw ludzkich. Z taką czynną interwencją sądy rachowały się tem bardziej, że odbywały się w miejscach czci bożej poświęconych, a więc w stałych przybytkach bóstwa. Tu przynajmniej musiano stanowczo wpływowi nadprzyrodzonemu przypisywać to wszystko, co my przypisujemy działaniu sił przyrodzonych, lub też—o ile tego działania uchwycić nie możemy—„przypadkowi”.

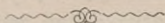
Na całym świecie dla niedoskonałej wiedzy ludzkiej pożądanym uzupełnieniem była pomoc duchów i bogów. Wywołane objawienia bogów zowią pospolicie *wyroczniami*. Tak więc odwoływanie się do duchów dla poznania prawdy jest szukaniem porady w wyroczni.

Obojętna jest rzecz, jak zadać bóstwom pytanie, aby nasunąć sposobność do odpowiedzi. Recepty na to są więc bardzo rozmaite. Najzwyczajniejszym i najbardziej rozpowszechnionym środkiem był los. U dawnych żydów, aby znaleźć złodzieja, wskazywano losem pokolenie, następnie rodzinę w tem pokoleniu i wreszcie indywiduum w rodzinie, zapytując za każdym razem przy losowaniu: wina czy niewinność. Kapłani egipscy, sprawując sądy, mieli przy sobie worek z losami. Łatwo pojąć, że na tej właśnie dro-

dze kapłan stał się członkiem sądu. I dawni Frankowie używali w tym samym celu losowania, ale tylko względem niewolników. Na tej samej zasadzie polega mnóstwo sposobów używanych w Afryce dla wykrycia przestępcy. Za pomocą podobnego środka przekonywają się duchowni żydowscy o niewierności kobiet. Mnóstwo innych środków krąży dotąd pośród zaborzonego ludu.

Odpowiedź bóstwa, stwierdzająca winę lub niewinność oskarżonego, a wywołana przez niegoż samego, zowie się „sądami bożymi” czyli ordaliami (od niemieckiego wyrazu Urteil—wyrok). Odwoływanie się do sądów bożych czy to łącznie z otrzymywaniem odpowiedzi, czy też bez oczekiwania odpowiedzi natychmiastowej jest przysięgą.

Aby się od oskarżenia oczyścić, dotykał w starożytności Indyanin posągu bóstwa, wzywając na siebie kary, jeśli składa zeznanie fałszywe, i lud był przekonany, że na tej drodze prawda musi wyjść na jaw, bo *w przeciągu roku* spotka przysięgającego jakieś niezwykle szczęście, lub jakieś nieszczęście, np. klęska majątkowa, choroba, śmierć. Wśród niemieckiego ludu zachowało się dotąd przekonanie podobne, że krzywoprzysięzca roku nie przeżyje.



## Sztuki piękne.

---



Sztuka rodzi się jednocześnie z człowiekiem; odnajduje się w większej części jego myśli i czynów. Jest mu ona tak konieczną i naturalną, że kieruje składem jego pojęć i określa kadencję mowy. W epoce, gdy jedyny przemysł stanowiło gładzenie krzemienia na strzały, noże lub maczugi, człowiek ma już sztukę, która pośrednio objawia się w samym sposobie gładzenia kamieni, przez formę, jaką broni nadaje, bezpośrednio zaś w robocie rozmaitych strojów ozdobnych, a szczególnie w rysunkach tak dokładnych, że dziś jeszcze możemy wzory rozpoznać. Muzyka również jak rysunek nie była mu

obcą. Instrumenty znalezione w jaskiniach dowodzą tego faktu. Co do tańca i poezyi, to można czynić tylko przypuszczenia, lecz te przypuszczenia nabierają prawdopodobieństwa, gdy rozważymy, że dwie te formy sztuki istnieją zawsze u ludów dzikich, które w sztuce rysunku pozostały dotąd na stopniu bardzo pierwotnym i które nigdy nie były tak uzdolnione od natury jak rasa biała \*).

Czy budownictwo starszem jest niż rysunek i rzeźba, czy młodszem, czy też są to rówieśne siostrzyce? Czy później, czy wcześniej od nich narodziły się poezya, śpiew, muzyka, taniec? Daremne byłyby spory. Konieczność budowania mieszkań doprowadziła do architektury; wyrabianie i używanie narzędzi ostrych dało początek rysunkom i rzeźbie. Rytm brzmiał w człowieku i dokoła niego, przed wiekami równie silnie, może silniej niż dziś: czuć go w falowaniu krwi, podnieconej uczuciami przyjemnymi lub przykreimi, w spokojnym oddechu człowieka używającego wczasu, w tentencie cwałujących zwierząt, w szumie wód morskich uderzających o brzegi, w łagodnem falowaniu traw i liści. Dawne języki były skandowane dobitnie i to nietylko w wierszu ale i w prozie. Poczucie wiersza rytmicznego było tak silne, że

---

\*) Eug. Veron. Estetyka. Przełożył z fran. A. Lange. Warszawa 1893. Str. 99.

dzieci nawet mówiły śpiewnie. Powiadają, że kiedy Owidyusz był jeszcze chłopięciem, trudno było nakłonić go do używania szarej, surowej prozy. Bity przez matkę za nieustanne wierszowanie, przyrzekł jej z płaczem poprawę, ale nawet obietnicę tę dał wierszem miarowym.

Jam, jam non faciam versus, carissima mater! (Już, już wierszy nie będę robił, najdroższa mateczko!)

Jedyny na poły starożytny lud, który zachował wiele rysów odwiecznych dzięki konserwatywnemu usposobieniu—żydzi—skanduje dotąd, prowadząc nawet potoczne rozmowy żargonem; a w wymawianiu języków nowożytnych razi śpiewnem przeciąganiem samogłosek akcentowanych w wyrazach i wyrazów akcentowanych w zdaniach.

Charakterystyczna baśń maluje dobrze dawność i pierwsze przeznaczenie tańca. Pewien pobożny biskup w wędrówce swojej napotkał żyjącego samotnie człowieka, który skakał przez kłodę i skacząc w jedną stronę, mówił: „To Tobie, Boże!” skacząc zaś napowrót, dodawał: „A to mnie, Boże!” Innych pacierzy nie umiał. Człowiek nie zdolny sobą władnąć, skacze w nagłym przystępie radości lub gniewu. Taniec u najdzikszych ludów należy do zwyczajów obrzędowych towarzyszących tak ważnym chwilom jak pogrzeb, modlitwa, zawarcie przymierza, wypowiedzenie lub ukończenie wojny. Muzyka, śpiew i taniec pierwotnie łączyły się z sobą.

Połączenie śpiewu z pewnym rodzajem tańca widzimy nawet u niektórych ptaków podczas tokowania. Znany jest wpływ muzyki na zwierzęta, że wspomnimy tylko wielbłądy, konie, węże.

Światło działa podniecająco na wszystkie jestestwa ustrojowe: na ludzi, zwierzęta, rośliny. Lecz pojedyncze barwy niejednakowo się w tym względzie zachowują. Najsilniej wzmagają energię życiową barwa czerwona; fioletowa jest najmniej drażniąca. Znany jest wpływ barwy czerwonej na niektóre zwierzęta i ptaki. Wątpliwości nie ulega, że gdy tylko człowiek znalazł możliwość barwienia ziemią, korzeniami, kwiatami, owocami roślin, nie zaniedbał spożytkować tego odkrycia. Muszle, kamyki świecące, blaszki metalu, świetne pióra niektórych ptaków miały dlań powab niemniejszy niżeli dla kruka lub sroki. Malarstwo w najprostszych formach i popęd do malowniczych strojów musiały tedy zjawić się nader wcześnie.

Słusznem byłoby mniemanie, że sztuka powstała dopiero po utworzeniu się społeczeństw, gdyby tylko można było przypuścić, że ludzie kiedykolwiek żyli w ogóle samopas. Ale życie gromadne dostrzegamy już u istot niżej zorganizowanych, u mnóstwa zwierząt, między innymi u małpy, najbliższej człowieka. Zapewne też i człowiek, odkąd się zjawił na ziemi, przebywał w gromadach mniejszych lub większych,

i wyjątkowo tylko pędził życie samotne. W stosunku do swego wzrostu był upośledzony pod względem sił fizycznych i z trudnością mógł się mierzyć ze zwierzętami szczerze wyposażonemi w broń zaczepną i odporną. Siłę człowieka stanowiły fortele wspólnie obmyślane i przeprowadzane. Wspomnijmy jeszcze, że w ciągu kilkunastu początkowych lat życia t. j. w czasie dzieciństwa i chłopięctwa człowiek jest niedołężny i tylko zbiorowa opieka ludzi dorosłych może go uchronić od zagłady.

Z tych wszystkich względów przyjąć musimy, że sztuka równie dawną jest jak społeczne życie, to zaś równie dawnem—jak człowiek.

Wielce doniosłe ma dla sztuki znaczenie wrodzony popęd naśladowczy, także nie samemu tylko człowiekowi właściwy, ale człowiekowi tylko tak olbrzymie oddający usługi. Temu to instyktownemu naśladownictwu zapewne przypisać należy jednakową prawie postać najdawniejszych narzędzi z krzemienia łupanego lub z innych twardych kamieni. Narzędzia te mają kształt migdałowaty i są dłótkowato zaostrome na węższym końcu. Znalezione je najpierwej we Francyi, potem w Hiszpanii, Portugalii, we Włoszech, w Algierze i Egipcie, a nawet na przykładu Dobrej Nadziei, oraz w niektórych stanach Ameryki Północnej. Pierwotne te narzędzia, nie dające się osadzić na żadnej rękojeści, przeznaczone były zapewne do wielorakich

użytków. Z czasem postać tych wyrobów zaczyna się urozmaicać: rozróżniamy pomiędzy nimi ostrza strzał, krótkie toporki i narzędzia podobne do motyki. Znalezione podobne między innymi w jaskiniach pod Ojcowem, a mianowicie w grocie Mamuta i w jaskini Wierzchowskiej.

Jako materiały przybywają człowiekowi, prócz kamienia, rogi i kości rozmaitych zwierząt. Wyroby się doskonalą: toporki są z otworami do osadzania na kiju; obok strzał ząbkowanych spostrzegamy piły, skrobaczki do skóry, igły, haki, a co więcej: świstawki i rysunki na szyfrowych tablicach, na rogach i kościach z wyobrażeniem żubra, kozła skalnego, niedźwiedzia jaskiniowego, renifera pojedynczo lub w całych stadach, konia, wołu, krokodyla i samego człowieka. Znalezione nawet rysunki wyobrażające sceny myśliwskie: strzelca nagiego w pogoni za żubrem, człowieka walczącego z reniferem, rybaka wyciągającego jakieś zwierzę morskie i t. p. Rysunki niektóre są ornamentowane paskami, kreskami, ząbkami. Zjawiają się także niezdarne statuetki i naszyjniki z drobnych kamyków, zębów zwierzęcych lub muszli. Z niektórych rysunków można wnosić, że człowiek już zaczął w tej epoce kamienia łupanego przyswajać zwierzęta. Igły i naszyjniki przekonują, że umiał robić nici, którymi też zszywał skóry bądź na odzież, bądź na szalasy.

Zwolna ludzie zaczynają gładzić narzędzia kamienne starannie i nadawać im postać zupełnie podobną do dzisiejszych wyrobów z żelaza lub stali. Postęp odbywa się nierównocześnie. Tak zwane *kjökkenmedyngi* są dowodem zapóźnienia się niektórych okolic. Kjökkenmedyng (dosłownie: odpadki kuchenne) — to ogromna kupa skorup ostryg, ślimaków i innych mięczaków jadalnych. W tych kupach napotyka się narzędzia mniej udoskonalone, paciorki z bursztynu, naczynia gliniane ręką ludzką lepione. Znaleziono te kupy na wybrzeżach Skandynawii, Danii, Szkocyi, na Arkadach, nawet w Prowancyi. Rodzaj kjökkenmedyngów odkryto także w różnych okolicach Ameryki.

Może współczesne z nimi są potężne kamienie pomnikowe: *menhiry* (*pełwany*) — duże kamienie, zwykle w formie zbliżonej do ostrokągu (stożka), niekiedy ustawione w dwa rzędy i tworzące jakby aleję; *dolmeny* w kształcie ogromnych stołów kamiennych, służące może za ołtarze, na których zabijano ofiary; *kromlechy* (*stonehenge*) czyli place obstawione menhirami pierścieniowato lub w podkowę. Kromlechy i menhiry są to prawdopodobnie grobowce, gdyż zazwyczaj pod nimi odkopywano szkielety ludzkie i szczątki różnych narzędzi. Kamienie takie znajdowano we Francyi, w Wielkiej Brytanii i Irlandyi, w krajach Skandynawskich, w Niemczech, Włoszech, Hiszpanii i w całej prawie Eu-

ropie, między innymi na Podolu Galicyjskiem, na Kaukazie, w Palestynie, Arabii, Syrii, Persyi, w Indyach, w Afryce Północnej. Obeliski egipskie zdają się być odmianą dolmenów. Niektóre z tych kamieni są pokryte rysunkami i upiększeniami. W Danii znaleziono wyciosane na nich runy.

Współcześnie zapewne budować zaczęto mieszkania na palach (*palafity*), o których obszerniej mowa na str. 108; tu dodamy, że ślady mieszkań takich znaleziono w okolicach Grodna, w gubernii Lubelskiej i w Poznańskim.

Zjawiają się wreszcie metale: żelazo najpierw, a potem bronz (str. 114 i 115) czy też bronz wprzód a później żelazo, jak utrzymuje mniej może słusznie wielu badaczy starożytności. Ornamentyka tych narzędzi dochodzi już wysokiego stopnia rozwoju.

Jakie były pierwociny rysunków i rzeźby, wnosić poniekąd można z bałwanów tudzież z rysunków na skałach w Australii i Tasmanii. Jedne i drugie przypominają nieco robotę naszej drobnej dziatwy.

Muzyka zaczęła się prawdopodobnie od prostego kołatania kijem o kij, o pień lub kamień. Z czasem wynaleziono różne bębny, fletnie, rogi, instrumenty strunowe: „Muzyka dzikich jest w ogóle nieokreślonym powtarzaniem pewnego

ruchu jednostajnego, mniej lub więcej pośpiesz-  
nego, lecz zawsze prawidłowego. U Murzynów  
liczba dźwięków ogranicza się do czterech w śpie-  
wie. Forma melodyi posiada znaczenie nieokre-  
ślone i nieurozmaicone. Jednostajne następstwo  
tego samego dźwięku zadawała ich całkowicie,  
a dźwięk brutalny bębna lub tam-tamu wywo-  
łuje w nich najżywszą rozkosz. Gama Chińczy-  
ków składa się tylko z pięciu nut, bez półtonów.  
Dla nich, jak dla Murzynów, wrzask instrumen-  
tów ma więcej ponęty niż muzyka wokalna,  
a jaskrawość tonu—podobnie jak natężenie bar-  
wy — przede wszystkim ich zachwyca. Instru-  
menty dęte i strunowe, przyrządy z kamieni  
dźwięcznych, dzwony, płytki metaliczne grają  
*unisono* swoje melodye z towarzyszeniem bę-  
bnów, które oznaczają rytm. Na znak dyrekto-  
ra orkiestry, bez żadnego innego powodu, trą-  
by, cymbały, gongi, tam-tamy wlewają w te  
melodye bez znaczenia burze ogłuszających  
dźwięków \*).

U Indyan Kanady i Stanów Zjednoczonych  
muzyka i śpiew ograniczają się także do mono-  
tonnych, dzikich dźwięków bez żadnej harmonii.  
Natomiast w ich poezjach lirycznych, bajkach,  
podaniach, gra pełna siły fantazyja, a nieraz zja-  
wia się myśl piękna i głęboka, chociaż często

---

\*) Veron, Estetyka str. 321.

psuje ją zbyt nie wyuzdanie wyobraźni i zamiłowanie w potworności i grozie.

Tańce pierwotne przeważnie są mimiczne; odtwarzają one obrazy wojny i polowania; bywają solowe i gromadne. Niekiedy odznaczają się sprośnością zarówno jak i śpiewy improwizowane.

Nie wdając się w roztrząsanie dowodów, jakie przytaczają szermierze idealizmu i naturalizmu w wiekowych z sobą zapasach, przyznać musimy, że celem sztuki jest użyteczność, a środkiem do osiągnięcia tego celu jest piękno. Spór dotyczyć może tylko pojęcia użyteczności oraz pojęcia piękna.

Sztuka jest użyteczna przede wszystkim dlatego, że czyni zadość wrodzonej potrzebie człowieka. Potrzebę tę uczuwa mniej lub więcej każdy, ale najżywiej—artysta. Użyteczność leży z jednej strony w podnieceniu wrażliwości, z drugiej—w porządkowaniu wrażeń. Podoba nam się i mile wpada w oko mieszkanie czysto utrzymane, w którym rzecz każda jest na swoim miejscu, choćby nawet brakło w niem ozdób artystycznych. Podoba nam się powierzchowność człowieka, w której nic nie razi odstępniem od norm zwykłych. Pięknym nazywamy charakter, na który liczyć, na którym—jak mówią—budować można. Jest to charakter uporządkowany.

Porządek nie wyłącza różnorodności; owszem, tylko przy różnorodności może istnieć. Zupełna jednostajność nie wymaga porządku. Naodwrot, pstrocizna bezładna jest człowiekowi wstrętną, jak wszelki chaos, gdyż z nim pojęcie nasze uporać się nie może.

Porządek bierze panowanie nad chaotycznością, i wnet następuje ugrupowanie łatwe do ujęcia. Stąd przyjemny jest widok proporcjonalności, symetrii, tak zwanego złotego działu czyli proporcji harmonijnej. A chociaż gwoili różnorodności odstępujemy radzi od ścisłych matematycznych wymiarów, jednakże nie lubimy zbroczeń idących zadaleko. Razi nas w nich potworność.

Mało czasu i mało starań mogli artyzmowi poświęcać ludzie przyciśnięci nędzą i zmuszeni o byt codzienny toczyć ustawiczne, ciężkie walki. Stąd też ze słusznym naciskiem podnosi Herbert Spencer tę okoliczność, że potrzeba było pewnej zamożności, aby powstała atmosfera sprzyjająca rozwojowi sztuki. *Inter armis silent Musae* (wśród szcęgę oręża milkną nauki i sztuki)—mówi przysłowie rzymskie. Do rozkwitu sztuki potrzeba spokoju, który dać może tylko potęga pewna siebie, szanowana wewnątrz i zewnątrz.

Na umysły wywiera sztuka wpływ ogromny, pociąga, zdumiewa, upaja, czaruje, kształci, pod-

nosi. Sam już ten wpływ jest poniekąd miarą wielkości potrzeby, jaką zaspokaja sztuka. Twórca lub posiadacz dzieł sztuki jest poczytywany za człowieka uprzywilejowanego. W tej nowej, *użytecznej* stronie sztuki kryje się ponęta do obierania zawodu artystycznego i nabywania utworów piękna za bardzo wysoką nieraz cenę.

Szczegółowy rozbiór dzieł sztuki dostarczyłby nam tysiącznych przykładów jej użyteczności—poczynając od najwznioślejszych utworów geniuszu ludzkiego, a kończąc na drobiazgach zastosowanych do rzemiosł i do wyrobów fabrycznych. Poprzestaniemy na jednym przykładzie—na świątyni Salomona. Przyczyniała się ona wieki całe do podniesienia uczucia religijnego pośród ludu, który dał środki duchowe i materialne do jej zbudowania, i dziś jeszcze ostatni szczątek tej świątyni, oblegany codziennie przez gromadki pobożnych, nie przestaje świadczyć tej usługi, chociaż jest śladem tylko wspaniałego niegdyś dzieła, które się rozsypało w gruzy; a jednocześnie też sama świątynia stała się jednym więcej tytułem do nieśmiertelnej sławy króla-mędrca, sławy, której częśćka przypada nawet izraelskim dozorcóm i tyryjskim rzemieślnikom.

Nietylko porządek, ład i wogóle użyteczność będąca wspólną cechą wszystkich dzieł sztuki, ale i piękno szczególne, tkwiące w każdym jej utworze wynika z wrodzonej właściwości umysłu

ludzkiego, a mianowicie z instynktu naśladowniczego. Człowiek wyrwał z korzeniem latorośl młodą i obrócił ją na maczugę. Po obłamaniu patyków niepotrzebnych został węzeł, nieco przypominający głowę zwierzęcia, psa na przykład. Trochę nacięć ostrem narzędziem, a podobieństwo stało się bardziej uchwytnem: uderza to już nietylko właściciela, ale także wszystkich oglądających ten wyrób sztuki. Plama na odłamanym kamieniu zbliża się zarysami do głowy ludzkiej, albo do ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Dłuto, a w potrzebie farba dopełniają reszty, i oto rysunek, rzeźba, płaskorzeźba—gotowa.

Przytoczony wyżej myśliciel, Herbert Spencer, myśl tę rozwinął szerzej w szkicu „O pochodzeniu stylów w architekturze,” stosując ją do budownictwa. Przyrównywa on budowle o płaskich dachach, wznoszone na Wschodzie (ściślej — na Południo-Wschodzie) do płaszczyzn obszernych, na których mieszkają ludy pasterkie. Jak palmy na pustyni wznoszą się pośród tych płaskich budowli smukłe i wysokie minarety. Upatruje związek między symetrycznymi gmachami Greków i Rzymian, a symetryczną postacią zwierząt wyższych. Budowle takie przystoją miastom, gdyż tu najczęściej spotykanym tworem przyrody jest człowiek, posiadający kształty symetryczne. W gotyku, z szeregami kolumn, których ozdoby są obficie osypane

liśćmi, z przeważającymi liniami pionowymi, widzi niby las kamienny jako pierwowzór tego stylu. Nieregularne zamczyska dawnych rycerzy, zawieszane na urwiskach gór niedostępnych, mają powinowactwo duchowe z poszczerbionymi skałami, które im za podstawę służą. Niemniej uderzającą jest analogia między szwajcarskim domkiem i szwajcarskim krajobrazem. Śpiczasty dach, tak śmiały i tak nieproporcjonalnie wielki w porównaniu ze zwykłymi dachami, wydaje się jednym z wierzchołków gór sąsiednich, a szerokie gzymsy, zwieszane naprzód, tworzą pochyłość, po której się wszystko stacza, jak po niskich gałęziach sosny. Jednakże — zastrzega się Spencer — w tych wszystkich wypadkach naśladownictwo jest bezwiedne. „Ludzie, wybierając kształty, jakie im są potrzebne, poddają się nieświadomie wpływowi kształtów otaczających.”

Również bezwiednem było naśladownictwo rytmów zasłyszanych w przyrodzie, o jakim mówiliśmy w uwagach nad mowę, śpiewem i muzyką. Natomiast rysunek, malarstwo, rzeźba, taniec, były naśladownictwem już uświadomionem. Ciężkim zarzutem dla naśladownictwa świadomego jest brak prawdy. Dzieło takim brakiem upośledzone traci prawa do naszych hołdów.

Sztuka łączy, zespala w jedną nierozzerwalną całość dwa te żywioły: porządek i naśladownictwo. Wiedziony instynktem naśladowniczym

artysta wybiera przedmiot, który uderzył jego wyobraźnię. Kierowany zdolnością porządkowania odosabnia ten przedmiot z pośród nieskończonej mnogości zjawisk, uwydatnia znamienne rysy, pomija to wszystko, co mogłoby rozrywać uwagę, umniejszać zainteresowanie, zacierać charakter główny, oznacza proporcye, zestawia odpowiednie tło, otoczenie, słowem wytwarza wszystkie warunki możliwie sprzyjające dziełu. Szeregi kolumn greckich przypominają aleję. Każda kolumna — to niby drzewo potężne, którego podstawa zgrubiała wrasta w ziemię, a głowica rozszerzona jest pozostałością po ściętej koronie olbrzyma lasów. Wszakże na takichto ściętych drzewach rozwieszano w prastarych czasach skóry zwierząt zabitych, aby wybudować namioty. Ale na wytworzonej przez naśladownictwo kolumnadzie duch porządku śpieszy odcisnąć swój stempel. Kolumny będą sobie podobne aż do najdrobniejszych ozdób; wszystkie wymiary: wielkość podstaw, głowie, grubość kolumn i t. d. i t. d. będą w stałym stosunku do wysokości. Podobnież prawu liczby i miary podlegnie ilość kolumn i wzajemna ich odległość.

Mając uwiecznić znakomitego wodza lub natchnionego wieszczą, malarz nie obierze tej chwili, kiedy jego bohater używa chustki do nosa, która jednakże będzie zupełnie stosowną,

gdy artysta zechce przedstawić zapłakaną matkę lub kochankę.

Naśladownictwem kierowani Egipcjanie używali barw, których żywość i świetność podziwiamy dziś jeszcze po upływie kilku tysięcy lat. Ich płaskorzeźby odtwarzają z nadzwyczajną wiernością różne sceny życia pasterskiego, rolniczego, rzemieślniczego. A jednocześnie idea porządku tak silnie zapanowała nad nimi, że mając przedstawić kilkadziesiąt osób, dawali wszystkim jednakowe twarze.

W dziełach najznakomitszych każdej epoki, każdej narodowości, we wszystkich gałęziach sztuki odnaleźć możemy pewne normy, które twórca tych dzieł bądź sam stworzył, i prawem dla siebie uczynił, bądź zapożyczył od szkoły, której był uczniem.

Utwór sztuki nie jest więc naśladownictwem niewolniczem przyrody, ale jest kompromisem pomiędzy naśladownictwem a ideą porządku, jest odlewem surowego kruszcu spostrzeżeń przepionego w formach, jakie przysposobił duch artysty. A duch ten podlega rozlicznym wpływom klimatu, postaci gruntu, flory, fauny, wpływom społecznym religii, tradycji, prawa pisane-go, prawa zwyczajowego, życia towarzyskiego i rodzinnego, właściwościom osobistym nareszcie, wrodzonym i nabytym. Pod wpływem tych czynników może fantazyja ludu całego i fantazyja artysty stapać razem najniepodobniejsze postaci:

z gadu i ptaka wytworzyć smoka, ze lwa i kobiety ukuć sfinksa, centaury zrobić z człowieka i konia, syrenę z kobiety i ryby, bóstwom nadawać dwa, trzy, cztery oblicza, drzewom—gałęzie węzłowe. Niemniej w utworach najwyuzdańszej fantazyi, w postaciach najpotworniejszych, uległych pod wpływem pewnych wyobrażeń o porządku, jaki panuje w świecie nadprzyrodzonym, odnajdziemy nieuchronnie żywioł naśladownictwa zjawisk przyrodzonych. Całe dzieje sztuki, wszystkie walki pomiędzy szkołami i geniuszami sztuki rozgrywają się na tle ugód i ustępstw zobopólnych między naśladownictwem natury a ustalonymi lub nowopowstającymi normami. Jak nieskończenie różnemi są zjawiska przyrody, jak nieskończenie rozmaite są sposoby odczuwania tych zjawisk oraz pojmowania ładu w otaczającym świecie natury i ludzkości, tak nieskończenie odmienniejszemi jeszcze muszą być wyobrażenia o wcieleniu piękna w dziełach artystycznych, ile że przybywa nadto różnaitość materiału: metale, kamienie, glina, drzewo, kość, farba, ton, słowo, wreszcie rośliny dekoracyjne, zwierzęta i człowiek jako tancerz, aktor, śpiewak lub mówca. Z takiego stanowiska sądząc, nie przyłożymy jednego szablonu do apellesowej Kypris Anadyomene (Wenus wychodząca z piany morskiej) i do piękności hottentockiej lub chińskiej. Zbytecznemi też będą rozprawy o absolutnej idei piękna, jednej wszędzie i za-

wsze, rozumiałej dla wszystkich. Sztukę ocenimy miarą wpływu, jaki wywarła na współczesnych i na szereg późniejszych pokoleń dłuższy lub krótszy. Z góry przewidzieć możemy, że gdzie jakieś konwencyjonalne pojęcia, np. religijne, krępują artystę, tam sztuka przyjmuje pewne szczególne piętno, zwolna przechodzące w rutynę, której panowanie ograniczone jest co do miejsca i co do czasu panowaniem tych pojęć; o ile zaś one ustępują miejsca innym, o tyle modyfikuje się sztuka. Porządek, naturalność, nastrój pogodny, lub przeciwnie: chaotyczność, potworność, posępność w utworach sztuki są to wykładniki stanu społecznego, umysłowego, moralnego, słowem są to wykładniki cywilizacji. Religia, jeden z najważniejszych czynników cywilizacyjnych, jest zarazem czynnikiem nawskroś artystycznym. Ona powołuje artystę do działania, nasuwając mu tematy, zapładnia jego wyobraźnię, roznieca święty zapał dla sztuki, a jednocześnie wytyka jego twórczości stałe szlaki. W nieprzejrzanych skarbach sztuki znajdziemy wierne odbicie gry ducha ludzkiego. Zrozumienie sztuki—to zrozumienie skali olbrzymiej objawów ducha i przyczyn wywołujących te objawy.

W ten sposób rozumiałą nam się wyda majestatyczna piękność piramid egipskich. Kto by je oceniał z rysunków tylko, temu wstrętnemi się wydać mogą te olbrzymie, niemal bezmyślne masy głazów nagromadzonych i ocio-

sanych twardo, surowo. Imponuje wprawdzie opis ich wielkości: na samą piramidę Cheopsa wyszło trzy miliony metrów sześciennych kamienia. Mimowoli wszakże wobec tej fantastycznej prawie cyfry przychodzi myśl tak dobitnie wyrażona ustami przewodnika do francuskiego turysty: „Wiedz pan, że sto tysięcy gałęzi palmowych, połamanych na zgiętych zawsze grzbietach ludzkich zbudowało wiele bardzo pałaców, a w dodatku jeszcze i świątyń”<sup>\*)</sup>. Ale kto te wiecznotrwale, niezrysowane dotąd budowle ogląda na miejscu, wśród niezmiernych okiem, spiekłych równin Egiptu, ten mimowoli zapomni na razie o ciężkiej pracy niewolników i uznać musi potęgę kierującego robotami umysłu, choćby ożywiony był uczuciami tak pełnemi serdecznej dla ludzi miłości, jak autor „Powabów życia”<sup>\*\*)</sup>. Artystycznie wykonane posągi, w grobowcach ukryte, powleczone świeżemi po dziś dzień barwami, wyraziste i błyszczące oczy ze skombinowanego kwarcu, kryształu i metalu z dziwną zręcznością zrobione, wyraziste rysy, z których wyczytać można myśl, jaka przewodniczyła sportretowamu z oczywistą

---

\*) Maxime du Camp., *Le Nil*—cytowany w *Historii Cywilizacji Seignobosa*.

\*\*\*) Polski przekład z siedemnastego wydania. Warszawa 1893.

wiernością nieboszczykowi za życia, wizerunki zwierząt, zupełny dające obraz fauny ówczesnej, a wykonane z dokładnością, którejby mogli pozazdrościć Chińczycy, mistrze w tej sztuce, wszystkie te znamiona twórczości artystycznej, w której pomysł często, a technika zawsze są zdumiewające, dają słuszne prawo tym niepożyтым monumentom do cudów świata liczyć się dziś jeszcze, mimo sędziwego wieku trzech do pięciu tysięcy lat.

Niemniej podziwu godna jest poezja egipska. Oto napis grobowy jakby osnuty na tekście Ewangelii: (św. Mat. 25, 42, 43): „Przywiązałem do siebie Boga miłością moją; chleba dałem łaknącemu, wody spragnionemu, okryłem tego, który był nagim, dałem schronienie i przytułek opuszczonemu”. Jaka rzewność tchnie w słowach kobiety, mówiącej na swoim nagrobku: „Płaczę za powiewiem wiatru, który nad brzegami Nilu kołł smutki moje”. Ileż uczuć targać musiało inną mieszkankę doliny Nilowej, gdy woła na kamieniu grobowym: „O serce, serce, które mi dała matka moja, serce z czasów, gdym była na ziemi, nie powstawaj przeciwko mnie, jako świadek, nie obwiniaj mnie przed Bogiem wielkim!”\*)

---

\*) Cytaty powyższe przytoczono z dzieła p. t. „Szkic historyczny umysłowego i artystycznego rozwoju ludzkości od

Rzecz szczególna! Państwo egipskie, jakby skazane było na przeżycie się, stare już za czasów Herodota, widziało pierwiej zgrzybiałość swej sztuki, zanim dożyło upadku politycznego. Taż sama religia, na głos której powstawały precudnie rzeźbione świątynie i grobowce, ubezwładniała z czasem coraz bardziej rękę artysty, nakazując mu trzymać się uświęconych wzorców, nie pozwalając patrzeć na świat rzeczywisty. I z owych czasów odrętwienia pozostały kolosalne dzieła, pałace w Tebach „stubramnych”, świątynie i obeliski w Luksorze, Karnaku, Elefantynie i wiele innych. Ale ani co do trwałości materiału, ani co do staranności roboty i oryginalności pomysłu nie mogą się równać ze swymi pierwowzorami. Niemniej i wtedy zachowali Egipcyanie mistrzostwo w drobnych wyrobach sztuki, napelniających dziś muzea europejskie: w statuetkach, rzeźbach na drzewie, metalu, kamieniu, pięknych dywanach i oponach, w wyrobach z kości słoniowej, w naczyniach i posągach

---

zawiazku pierwszych społeczeństw do początków sztuki chrześcijańskiej“ przez Ant. Narkiewicza Jodkę, z którego również poczerpnięto wiele szczegółów do niniejszego szkicu. Brak miejsca nie pozwola przytoczyć wspaniałych i natchnionych hymnów religijnych; powinnyby one przynęcić poetów naszych do przekładu, jak już przynęciły niemieckich. (Porównać choćby Göppela „Illustrierte Kunstgeschichte“ Berlin i Lipsk 1887). (Przyp. tłum.)

kach z gliny, emaliowanych, ozdobnych i wdzięcznych.

Do swoich olbrzymich budowli używali materiałów, które częstokroć z dalekich stron zwozić musieli. H. Spencer słusznie zapewne widzi w tej okoliczności poparcie wniosku, że rasa, która Egipt cywilizacją obdarzyła, przybyła z innych okolic.

Że bez kamienia sztuka budownicza istnieć może i wznosić potężne miasta, przekonywają o tem Babilończycy i Assyryjczycy.

Za materiał służyła jednym i drugim cegła na słońcu suszona; zewnętrzną tylko stronę murów starannie wypaloną cegłą wykładano. Niemniej imponujące dzieła geniuszu tych ludów dziś jeszcze podziw budzą. Babilon był miastem zbudowanym w kwadrat, którego każdy bok liczył przeszło 3 mile (23 kilometry) długości. Mur obwodowy był tak szeroki, że na nim kilka wozów swobodnie mijać się mogło (25 metrów grubości, a 47 metrów wysokości). Trzej monarchowie perscy: Cyrus, Xerxes i Artaxerxes kolejno burzyli zdobyty Babilon, ale ruiny jego dotąd istnieją. Babilończycy wznosili piramidy odmienne od egipskich. Były to szeregi tarasów coraz mniejszych, spiętrzone jedne na drugich. Taką piramidą była wieża babilońska, którą król Nabukudurussur (Nabuchodonozor) w napisie swoim nazywa *wieżą siedmiu sfer niebieskich* i dodaje: „była ona wybudowana przez

starodawnego króla, od którego przedzielają mnie czterdzieści dwa życia ludzkie, ale ten król nie ukończył jej, gdyż robotnicy porzucili pracę po dniach potopu i zaczęli wymawiać słowa w nieładzie; grzmoty i trzęsienia ziemi wstrząsnęły cegłą surową i zwała się, tworząc pagórki, a cegła palona obmurowań popękała. Wielki bóg Merodah zachęcił serce moje do jej odbudowania i nie zmieniłem jej pierwotnego miejsca.”\*) Dalej idzie opis kosztowności, nagromadzonych w tej wieży 250 stóp wysokiej, a złożonej z 7 pięter, nie licząc podstawy. Na najwyższym piętrze była kaplica, mieszcząca łoże i stół złoty bożka Nebo. Każde piętro było pomalowane innym kolorem: najniższe czarnym, następne z kolei białym, purpurowym, błękitnym, ponsowym, srebrnym i złotym na cześć pięciu planet, księżyca i słońca.

I ogrody wiszące były podobnymi tarasami.

Rzeźby przeważnie robili w glinie. Z cegieł emaliowanych i numerowanych układali mozaiki, na których są obrazy i napisy klinowe.

W Assyrii znajdowały się bogate łomy kamienia przydatnego na budowie, a jednak Assyryjczycy, za wzorem starszych w cywilizacji Babilończyków, budowę swoje wznosili z ce-

---

\*) A. J. Narkiewicz. Szkic histor. umysłowego i artystycznego rozwoju.

gły nawet niesuszonej, ale surowej, która bez cementu, własnym ciężarem zespałała się w jednolitą masę. Z zewnątrz wykładano ściany cienkimi płytami kamiennymi. Dachy przeważnie były płaskie, na drewnianych, grubych belkach. Niekiedy wszakże używali Assyryjczycy kopuł wysokich. Ze względu na miękką materyał musieli ścianom dawać niepomierłą grubość. Pałace nawet ogromne nie wznosiły się zazwyczaj ponad jedno piętro. Sale bywały wąskie a długie. Światło wchodziło najczęściej z góry przez otwory zasłonięte skórami zwierzęcemi odpowiednio wyprawionemi. Na posadzkę i bruk służyły cegły wypalone. Sale ozdabiali wewnątrz bogatemi rzeźbami, tkaninami i malowidłami. W rzeźbie assyryjskiej widzimy człowieka i zwierzę zawsze w profilu; snadź twarze zwrócone przodem zawiadają trudność artystyce nastroczały. Włosy i brody ludzkie starannie ufryzowane rażą wykończeniem schematowem; postaci ludzkie są sztywne; natomiast ruchy i fizyonomie zwierząt, koni, lwów oddaje artysta z dziwną wiernością i siłą. Podziwiać należy tak artystyczne podpatrzenie przyrody. W malowidłach zdobiących ściany, w płaskorzeźbach emaliowanych na glinie, widzimy sceny z życia potocznego, częściej zaś jeszcze sceny myśliwskie, wojenne i widoki strasznych tryumfów, jakie odnosili krwiożerczy assyryjscy władcy nad sąsiadami. Zwykłym trybem wojowania było

niszczenie miast, a uwięzieniem zwycięzkiej wyprawy — męczarnie wymyślne zadawane przeciwnikom. I w napisach klinowych rozbrzmiewa chępliwe wyszczególnienie bogactw złupionych oraz popełnionych okrucieństw. Do znamiennych ozdób assyryjskich należą fantastyczne byki skrzydlate z głowami ludzkimi, których tylna połowa ciała była w wypukłorzeźbie, a przód oddzielał się już całkiem od kamiennej płyty.

Z działu przemysłu wymienić należy kobierce tkane tak kunsztownie, że w Rzymie na wagę złota je ceniono, piękne wyroby lniane naczynia i sprzęty bogato cyzelowane z brązu srebra, złota. Wyroby gliniane z natury rzeczy musieli Assyryjczycy wysoko posunąć, a ich wazy malowane wywarły wpływ znaczny na ceramikę grecką. Rolnictwo również wysoko było posunięte. W utworach geniuszu assyryjskiego widzimy surowe liczenie się z używanym materiałem tudzież z warunkami społecznymi i przyrodzonymi. O ile główną pobudką twórczości był rozkaz królewski, mianowicie gdy zadaniem artysty było odtwarzanie scen z życia władcy, o tyle przeważał szablon widoczny w twarzach i ruchach zarówno osoby władcy jak i jego otoczenia, ministrów, wojowników. Artysta sobą staje się tam dopiero, gdzie może swobodnie naśladować przyrodę lub fantazyi swojej wodze popuścić.

Z upadkiem państwa nie zagasła jego sztuka, lecz odziedziczona przez Persów doczekała się świetnego rozkwitu.

Pałace Suzy, których ruiny odkrył w r. 1881 podróżnik francuski Dieulafoi, były wznoszone z cegieł suszonych na słońcu i wykładane cegłą paloną, nierzadko emaliowaną i malowaną. Ta zewnętrzna powłoka dziś jeszcze w gruzach odszukać się daje; odtworzono z niej mozajkę bardzo ozdobną: między innymi łuczniaka w wytwornym ubiorze. Pośród zwalisk innego miastka, prawdopodobnie Passargady, znaleziono pomnik zapewne Cyrusa, rodzaj kapliczki na piramidzie z tarasów kwadratowych coraz mniejszych, przypominających znaną nam już wieżę babilońską. Najwspanialsze i najlepiej zachowane są ruiny Persepolisu, którego znamienitsze gmachy wznieśli Daryusz I, Xerxes I i Artaxerxes Ochus w końcu VI-go i na początku V-go wieku przed Chrystusem. Skrzydlate byki Assyryjczyków oraz nieprzeliczone płaskorzeźby odnajdujemy i w tych zabytkach sztuki perskiej; jednakże na tarasy, schody a nawet i ściany używali Persowie marmuru i ciosu, spajając płyty z taką dokładnością, że zaledwo można odróżnić miejsca złączenia. Nad postaciami ludzkiemi, zwłaszcza na grobowcach, unosiły się tak zwane *feruery*, t. j. duchy opiekuńcze. Każdy człowiek miał swego feruera. Feruer popolicie wyobrażany był w postaci koła, a raczej dwóch

kół współśrodkowych, od których na prawo i na lewo roztaczone były skrzydła. Niekiedy w kole wewnętrznem osadzony jest biust człowieka czy ducha, sięgający głową i ramionami ponad okrąg zewnętrzny. Wejścia do niektórych grobowców dotąd nie można odszukać, tak umiejętnie jest zamaskowane; dopiero trzeba było umyślne otwory przebijać, aby się dostać do wnętrzy bogato ornamentowanych. Może na budownictwo perskie wpłynął przykład Egipcyan i Greków; niemniej Persowie tak silnie odcisnęli znamię swej oryginalności i tak wysoko podnieśli artyzm, że sztukę ich za jedną z najwspanialszych w starożytności uważać musimy. Osobliwą lekkością i smukłością odznaczają się ich kolumny. Głowice (kapitele) bądź to złożone były z dwóch popiersi byków lub koni, patrzących w przeciwne strony, i w takim razie na wgłębieniu pomiędzy popiersiami opierała się belka, bądź też przypominały kapitel kolumny jońskiej, tylko z inaczej ułożonemi wolutami. Kolumny zazwyczaj były żłobkowane. Podstawa ich składała się nieodmiennie z płyty kwadratowej, na której wznosił się odwrócony kielich lotusu, a z niego dopiero wyrastała kolumna. Persowie z nadzwyczajną rozrzutnością używali kolumn, otaczając niemi pyszne swe gmachy i podpierając niemi stropy w salach.

Po zdruzgotaniu dawnej Persyi przez Aleksandra Macedońskiego krótko panowała dyna-

stya założona przez Seleuka, jednego z wodzów macedońskich; w połowie III-go wieku przed Chrystusem miejsce jej zajęli partyjscy Arzacydzi, których panowaniu położyło kres dopiero w początkach III-go wieku po Chrystusie powstanie Persów. Teraz, pod opieką narodowej dynastji Sassanidów, sztuka perska na wyższy jeszcze wzniosła się stopień. Wprowadziła do budownictwa łuki, które następnie przejęli architekci bizantyńscy i maurytańscy, rozwijając te zapożyczone motywa w kierunkach właściwych swoim dążeniom artystycznym. Persowie i w rzeźbie byli spadkobiercami Assyryjczyków, jednakże postaciom swoim nadawali więcej swobody i szlachetności. Mistrzami niedościgłymi stali się w sztuce stosowanej do przemysłu, w wyrobach z gliny i metalu (słynne szable perskie), w używaniu kosztownych kamieni do ozdób, a zwłaszcza w tkaniu i haftowaniu wzorzystych kobierców. Częstkę kobierca, podzielonego z rozkazu Omara między jego wodzami, niewiększą nad stopę kwadratową, ceniono na sumę, która w terażniejszej monecie czyni 1,500 rubli srebrem. I po podboju przez Arabów, w połowie VII wieku, sztuka perska miewała świetne czasy. Koran, poczytujący za grzech otwarzanie postaci ludzkich i zwierzęcych, nie zdołał całkowicie zagłuszyć narodowego artystycznego geniuszu nawet w zakresie malarstwa i rzeźby. Dopiero za dynastji obecnie panującej

sztuka w Persyi podupadła. W dziedzinie literatury, z dawnych zabytków, zostały tylko księgi religijne, szczątki i parafrazy dzieł Zoroastra, tchnące głęboką moralnością. Słynne poezye Firduzego, Hafiza, Rumiego, Sadego i innych należą już do epoki muzułmańskiej.

Odłam Aryów wschodnich, odrzucający wiarę Zoroastra, zmuszony był przebyć Himalaje. Podbiwszy pierwotnych, prawdopodobnie melanezyjskich mieszkańców półwyspu przedgangesowego, Aryowie ci przyjęli od zwyciężonych budowanie z kamienia, zarzucając używane przedtem materiały: ziemię i drzewo. A jednak w stylu budowli pierwotnych pozostali wiernymi materiałom dawniejszym. Ciekawy ten moment historyczny niezatartemi głoskami zapisał się w prastarych utworach sztuki indyjskiej. Usypane z ziemi kurhany, kopce pamiątkowe (*tumuli*) są gęsto rozsiane po całej powierzchni globu. Indyjski *top* (*dagop*) jest podobnym kopcem, ale zrobionym z kamieni lub cegły. Tak zwana *balustrada indyjska* wygląda zupełnie jak nasz parkan ze słupów pionowych i wsuwanych w nie półokrągłaków poziomych, tylko że za materiał służy znowu kamień. W niektórych świątyniach i pałacach kolumny połączone są u góry łukami kamiennymi ażurowymi, zupełnie jakby z drzewa wyciosanymi. Napotykamy budowle z porobionemi u stropu żebrami, najwyraźniej przypominającemi belkowanie drewniane,

bez żadnego zresztą celu praktycznego. Jednakże z czasem ciężki kamień, w którym niejednokrotnie wykuwano świątynie podziemne, odniósł zwycięstwo. Widok potężnych zwierząt: słoni, lwów, tygrysów rzeźbionych przyczynia się również do nadania masywności kształtom. Zdumiewające bogactwo przyrody zwierzęcej i roślinnej zrodziło wybujałość i nadmiar ornamentacyi; a wstrząśnienia polityczne i religijne, rozmaity sposób pojmowania bóstwa, poczynając od najsubtelniejszej abstrakcyi aż do najwyuzdańszego rozpasania, do krwiożerczości i krańcowej rozwiązłości, odbiły się w bezładzie, znamionującym pracowite dzieła indyjskiej architektury.

Wszystkie te właściwości sztuki indyjskiej zeszyły się jakby na schadzkę w gmachach nagromadzonych w świątyni Ellory, w Dekanie.

Rodzaj amfiteatru o milowej średnicy, otoczonego wieńcem pionowych skał granitowych, stanowiło obrazu, na którym rozwija się nieskończony szereg grot, świątyń, dziedzińców, portyków, kolumn i posągów kutych w skale. Głównych świątyń jest trzynaście. Najwspanialsza z nich, świątynia bramańska zwana *Kailasa*, wykuta w jednej sztuce kamienia, ma 103 stopy długości, 56 szerokości i 17 wysokości, a zakończona jest u góry ostrokągiem 90 stóp wysokim. Ogromna ta masa wznosi się na 16 słupach, podtrzymywana po bokach przez olbrzymie po-

sągi słoniów. Świątynię otaczają dokoła dziedzińce pełne kaplic, galeryi, korytarzy, a wszystko to zawisło w powietrzu, wsparte na kolumnach słoniach, tygrysach, gryfach. Okalające skały ozdobiono niezliczonymi rzeźbami, wyłobiono w nich galerye i kolumnady; wszystkie odosobnione części: świątynia, kaplice i skały są połączone wiszącymi mostami, także w żywej skale kutymi.

Ziemia tak bogata w klejnoty wszystkich trzech królestw przyrody nie mogła w żadnej gałęzi sztuki pozostać jałową. Czy więc oglądać będziemy drogie kamienie tej ojczyzny wielkich brylantów i pereł, czy wyroby ze szlachetnych kruszców, czy tkaniny, owe słynne szale kaszmirskie, czy wyroby ceramiczne, wszędzie nas uderzy niewyczerpany zbytek, w jakim przyroda i artystyczna fantazyja idą o lepsze.

Rozmiłowanie w gigantyzmie, w olbrzymich proporcjach znamionuje również literaturę indyjską. Poemat historyczny *Mahabharata* miał być tworzony przez tysiąc lat i zawiera koło 215,000 wierszy. Znacznie krótszy poemat *Ramayana*, liczy jeszcze 48,000 wierszy. W bogatym piśmiennictwie indyjskim spotykamy wszelkie rodzaje: powieści, dramaty, komedye, wiersze liryczne i miłosne, bajki, satyry, poematy dydaktyczne. W rymach znajdujemy najwykwintniejsze, najwyszukańsze formy. Całą gamę uczuć i myśli wyśpiewali wieszczowie indyjscy,

od subtelności nieuchwytnych prawie aż do najswawolniejszych figlików. Nadmiar przenośni i ozdób wszelakich, czyni literaturę indyjską siostrzycą nieodrodną sztuk pozostałych.

W Indyach Zagangesowych niezbyt dawno znaleziono i badać zaczęto wspaniałe szczęty architektury i rzeźby, co do których wnosić należy, że się wyłoniły z Indostanu. Ruiny całych miast, w głębi niedostępnych lasów ukryte i zwolna rozsypujące się w gruzy, świadczą o wysokiej cywilizacyi nieznanego jakiegoś społeczeństwa, które jeszcze w końcu XIII-go stulecia istniało, jak dowodzą notatki podróżnicze dyplomaty duńskiego, wydane w r. 1819 po francusku, w przekładzie Abła Rémusat'a. Jaki kataklizm dziejowy czy żywiołowy położył kres owemu społeczeństwu, tego się nawet nie domyślają dzisiejsi uczeni europejscy. Jednakże mimo kilku wypraw przedsięwziętych w ostatnich trzydziestu latach, sztuka owego państwa zaginionego za mało jest jeszcze poznana, żebyśmy się nad nią szerzej rozpisywali.

Na Europę sztuka indyjska prawie nie wywarła wpływu. Dostarczyła natomiast pożądanych wzorów Chińczykom i przez ich pośrednictwo — Japończykom.

Przekroczylibyśmy ramy pracy niniejszej, gdybyśmy chcieli się zastanawiać nad sztuką bogato rozwiniętą w tych dwóch państwach. Ulega ona dziś już powoli zmianom, które są wy-

nikiem coraz częstszego obcowania z cywilizacją Zachodu. Ale zawczasie byłoby pisać o niej wspomnienia pośmiertne. Ozdobnością, subtelnością wykończenia, pracowitością, wysiłkami zbiorowymi, którymi dokonywają się prace nawet malarskie i rzeźbiarskie, nareszcie zatarciem indywidualności artysty, sztuka ta należy istotnie do epoki minionej. Lecz zachowała dotąd żywotność, aczkolwiek najświetniejsze jej czasy minęły, i może minęły bezpowrotnie.

Natomiast rozpatrzmy się nieco w pomnikach sztuki dawnych mieszkańców Ameryki. Starożytne rzeźby i rysunki na skałach (*piktografie*) są zazwyczaj wykonane z dziecięcą naiwnością. Przedstawiają one sceny z bitew, polowań, zdarzenia ważne w życiu plemion, jak np. migracje, wizerunki bóstw mniej lub więcej potworne, wreszcie symbole, np. znaki graniczne i *totemy*, czyli godła plemion, miast, ludzi. Za ozdobę służą szlaki, zygzaki, desenie greckie i t. p. Pomimo nieudolności artystycznej, bywa na tych rysunkach dużo ruchu, życia, fantazyi.

Wcześniej już bardzo zaczęli mieszkańcy dokonywać dzieł zbiorowych. Spotykamy tedy niezliczone kopce, piramidy ziemne, tarasy, a nawet wcale porządne fortyfikacje, trakty, tunele. Nasypy miewają niekiedy postać zwierząt: bobra, węża, jaszczurki i t. p. Ogrom tych nasypów bywa imponujący. Jedna z warowni obejmuje 45,000 stóp kwadratowych powierzchni;

„mury innego miasta, w stanie Ohio, niedaleko miasta Chillikothe, mają 20 stóp grubości, 12 wysokości, a obejmują przestrzeń 100 akrów, bronioną prócz tego przez fosę 20 stóp szeroką. Zarysowanie i wykonanie wałów znamionuje już wielki postęp, pewne wiadomości teoretyczne i wysoko posuniętą technikę; mury ukryte pod ziemią są starannie budowane, a kąty i załamy obliczono podług zasad ściśle naukowych; widzimy tam głębokie fosy, przejścia podziemne pod korytami rzek przeprowadzone, wyniosłe punkta dla śledzenia ruchów napastnika, rodzaj kazematów, chroniących wojowników od pocisków nieprzyjacielskich i odrębne nasypy ziemi broniące głównych wejść.” Nasypy przyjmujące kształty zwierzęce, uważają dzisiejsi Indianie za obrazy bogów; rozmiary tych nasypów bywają częstokroć kolosalne: „*aligator* w Granville ma 103 stopy długości; sąsiednia mu *matka* 160 stóp; zwoje węża w Brush-Creek, w Ohio, dosięgają 700 stóp, a *pająk* w Minnesocie i *mastodont* przy połączeniu Wiskonsinu z Mississipi zajmują cały akr przestrzeni.” \*)

Oryginalnym zabytkiem budownictwa amerykańskiego są mieszkania skalne (*cliff-dwells*), przyczepione do szczytów skał wysokich i niedostępnych, z wejściami od podłogi lub od da-

---

\*) A. J. Narkiewicz. Szkic historyczny etc. str. 160 i następną.

chu. Niepojętem jest nieledwie, jak ludzie zdolali do miejsc, gdzie giemie dojść byłoby trudno, sprowadzać materiały budowlane, a nawet trzody, które hodowali w tych niebotycznych zamknięciach.

Prawdziwego wszakże artyzmu dosięgła sztuka, której pomniki przechowały się w Meksyku i w Peru. Tu i tam podziwiamy wspaniałe gmachy o ścianach ozdobionych z zewnątrz pysznymi stiukami, gmachy, które niewiele powstydzilyby się porównania ze wspaniałymi zabytkami sztuki egipskiej, albo perskiej. Ściany wewnętrzne tych gmachów miewają niekiedy ozdoby architektoniczne, naprzykład nader wdzięczne i urozmaicone szlaki stiukowe; zazwyczaj wszakże świecą nagością, dzięki barbarzyństwu pierwotnych zdobywców hiszpańskich, którzy obdarli je z kosztownych blach srebrnych i złotych, z drogich kamieni i kobierców tkanych z prześlicznych piór ptasich. Pośród Tolteków i Azteków w Meksyku, jako też pod rządem Inkasów w Peru zakwitły nauki, między innymi astronomia. Dotąd pozostały kalendarze i kompasy ze znakami zodyaku. Ślady rolnictwa dostrzegamy w zagonach obecnie porośłych trawą stepową. Handel rozległy zanosił produkty przyrody i sztuki aż w głąb lasów i stepów Ameryki północnej. Niestety cała ta cywilizacja, czyli raczej wszystkie te warstwy rozmaitych cywilizacji, które po każdej nowej migracji, po każ-

dym nowym podboju dokonany przez jakiś lud nowoprzybyły, osiadały na warstwach ułożonych poprzednio, te wszystkie dowody zdumiewającej pracy, niewiele zapewne cierpiącej od przypadkowych przedkolumbowych przybyśzów ze starego świata, rozsypują się w gruzy, wieńczą się bujną, podzwrotnikową vegetacją, która, podnosząc malowniczość ich widoku, zwinna kruszy je i kończy dzieło zniszczenia. Pozostałe malowidła nie świadczą o wysoko posuniętem poczuciu kolorystycznym: barw używano niewiele, często dla uwydatnienia ornamentacyj raczej, niż dla naśladowania przyrody. Barwy te są zestawione jaskrawo, podobnie jak jaskrawo tameczna przyroda pomalowała i grunt skalisty, i pióra ptasie i kwiaty. W rysunku nigdzie nie dostrzegamy zachowania perspektywy.

Już z pobieżnego niniejszego zarysu widzimy, że sztuka w pierwocinach swoich była niemal powszechną własnością. Każdy mniej lub więcej umiał klecić szałas, lepianki, korzystać z naturalnych w skale wydrążeń, aby w nich jakie takie schronisko założyć, a zapewne i upiększyć w miarę możliwości; każdy sam sobie wyszukiwał lub sporządzał narzędzia, które starał się ozdobić; niemniej dbał o przystrojenie własnego ciała. Zabytki sztuki pierwotnej są nader prostacze. Dziecko potrafi zrobić rysunki mało co ustępujące tym przedwiecznym arcydziełom.

I tu jednakże spostrzegać można postęp, wynikający częścią z ulepszeń technicznych, częścią z oddziaływania jednostek obdarzonych wyższym artystycznym duchem, częścią nareszcie z rutyny.

W miarę jak ludzie łączyli się w większe skupienia pod energicznym rządem bądź jednego władcy, bądź kasty rządzącej, która, wolna od troski o chleb codzienny, miała możność rozwinąć swoje potrzeby artystyczne, tudzież udoskonalić i spotęgować środki działania, sztuka wznosi się na coraz wyższy szczebel i stwarza monumentalne dzieła, w których widnieje geniusz rasy, potęga liczebna społeczeństwa, wpływ rządu i religii, wpływ stosunków postronnych, a zwłaszcza lepsza obserwacja otaczającej przyrody. Zarówno społeczeństwa, jak i sztuka, rozwinęły się najbujniej w klimacie łagodnym lub nawet skwarnym, dostrajając się do harmonii z bujnością i kolosalnością zjawisk przyrodzonych, i korzystając z czasów, jakimi obdarzała człowieka hojność wszystkich trzech królestw przyrody. W sztuce tej atoli, tak wymownej z tyłu rozmaitych względów, zatracą się indywidualność artysty. Wskrześnie ona dopiero później, w epoce już nieobjętej szkicem niniejszym, w klimacie bardziej umiarkowanym, i uwydatni się w najpiękniejszych zabytkach twórczości umysłowej i estetycznej geniuszu ludzkiego. Postęp dzisiejszy szczególnie jest wyrazisty w sztuce

malarskiej. Niegdyś używano barw niewielu, często wprawdzie odznaczających się żywością i nadzwyczajną trwałością, ale zarazem pewną jaskrawością i ubóstwem gamy. W wielu dziełach sztuki dawnej nie dostrzegamy półtonów. Dotąd nie rozstrzygnięto np. wątpliwości, czy Grecy znali wszystkie kolory siedmiobarwnej tęczy już za czasów Homera. Weźmy nasz język. Posiadamy w nim nader niewielką liczbę nazw barwom samym właściwych, nazw będących wyrazami niemal pierwotnymi: czarny, biały, czerwony, żółty, szary, bury. Nazwy te są zapewne najstarszymi. Inne barwy biorą imię od przedmiotów, poznanych prawdopodobnie pierwaj w całości, nim ludzie zaczęli rozróżniać pojedyncze ich znamiona, i między temi znamionami wyliczyli barwę. Tak kolor niebieski przyjął nazwę od nieba, różowy, fioletowy, pomarańczowy, popielaty od róży, fiolet, pomarańczy, popiołu. W ogóle liczba nazw kolorów niestosunkowo jest mniejsza, niż liczba kolorów, które widocznie mnożą się daleko szybciej od słownictwa. Dziś już bogactwo palety jest nieledwie przygniatające. Fabryka mozaik przy Watykanie używa 18,000 barw! \*) Chyba wolno stąd wnosić, że oko współczesnego malarza, czulsze jest na drobne różnice barw, niż oko

---

\*) Prof. H. Struve. Estetyka barw str. 38.

przedhistorycznego Tolteka. Toćże teoria za-  
barwienia cieniów rzucanych przez przedmioty  
oświetlone, stała się od niedawna dopiero wiado-  
mą ogółowi. Przedtem wszystkie cienie pocz-  
tywano za szare.

Nie wiemy, jaką była muzyka ludów umar-  
łych. O ile jednakże wolno wnosić np. z instru-  
mentalnych produkcyj chińskich, ani śpiewnością,  
ani urozmaiceniem nie zadowoliliby ucha melo-  
mana europejskiego. Biegły muzyk dzisiejszy  
słyszy nietylko półtony, ale nader drobne różni-  
ce w wysokości brzmień. Rodzi się stąd wnio-  
sek, że obok ulepszeń w technice artystycznej,  
uzdolnienie indywidualne i ogólne, a w szcze-  
gólności artystyczne wykształcenie zmysłów do-  
sięło dziś stopnia, może nawet nie przeczuwa-  
nego przez starożytnych. Ciekawem byłoby zai-  
ste odsłonić choćby w jasnowidzącem przeczuciu  
dalsze losy sztuki. Może indywidualności, tak  
dziś wybujałe, zestrzelą się znowu w jakieś ol-  
brzymie, koncertowe syntezy!...

KONIEC.

przebiegającego. Jedną z jego przyczyn  
jest stanowiący znaczny procent  
osobników, którzy nie są w stanie  
nie odzwierciedlać. Wobec tego  
wymaga to uwagi.

Nie należy jednak myśleć, iż  
jest. O ile jednak można wyrazić  
miejscu, to jest, chociaż nie  
nie uogólniając, że odwołanie się  
mimo europejskich. Istny, jeżeli  
siły, nie jest, do czasu, jeżeli  
co w wyszczególnieniu. Kiedy się  
nie, to choć niekiedy w zakresie  
zobowiązania indywidualnego i  
głównie artystyczne. Wskazanie  
się, że stanowią, mimo to, nie  
niego przez starożytnych. Ciężar  
to odwołanie, choć w indywidualnym  
daleko jest, choć indywidualnie  
nie, jeżeli, jeżeli się, jeżeli  
przynajmniej, konkretnie.

KONIEC

# SPIS RZECZY.

*Thyng*

	<i>str.</i>
Wstęp . . . . .	1
Pierwotny stan ludzkości . . . . .	5
Narzędzia i broń . . . . .	19
Ogień i jego zastosowanie . . . . .	33
Królestwo zwierzęce i roślinne w usługach cywilizacji . . . . .	49
Wytworzenie rodziny . . . . .	66
Ubranie i mieszkanie . . . . .	95
Metale . . . . .	114
Religia . . . . .	127
Mowa. . . . .	149
Pismo . . . . .	175
Prawo . . . . .	191
Sztuki piękne . . . . .	203

*Thyng*



15  
2158/9458





Biblioteka

9098/1

Naukowa